



**ABP JĘDRASZEWSKI
KOŚCIÓŁ JEST
ZAMKNIĘTY [część 2]**

**NOWY ROZDZIAŁ WOJNY:
ZACHÓD I UKRAINA
NIEUGIĘTE**

**KRÓL SZACHÓW
NA TROPIE
OSZUSTWA**

Kraków 9 października 2022 nr 41 (3822)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

**MARIA PESZEK:
Już nie straszę,
pocieszam**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379.425
9 17700411480208



Lekcje Czytania

Zapraszamy uczniów i nauczycieli szkół średnich do wzięcia udziału w **Lekcjach Czytania** organizowanych przez **Fundację Tygodnika Powszechnego** w okresie od września do grudnia 2022 roku:

- **NIEMIECKIE LEKCJE CZYTANIA** współorganizowane z **Goethe-Institut w Krakowie**, poświęcone twórczości niemieckich pisarek i pisarzy. Spotykamy się co miesiąc online lub stacjonarnie w bibliotece Goethe-Institut w Krakowie.
- **„LITERATURA LATYNOAMERYKAŃSKA JEST KOBIETĄ”** – cykl współorganizowany z **Instytutem Cervantesa w Krakowie**, poświęcony autorkom literatury latynoamerykańskiej. Spotykamy się online i stacjonarnie.
- **AMERYKAŃSKIE LEKCJE CZYTANIA**, których Partnerem jest **Konsulat Generalny USA w Krakowie**, podczas których Grzegorz Jankowicz, dyrektor programowy Festiwalu Conrada, przybliży uczennicom i uczniom małopolskich szkół średnich literaturę amerykańską. Spotykamy się stacjonarnie.
- **QUEEROWE LEKCJE CZYTANIA** na **Festiwalu Conrada**, poświęcone literaturze opowiadającej o doświadczeniach osób **LGBTQA+**, które będą odbywały się stacjonarnie w tygodniu festiwalowym, **od 24 do 28 października**.

Zapisy na spotkania stacjonarne:
lekjeczytania@tygodnikpowszechny.pl

Więcej informacji:



powszech.net/lekjeczytania

Zapis spotkań online można obejrzeć na [f /Lekjeczytania](https://www.facebook.com/Lekjeczytania)



MARCIN WICHA DLA „TP”

ZAMÓW TANIEJ

swoją prenumeratę
na 2023 r. zawczasu

tylko
do 2 listopada!

Szanowni Państwo,

2 listopada zmienimy cennik prenumeraty „Tygodnika Powszechnego”. Nie będzie już można zamówić niektórych opcji czasowych i promocyjnych, a cena pozostałych nieznacznie wzrośnie.

Ogromne, bezprecedensowe podwyżki cen papieru gazetowego, prądu, gazu i transportu to cztery krytyczne czynniki, które wymuszają na nas konieczność podwyżki ceny prenumeraty.

Detaliczna cena wydania wzrosła już kilka miesięcy temu, do 12 złotych. **W zwykłej prenumeracie rocznej to wciąż koszt około 9 złotych za wydanie.**

Z podwyżką ceny prenumeraty wydania drukowanego pisma zwlekaliśmy jak najdłużej, chcąc Prenumeratorom – naszym najbardziej oddanym Czytelnikom – umożliwić jej **zakup na jak najlepszych warunkach.**

Prenumerata jest najkorzystniejszą finansowo, dla nas i dla Czytelników, najbardziej efektywną formą dystrybucji prasy drukowanej – w ramach prenumeraty każdy egzemplarz, bez konieczności drukowania egzemplarzy nadmiarowych, trafia w ręce oczekujących go osób.

Serdecznie zapraszamy wszystkich naszych Czytelników do wykupienia lub przedłużenia prenumeraty jeszcze w październiku 2022 – na kolejne okresy rozliczeniowe. **Taniej** – bez względu na bardzo niepewną sytuację rynkową.

Dziękujemy, że jesteście Państwo z nami.

Jacek Ślusarczyk

Prezes Zarządu

Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie



PARTNER MARKETINGOWY

SALES | manago
marketing automation



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

**12 Kiedy Putin może przegrać**

ROZMOWA Z KATARZYNĄ PEŁCZYŃSKĄ-NAŁĘCZ:

Porażka w wojnie z Ukraińcami byłaby dla Rosjan nieprawdopodobnym upokorzeniem – z rąk młodszego brata, rozbijającym mity i zmuszającym do autorefleksji.

Putin o tym wie. Dlatego wygraża bronią atomową.

ВМЕСТЕ НАВСЕГДА!

20 Spółka skarbu partii

STEFAN SĘKOWSKI

Zwycięstwo PiS w kolejnych wyborach wymaga nadzwyczajnej mobilizacji środków. Z pomocą przychodzą partii wielkie pieniądze z państwowych źródeł. Wzorem dla tej strategii nie jest jednak polityka Viktora Orbána.

**62 Dam wam spokój**

ROZMOWA Z MARIĄ PESZEK:

Byłam pyszna krzycząc, że wystarczy przestać wierzyć w Boga, żeby odzyskać siebie. Tak, to była moja droga, ateizm dał mi siłę. Ale to było zbyt duże uproszczenie. I arogancja. Artyści nie mają patentu na to, jak ratować Polskę.

**44 Last minute do Tbilisi**

JAKUB MEJER Z GRUZJI

Rosjanie, uciekający przed mobilizacją do kaukaskiego sąsiada, dołączają do licznych rodaków, którzy zjeżdżali tu od kilku miesięcy. Nie wszystkim Gruzinom się to podoba.

**56 Awaria sieci WOJCIECH BRZEZIŃSKI**

U części pacjentów, którym udar uszkodził pewne obszary mózgu, nieoczekiwanie znikła potrzeba zapalenia papierosa. Czy odkryliśmy obwód odpowiedzialny za powstawanie uzależnień?

**76 Ruch króla**

ŁUKASZ KWIATEK

Arcymistrz zrezygnował z obrony tytułu. Ale to nie Magnus Carlsen ma problem. Jeśli naprawdę można szukać w partii z mistrzem świata i nie zostać przytłaczanym, to profesjonalne rozgrywki przestają mieć sens.

6 Niewidzialna wtyczka rynku
MAREK RABIJ

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJKA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ TEMAT TYGODNIKA

12 Kiedy Putin może przegrać
ROZMOWA Z KATARZYNA PEŁCZYŃSKĄ-NAŁĘCZ

■ ■ KRAJ

20 Spółka skarbu partii
STEFAN SĘKOWSKI

24 Nosimy nie swoje ciężary
PIOTR WÓJCIK:
Sposób firm na kryzys? Przerzucić koszty na klientów. Efekt: jeszcze wyższa inflacja

26 Ludzie Motyle
MARCIN CHODUŃ: *Jeździ po szkołach i mówi uczniom, jak choroba nauczyła go pokory*

■ ■ WIARA

30 Kościół jest zamknięty [2]
ANNA GOC, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MARCIN ŻYŁA

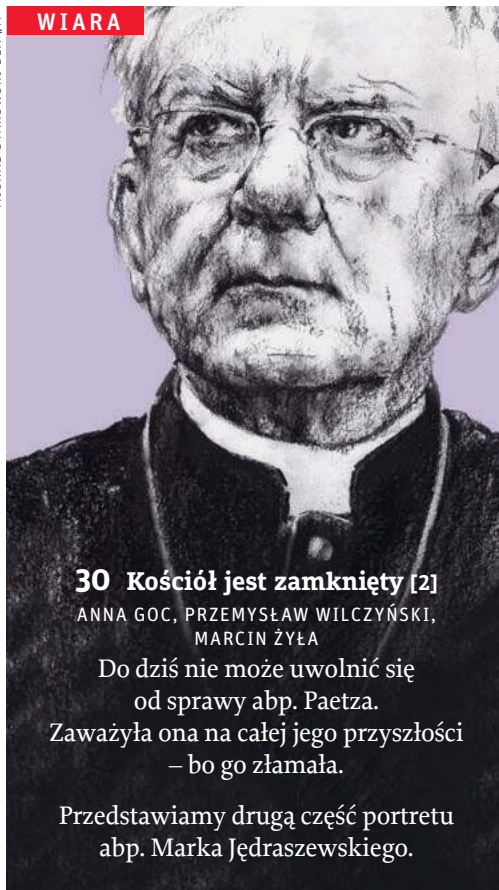
36 Głaskane i błogosławione
DOROTA BIDZIŃSKA: *Nie wolno męczyć zwierząt. Ale co tracimy, nie kochając ich?*

■ ■ ŚWIAT

40 Pierwszy pociąg do Bałakliji
PAWEŁ PIENIAŻEK Z OBWODU CHARKOWSKIEGO: *Podczas wojny kolej stała się jednym z filarów, na których oparła się Ukraina*

44 Last minute do Tbilisi
JAKUB MEJER Z GRUZJI

WIARA



30 Kościół jest zamknięty [2]

ANNA GOC, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI,
MARCIN ŻYŁA

Do dziś nie może uwolnić się
od sprawy abp. Paetza.
Zaważyła ona na całej jego przyszłości
– bo go złała.

Prezentujemy drugą część portretu
abp. Marka Jędraszewskiego.

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
39 WOJCIECH BONOWICZ 59 JACEK PODSIADŁO
75 PAWEŁ BRAVO 81 OLGA DRENDŁA
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: MARIA PESZEK, LIPIEC 2022 R.
FOTOGRAFIA:
DAWID GRZELAK / MATERIAŁY PRASOWE

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

47 Zimno, zimniej, Niemcy
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA:
Ceny energii destabilizują naszych zachodnich sąsiadów

50 Liz, Kwasi i finansowy hazard
PATRYCJA BUKALSKA:
Ryzykowny plan nowej premier Wielkiej Brytanii

■ ■ HISTORIA

52 Czarne Koszule na salonach władzy
BARTŁOMIEJ NOSZCZAK:
Sto lat temu „marsz na Rzym” uitorował faszystom drogę do władzy we Włoszech. W Polsce Mussolini jednych odrzucał, innych fascynował

■ ■ NAUKA

56 Awaria sieci
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

■ ■ KULTURA

62 Dam wam spokój
ROZMOWA Z MARIĄ PESZEK

66 Spotkanie w warownym miasteczku
JAN BŁASZCZAK
o operze według Radka Raka

69 Wpływ po oceanie
JAKUB MAJMUREK: *Widz platform streamingowych coraz częściej czuje się, jakby miał abonament kabłówki: płaci za tysiące godzin treści, których nigdy nie obejrzy*

72 Zbyt wiele do stracenia
ANITA PIOTROWSKA
o filmach „Simona” i „Serce dębu”: jak kino upomina się o zwierzęta

74 Duchy w szpitalu
LEKTOR wraca na łamy

■ ■ ZMYŚŁY

76 Ruch króla
ŁUKASZ KWIATEK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Jagielski Story [Podkast Powszechny]

Dlaczego wykształcone, bogate społeczeństwo od 43 lat żyje w państwie pełnym terroru? O Iranie opowiadają WOJCIECH JAGIELSKI, KRZYSZTOF STORY i MAREK KĘSKRAWIEC | powszech.net/podcast

➔ Sztuka powszechnie nieznana [Podkast Powszechny]

Są i tacy święci, do których należy zwracać się z modlitwą o powodzenie w interesach. Opowiada o nich MAGDALENA ŁANUSZKA | powszech.net/podcast

Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

NIEWIDZIALNA WTYCZKA RYNKU

Znosząc obowiązek sprzedaży energii elektrycznej przez giełdę i zamrażając jej ceny detaliczne, rząd PiS pośrednio przyznaje, że prąd nie może być dłużej towarem jak każdy inny.

MAREK RABIJ

ZPOLITYCZNEGO KURZU POWOLI WYŁANIA się nowy porządek polskiego rynku energetycznego, do którego właściwie nie przystaje już określenie „rynek”. Od nowego roku ceny prądu dla gospodarstw domowych – jak wynika z projektu rządowego – mają zostać zamrożone do limitu rocznego zużycia na poziomie dwóch megawatogodzin, a dla części odbiorców (rodzin wielodzietnych, gospodarstw domowych osób z niepełnosprawnościami oraz rolników) – 2,6 i 3 megawatogodzin. Zużycie powyżej wyznaczonych pułapów byłoby już rozliczane podług stawek wolnorynkowych, co ma skutecznie

zachęcić odbiorców indywidualnych do oszczędzania energii. Projekt nie rozwiązuje jednak gigantycznego problemu, jakim drogi prąd staje się także dla samorządów, instytucji publicznych i gospodarki. Widać to choćby w ostatnim odczycie inflacji. We wrześniu nośniki energii podrożały rok do roku aż o 44,2 proc., podczas gdy w całej gospodarce ceny wzrosły „jedynie” o 17,2 proc. Dlatego 29 września Sejm w przyspieszonym trybie poparł drugi rządowy projekt znoszący tzw. obligo giełdowe, czyli obowiązek sprzedaży energii elektrycznej poprzez Towarową Giełdę Energii. Zdaniem polityków

*Festiwal
Kinetycznej
Sztuki Światła.
Łódź,
23 września
2022 r.*

Zjednoczonej Prawicy pozwoli to szybko obniżyć rachunki odbiorców końcowych nawet o dwie trzecie, bo producenci energii będą mogli sprzedawać ją bezpośrednio klientom i dystrybutorom.

Większość dużych (i jednocześnie kontrolowanych przez państwo) wytwórców prądu zajmuje się także jego dystrybucją i dostawą do klientów końcowych, dlatego pominięcie etapu giełdy może faktycznie zaowocować spadkiem cen.

Branzowi eksperci zgodnie krytykują jednak ten pomysł, podkreślając, że zmiany pozwolą obniżyć ceny tylko na krótki czas. Powód? Zakup energii poza giełdą pozbawi kupujących informacji o tym, jak kształtują się jej ceny.

Problem polega na tym, że w realiach polskiego oligopolu energetycznego, gdzie dominują duzi wytwórcy, a produkcja prądu z trudem nadąża za zapotrzebowaniem, łatwo o manipulacje, wobec których giełda jest bezsilna. Pod koniec 2018 r. Urząd Regulacji Energetyki skierował nawet do prokuratury podejrzenie o popełnieniu przestępstwa polegającego na manipulacjach ceną energii na TGE, które miały mieć miejsce kilka miesięcy wcześniej. Urzędnicy dopatrzili się wówczas podejrzanych, dużych transakcji: te same podmioty, które wcześniej wystawiły na sprzedaż duże pakiety energii w bardzo atrakcyjnej cenie, niedługo później nabyły ją nawet czterokrotnie drożej – co błyskawicznie wywindowało kurs. Do podobnej sytuacji doszło wiosną tego roku. Pomiędzy 26 kwietnia a 10 maja hurtowe ceny na giełdzie energii rosły w tempie, którego nie uzasadniał ani popyt na krajowym rynku, ani ceny surowców energetycznych.

Rząd podkreśla, że jego projekt nie zakazuje obrotu energią na giełdzie. „O skorzystaniu z tej formy obrotu będzie decydować każdy uczestnik rynku samodzielnie, stosownie do własnej strategii rynkowej” – czytamy na stronie Kancelarii Premiera. Można jednak z góry założyć, że po zniesieniu obligu obrót energią na giełdzie zastygnie, skoro zainteresowanie uczestnictwem w tym rynku małało sukcesywnie od miesięcy. Tylko w lipcu br. obroty energią elektryczną na TGE zmalały rok do roku aż o 43,9 proc.

Zaczynamy więc dość ryzykowny eksperyment. Mechanizmy wolnorynkowego obrotu strategicznymi zasobami, takimi jak energia elektryczna, okazały się niewystarczające w obliczu wojny i wywołanych przez nią niedoborów węgla oraz gazu. Miejsce niewidzialnej ręki rynku ma zająć teraz silna ręka państwa. ©P

Groźby Putina to wojna psychologiczna

WOJCIECH KONOŃCZUK



ANNEKSJA OKUPOWANYCH TERYTORIÓW ukraińskich, dywersja na Nord Stream i groźby nuklearne Kremla sprawiają, że wojna weszła w bardziej niebezpieczny etap.

Wystąpienie Putina ostatniego dnia września było w pełni przewidywalne. Ogłosił przyłączenie czterech okupowanych regionów Ukrainy i powtórzył znane oskarżenia wobec Zachodu, który okazuje się winny niemal całemu złu tego świata. Ale na twarzach kilkuset przedstawicieli rosyjskich elit, zgromadzonych w wielkiej kremłowskiej sali, trudno było dopatrzeć się radości. Wydaje się, że dominującą emocją była niepewność – jakby zdawali sobie sprawę, że Rosja wchodzi w niebezpieczny moment swej historii. Szczególnie że Putin zapowiedział, iż zamierza bronić przyłączonych obszarów „wszystkimi dostępnymi sposobami”.

Jego słowa nie zrobiły jednak wielkiego wrażenia na Zachodzie, który wreszcie zaczął rozumieć, że Rosja prowadzi wojnę nie tylko przeciw Ukrainie. Jeśli ktoś miał wątpliwości, to zamachy na gazociąg Nord Stream nie pozostawiły złudzeń. Zachód jednym głosem mówi o dywersji i wydaje się, że niemal nikt nie ma wątpliwości, iż odpowiedzialnego trzeba szukać w Moskwie. Rosjanie pokazują w ten sposób, że jeśli zechcą, mogą uszkodzić inne podwodne gazociągi, choćby te doprowadzające gaz z Morza Północnego do kontynentalnej Europy.

Nieustanna presja energetyczna to – obok coraz regularniej powtarzanych gróźb nuklearnych – elementy zmasowanej rosyjskiej wojny psychologicznej prze-

ciw Zachodowi. Kreml zdaje się nie porzucać nadziei, że uda mu się w ten sposób wymusić zmniejszenie wsparcia wojskowego dla Ukrainy, bez którego armia ukraińska nie byłaby w stanie kontynuować wojny. To zaś miałoby doprowadzić do upragnionego zwycięstwa, którego Rosja nie jest w stanie osiągnąć na polu walki.

Ukraińska kontrofensywa nadal się rozwija, czego najlepszym dowodem jest odzyskanie Łymanu i innych miejscowości w obwodzie donieckim. Tymczasem po drugiej stronie frontu trwa chaotyczna mobilizacja 300 tys. rezerwistów, która przyczynia się do potężnego wzrostu strachu w społeczeństwie rosyjskim i ucieczki za granicę podobnej liczby mężczyzn. Nawet prokremłowskie ośrodki badania opinii społecznej pokazują, że poziom zaniepokojenia wśród Rosjan wzrósł w ciągu września z 35 proc. do 69 proc. Twarze prominentów zgromadzonych na Kremlu są więc emanacją nastrojów w całej Rosji.

Mobilizacja, pospieszna aneksja i nieustanne groźby władz rosyjskich sprawiają, że w zachodnich mediach i w narracji polityków wraca pytanie: czy Rosja może użyć broni nuklearnej? Kreml chce, abyśmy się tego bali, ale wciąż ma nadzieję, że mobilizacja uda mu się przechylić szalę wojny na swoją korzyść. Nic jednak na to nie wskazuje. Najpóźniej za kilka miesięcy Putin ostatecznie zrozumie, że poszedł na wojnę, której nie może wygrać, i zapewne jeszcze bardziej nasili swoje groźby nuklearne. On liczy na nasz strach – i poddanie mu się byłoby najgorszym rozwiązaniem. ©

Więcej w Temacie Tygodnika.

Zniszczone domy w wyzwolonej wsi Dolina w obwodzie donieckim. 2 października 2022 r.



METIN AKTAS / ABACA / PAP

Premier w kryzysie, czyli Polska nie ma głowy

MAREK KĘSKRAWIEC



TYLE POJAWIŁO SIĘ OSTATNIO POGŁOSEK NA TEMAT DYMISJI Mateusza Morawieckiego, iż pora zacząć się zastanawiać, czy w ogóle mamy jeszcze w Polsce premiera. Usunięto mu właśnie z rządu szefa kancelarii za brudy afery mailowej i atakowanie konkurentów we własnym środowisku, grożono mu też narzuceniem w roli ministra cyfryzacji Jacka Kurskiego. A chwilę wcześniej w rządzie ponownie zaparkował, w ramach haraczu dla Zbigniewa Ziobry, Janusz Kowalski – polityk budzący politowanie, który teraz będzie demolował rolnictwo.

Mało tego. W PiS nikt nawet nie próbuje ukrywać, że przeciwko premierowi buntuje się jego bezpośredni podwładny, minister Jacek Sasin, ostatnio rozzłoszczony na premiera za zlekceważenie jego sierpniowego pomysłu na utworzenie strategicznych rezerw węgla. Sasin Sasinem, ale wokół niego utworzyło się już całe towarzystwo, pragnące pozbyć się premiera, na czele z Elżbietą Witek (to kandydatka grupy na następcę Morawieckiego), Beata Szydło, mówi się też o Mariuszu Błaszczaku, ale on mógłby dołączyć tylko za zgodą prezesa PiS.

Jakkolwiek jest naprawdę, pomyślmy o jednym. Kto z nas chciałby i umiałby szefować firmie, w której najbliżsi współpracownicy nie są naszym wyborem, część kadry kierowniczej to sabotażyści, a większościowy udziałowiec, Jarosław Kaczyński, nie przecina sporów, lecz stosuje zasadę „dziel i rządź”? Nie wiem, co premier jeszcze tam robi. Jak widać, same pozory władzy też mogą być narkotykiem. ©

Alga złota i wszechmocna

ZESPÓŁ POWOŁANY PRZEZ RZĄD po katastrofie na Odrze przedstawił swój raport. Rolę szwarccharakteru niepodzielnie odgrywa w nim *Prymniesium parvum* (nazwa gatunku na 260 stronach pojawia się 304 razy). O wpływie nadmiernej regulacji, zrzutów ścieków, fatalnego zarządzania i spóźnionej reakcji służb znajdziemy ledwie wzmianki. Zupełnie inne są podsumowania Polskiej Akademii Nauk i niemieckiego Instytutu Leibniza. To nie złota alga podstępnie zakradła nam się do wody i wytruła 249 ton ryb – to myśmy ją zaprosili, dewastując rzekę i klimat.

Innego kalibru są też rekomendacje: zdaniem naukowców nie wystarczy monitorować, zamknąć nielegalne wloty ścieków, wpuścić trochę ryb i wrócić do swoich spraw. Trzeba zacząć renaturyzację rzek (nie tylko Odry), ograniczyć pozwolenia na wylewanie ścieków i podgrzanej wody z elektrowni, zatrzymać prace pogłębiarek i na nowo odpowiedzieć na pytanie: po co nam rzeka? PAN stwierdza jasno: „apelujemy o rezygnację z planów rozwoju żeglugi na rzecz realizacji i poszerzenia Krajowego Programu Renaturyzacji Wód Powierzchniowych”. © KRZYSZTOF STORY

KRAJ W SKRÓCIE

OPAMIĘTANIE

Dwóch dni przemysłu potrzebował Radosław Sikorski, by usunąć swój twitterowy wpis niemal wprost dziękujący Amerykanom za uszkodzenie Nord Streamu.

Choć innym ekspertom wybuchy jawiły się jako rosyjska prowokacja, to były minister i przyjaciel USA postanowił być jak zwykle oryginalny. Nie wyszło. Żona ponoć nie była zadowolona.



ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER

ODLOT

Kontent był jednak Jarosław Kaczyński, któremu ten wybryk zapisał się jako kolejny dowód na temat PO – Samo Zło. Prezes błysnął przy okazji humorem, komentując głosy uznające wpis Sikorskiego za niegroźną ekstrawagancję.

„Ekstrawagancja to jakby przyszedł na przyjęcie dyplomatyczne w slupkach”.

Potem jednak wrócił do starych prorocत्व: „Polska ma być zmieniona przez wielką ofensywę antykultury”.

ODBICIE

Osobliwe wypowiedzi i zamęt na rządowych szczytach już chyba nikogo nie zaskakują, bo PiS-owi poprawiły się sondaże. W sumie nie ma się co dziwić. Opozycja bawi się w Hamleta: „Dwie czy jedna koalicja? Oto jest pytanie”.

Naród to już znudziło, bo wciąż nie wie, jakiej ci państwo chcą dla nas Polski.

Na dokładkę zobaczyli w tym gronie Jarosława Gowina. To zaś może znaczyć dosłownie wszystko.

JACEK KRAJEWSKI, LEKARZ RODZINNY:

Bez skierowań



MATERIAŁY PRASOWE IZIO

MAŁGORZATA SOLECKA: 1 października weszły w życie przepisy o opiece koordynowanej. Co to oznacza dla pacjentów?

JACEK KRAJEWSKI: Dla zdecydowanej większości nic, bo obecnie poradnie podstawowej opieki zdrowotnej (POZ), z wyjątkiem kilku procent, nie są gotowe na wprowadzenie nowych rozwiązań i ich nie wprowadzą, bo to jest dobrowolny wybór. Po drugie, opieka koordynowana dotyczy wyłącznie pacjentów chorujących przewlekłe, np. na nadciśnienie czy cukrzycę.

Na czym polega opieka koordynowana?

Pacjent ma w niej zapewnioną właściwą opiekę na poziomie POZ. Lekarze nie będą musieli wystawiać skierowań do specjalisty, by ten zlecił badania, z którymi pacjent musi znowu wrócić do specjalisty, a potem do lekarza POZ. W poradni pojawi się też koordynator, który będzie pilnował realizacji indywidualnego planu leczenia, umawiał terminy badań i wizyt kontrolnych.

Czy lekarze rodzinni mają wystarczającą wiedzę do prowadzenia tych pacjentów?

Tak, choć na pewno część z nas musi ją odświeżyć czy pogłębić. Również dlatego ten proces potrwa nie miesiące, a lata. Dużą rolę ma do odegrania NFZ. Jeśli np. pomoże poradniom nawiązywać współpracę ze specjalistami albo korzystniej wyceni konsultacje w regionach, gdzie dostęp do specjalistów jest utrudniony, nowe rozwiązanie zafunkcjonuje szybciej. Ale i tak w części poradni nie zostanie wprowadzone prawdopodobnie nigdy. ©

JACEK KRAJEWSKI jest prezesem Federacji Porozumienie Zielonogórskie, zrzeszającej lekarzy POZ.

Czytaj więcej na powszech.net/u lekarza



KEVIN FOGARTY / REUTERS / FORUM

HURAGAN „IAN” zabił ponad 80 osób, a spustoszenia, które poczynił na Portoryko, Florydzie i w Karolinie Południowej, porównywano do efektów bomby atomowej. Prezydent USA Joe Biden obiecał szczodłą pomoc rządu federalnego, ale skutki tego huraganu, jednego z najsilniejszych, jaki kiedykolwiek dotarł nad Stany Zjednoczone, odczują setki tysięcy Amerykanów – na Florydzie tylko 18 proc. zniszczonych domów było ubezpieczonych od skutków powodzi. Na zdjęciu: zniszczenia na Pine Island, największej wyspie u zachodniego brzegu Florydy, widziane z helikoptera Gwardii Narodowej, 1 października 2022 r. © P ŻYM

Klimat śmiertelny dla aktywistów



KRZYSZTOF STORY

W ROKU 2021 NA CAŁYM ŚWIECIE zamordowano 200 aktywistów działających na rzecz ochrony środowiska. Najwięcej, bo 54 osoby, zginęły w Meksyku – podaje organizacja Global Witness, która takie prześladowania monitoruje od dziesięciu lat. W 2021 r. ponad trzy czwarte morderstw miało miejsce w Ameryce Południowej, co jest regułą od dekady. W niechlubnej statystyce prowadzą zatem – licząc w skali całej tej dekady – Brazylia (342 ofiary) i Kolumbia (322), trzecie są Filipiny (270).

„Większość tych zbrodni dzieje się w miejscach, gdzie władza nie sięga; są popełniane na tych, którzy pod wieloma względami nie mają na nic wpływu” – czytamy w raporcie. Wśród zamordowanych i zaginionych raczej nie znajdziemy wysoko postawionych pracowników znanych międzynarodowych organizacji. Zabija się tych, o których nikt się nie upomni. Zwłaszcza, jeśli broniąc swo-

jej ziemi, stają się przeszkodą w budowie nowej kopalni, wycince lasu pod plantację palmowców lub budowie elektrowni wodnej (te branże są powiązane z największą liczbą morderstw).

Ponad 40 proc. ofiar pochodziło z rdzennych społeczności, które stanowią tylko 5 proc. populacji na świecie. Wiele z nich to drobni rolnicy zawadzający wielkim interesom, zdarzają się też strażnicy parków narodowych. Niestety okupione krwią surowce i towary można bez problemu sprzedać na całym świecie.

Autorzy raportu Global Witness od lat apelują o prawo zmuszające firmy do rzetelnego sprawdzania, co, od kogo i jakim kosztem kupują. Na razie jednak kapitalizm woli nie patrzeć na ten tragiczny i ciągle rosnący rachunek. W ciągu ostatnich 10 lat za walkę o środowisko i własną ziemię zamordowano łącznie 1733 osoby. Co dwa dni jedną. © P

Brazylia: Lula vs Bolsonaro

ROZSTRZYGNIECIA nie było, choć sondaże sugerowały, że lewicowy kandydat Lula da Silva może zdobyć absolutną większość już w pierwszej turze brazylijskich wyborów prezydenckich, pokonując prawicowego Jaira Bolsonaro. Tymczasem poparcie dla urzędującego prezydenta było niedoszacowane: Lula uzyskał 48 proc., a Bolsonaro prawie 44 proc. i wszystko rozstrzygnie się za cztery tygodnie w drugiej turze.

Brazylia podzieliła się na dwa obozy, na czele których stoją politycy populistyczni. Lula był już prezydentem w latach 2003-11, a potem spędził kilkanaście miesięcy w więzieniu za korupcję (sąd anulował wyrok z powodów formalnych). Jest on popularny zwłaszcza w uboższych kręgach, gdyż w czasie swych rządów ograniczył biedę (było to możliwe także dzięki boomowi na eksport surowców). Z kolei Bolsonaro porównywany jest często do Donalda Trumpa – także dlatego, że wobec perspektywy przegranej już przed pierwszą turą kwestionował uczciwość głosowania. Urzędujący prezydent profituje dzięki dobrej sytuacji gospodarczej.

Faworytem jest Lula, przez wielu Brazylijczyków postrzegany jako „mniejsze zło”. Ale jego sukces nie jest przesądzony, a kraj czeka teraz jeszcze ostrzejsza kampania. © WP / FAZ, NZZ

Francja: renesans energii atomowej (i wiatrowej)

PLAN ROZBUDOWY elektrowni jądrowych przedstawiło francuskie ministerstwo energii. W ciągu najbliższych pięciu lat ma ruszyć budowa nowego reaktora, a potem pięciu kolejnych (będą to europejskie wodne reaktory ciśnieniowe, EPR). Wszystkie mają zostać podłączone do sieci od roku 2035. Rząd szacuje ich koszt na 52-56 mld euro. Harmonogram tego „renesansu atomu”, jak nazywa to prezydent Macron, uważany jest za ambitny, bo takie budowy trwają ostatnio we Francji długo. Np. reaktor typu EPR w normandzkim Flamanville, budowany od 2007 r., miał być oddany w 2012 r., a zostanie ukończony w 2023 r.

Ponad dwie trzecie prądu zużywanego we Francji wytwarzają elektrownie jądrowe. W kraju jest 56 reaktorów, ale ostatnio 32 były wyłączone lub pracowały w trybie ograniczonym (z powodu problemów technicznych czy konserwacji; wiele jest już starych). Władze liczą, że przed zimą pracować będą znów wszystkie i kraj poradzi sobie z kryzysem energetycznym.

Macron chce rozwijać też energetykę wiatrową: pod koniec września prezydent otworzył pierwszą we Francji farmę wiatrową. Tworzy ją koło Saint-Nazaire nad Atlantykiem 80 wiatraków. W budowie jest kolejnych sześć farm. © WP / FAZ, RND

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WSZYSCY

Papież poświęcił przemówienie przed niedzielną modlitwą „Anioł Pański” wojnie w Ukrainie. Putina „błagał” o zatrzymanie „spirali przemocy i śmierci, także dla dobra jego narodu”, prezydenta Ukrainy „o otwartość na poważne propozycje pokojowe”, zaś wszystkich o wsparcie dialogu.

WIELU

Film „Johnny” w ciągu pierwszych trzech dni po wejściu do kin obejrzało ponad 100 tysięcy osób. Wynik ten zapewnił filmowej historii życia ks. Jana Kaczkowskiego pierwsze miejsce w zestawieniu Box Office.

NIEWIELU

Z powodu braku powołań mniejsze diecezje wysyłają kleryków do ośrodków uniwersyteckich. Ten rok akademicki klerycy diecezji świdnickiej i legnickiej rozpoczęli w Metropolitalnym Wyższym Seminarium Duchownym we Wrocławiu. W przyszłym roku klerycy z łowicza przejdą z kolei do Warszawy.

JEDEN

W wieku 94 lat zmarł w Holandii Anne van der Bijl, znany jako Brat André, założyciel organizacji Open Doors, wspierającej prześladowanych chrześcijan.

W okresie zimnej wojny przemycił Biblię do krajów za żelazną kurtyną. Powołanie odkrył w Warszawie podczas V Festiwalu Młodzieży i Studentów w 1955 r.



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Biskup noblista drapieżcą seksualnym

ARTUR SPORNIAK



BOHATER NARODOWY, LAUREAT POKOJOWEJ Nagrody Nobla, a w latach 80. i 90. zwierzchnik Kościoła katolickiego w Timorze Wschodnim, bp Carlos Filipe Ximenes Belo, został oskarżony przez holenderski tygodnik o wielokrotne wykorzystywanie nastoletnich chłopców. Materiał śledczy „De Groene Amsterdammer” przedstawia świadectwo dwóch mężczyzn, którzy mieli zostać wykorzystani przez hierarchę w latach 90., gdy mieli po 14 i 15 lat. O drapieżnych skłonnościach hierarchy wiedziało wiele osób – gazeta powołuje się na anonimowe rozmowy z politykami, pracownikami organizacji pozarządowych i ludźmi z Kościoła. Jednak przez lata bp Belo miał w kraju bardzo silną pozycję – w 1996 r. razem z obecnym prezydentem Timoru Wschodniego José Ramosem-Hortą otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za działanie na rzecz rozwiązywania konfliktu z Indonezją (kraj ten w 1974 r. napadł na byłą kolonię portugalską).

Tajemniczo potoczyły się późniejsze losy biskupa. Belo jako 54-latek w 2002 r. podał się do

dymisji, tłumacząc się złym stanem zdrowia, ale po rozmowach z Kongregacją Ewangelizacji Narodów, której Timor podlegał, trafił do Mozambiku, gdzie uczył dzieci katechezy. Obecnie przebywa prawdopodobnie w Portugalii.

Watykan wypowiedział się dopiero dzień po publikacji. Rzecznik Matteo Bruni przyznał, że zarzuty dotyczące biskupa trafiły do Watykanu w 2019 r. i w ciągu roku nałożono na niego ograniczenia w poruszaniu się oraz sprawowaniu liturgii, a także zakaz kontaktu z nieletnimi i z Kościołem w ojczyźnie. Wciąż nie wiadomo jednak, czy przyjmując dymisję w 2002 r. Watykan wiedział o zarzutach wobec biskupa. Dlatego ONZ oraz grupy wsparcia ofiar pedofilii w Kościele wezwały Franciszka do zbadania watykańskich archiwów, podobnie jak to uczyniono podczas śledztwa wobec kard. Theodore’a McCarricka. Reakcja papieża będzie ważnym testem wiarygodności jego polityki wobec wykorzystywania bezbronnych w Kościele. ©P

Próba upokorzenia kardynała Zena

ZEZNANIA ŚWIADKÓW i dostarczone przez prokuraturę dowody wystarczają, by uzasadnić proces kard. Josepha Zena i pięciu współoskarżonych – uznał sąd w Hongkongu na posiedzeniu 28 września. Zarzuty wobec emerytowanego, 90-letniego ordynariusza Hongkongu dotyczą prowadzenia funduszu pomocy prawnej i finansowej dla obrońców hongkońskiej demokracji przed zakusami rządu w Pekinie. Władze uważają, że kardynał złamał przepisy o stowarzyszeniach: brak odpowiedniej rejestracji funduszu oznacza, że w świetle prawa Zen byłby powiązany z nielegalną organizacją. Kolejne posiedzenie sądu pod koniec października.

Kardynałowi grozi ok. 1200 dolarów grzywny. To kara raczej symboliczna, ale taka ma być: chodzi o publiczne upokorzenie hierarchy katolickiego, który zasłynął jako obrońca praw człowieka, bezwzględny krytyk władz chińskich i przeciwnik z nimi porozumień. W maju Zena aresztowano pod zarzutem naruszenia ustawy o bezpieczeństwie narodowym i „zmowy z obcymi siłami”, za co grozi wieloletnie więzienie. Część obserwatorów uważa, że obecne łagodne potraktowanie hierarchy ma związek z trwającymi negocjacjami z Watykanem w sprawie przedłużenia niejawnego umowy o współpracy w zakresie mianowania chińskich biskupów. ©P MAM

Polka w Watykanie



ANNA WILK DLA „TP”

EWA KUSZ została powołana przez Franciszka do Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich. Jako psycholożka o specjalizacji z seksuologii i terapeutki związana z Kościołem jest pionierką walki z pedofilią wśród duchownych w Polsce. Z jej inicjatywy powstało Centrum Ochrony Dziecka przy Akademii Ignatianum w Krakowie. Jest zastępcą dyrektora tego ośrodka oraz autorką wielu prowadzonych w nim programów szkoleń.

Zadaniem Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich jest opracowywanie norm, procedur i inicjatyw na rzecz ochrony dzieci i bezbronnych osób dorosłych. Po kryzysach związanych z opuszczeniem tego gremium przez członków będących w przeszłości ofiarami pedofilii (skarżyli się oni na nikły wpływ komisji na działania urzędników watykańskich), zostało ono w ramach niedawnej reformy kurii rzymskiej włączone do Dykasterii Nauki Wiary, ale zachowało autonomię. ©P ASK

KULTURA W SKRÓCIE

STAN SPLĄTANY

Już 8 października w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi rozpocznie się 17. Międzynarodowe Triennale Tkaniny. Na wystawie znajdzie się 56 prac spośród ponad czterystu zgłoszonych, w tym tradycyjne gobeliny czy hafty, jak i eksperymentalne instalacje.

STAN SPEKTAKLU

Tego samego dnia w Radomiu startuje 15. Międzynarodowy Festiwal Gombrowiczowski. W programie m.in. „Zbrodnia z premedytacją” Błażeja Peszka, „Dzienniki”, które dla krakowskiego Teatru Bagatela wyreżyserował Mikołaj Grabowski, oraz „Kosmos” Simul Theatre Koniereni z Tokio w reż. Yasuhiro Akai.

STAN NAPIĘCIA

W finale pierwszej edycji konkursu o Nagrodę Dramaturgiczną im. Tadeusza Różewicza znalazły się trzy sztuki: „Feblik” Małgorzaty Maciejewskiej, „Mama ma szorstkie ręce” Jolanty Fainstein-Pasternak oraz „XYZ” Krzysztofa Szekalskiego. Decyzję kapituły poznamy 13 listopada.

STAN PO STRACIE

Zwyciężczynią Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej została Malina Prześluga. Wyróżniono jej sztukę „Jeszcze tu jesteś”, opowiadającą o żałobie po stracie dziecka. Autorka, jak podkreśliło jury, „stworzyła wymowną fonosferę osamotnienia, która może wybrzmieć zarówno w teatrze żywego planu, jak w słuchowisku czy spektaklu telewizyjnym”.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIA”

co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań www.tokfm.pl

„MONDO CANE” to włoski dokument z lat 60. i pierwszy z tzw. filmów śmierci, składających się głównie ze scen umierania. Zaś „Mondo cane” w nagrodzonym Literacką Nagrodą Nike tomiku Jerzego Jarniewicza to także pierwsze w życiu dotkliwe niespełnienie: „pierwszy raz, kiedy aż tak zapragnąłem: widzieć, zobaczyć, popatrzeć”.

Ponieważ chłopca na szokujący film nie wpuszczono, sceny możliwych śmierci wyobraża sobie przed snem, próbując „rozgryźć słowa z plakatu”. Obrazy śmierci powracają – w widoku śpiącego młodzieńca, podczas kolejnych, coraz częstszych wizyt u lekarza albo gdy za oknami pociągu przepływa Łódź z jej nieczynnymi kinami i zakładami tekstylnymi. Jarniewicz notuje rozstania, wypadki, fotosy i newsy, ale też – igrając z tradycją wschodnioeuropejskiej poezji konfesyjnej – starzenie własnego ciała. Ważny jest także dla tego tomu sam fizyczny gest zapisywania, w którym, dając pozory ciągłości, czai się przewrotna osobność litererek. © P MOCH



ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Nie będzie rewolucji – nadprzewodnik wycofany



ŁUKASZ LAMŻA

CZASOPISMO „NATURE” OFICJALNIE WYCOFAŁO artykuł naukowy z 2020 r. dotyczący nadprzewodnictwa w temperaturze pokojowej. Procedura taka, formalnie zwana retrakcją, to rzadkie zjawisko na tak wysokim szczeblu nauki i zawsze budzi potężne emocje. Rzeczony artykuł Elliota Snidera (magistra inżynierii mechanicznej z Uniwersytetu w Rochesterze) i współpracowników ma teraz w tytule słowo „RETRACTED” oraz nadpisano je wołowymi literami na każdej stronie jego elektronicznej wersji: ostateczna pieczęć wstydu.

O co to zamieszanie? Nadprzewodnictwo to przedziwne zjawisko fizyczne, wskutek którego poniżej określonej temperatury pewien materiał staje się nadprzewodnikiem – obok innych ciekawych właściwości, całkowicie zanika w nim wówczas opór elektryczny. Może więc przewodzić prąd bez strat energii. Analogicznie, gdyby udało się obniżyć do zera „zwykły” opór mechaniczny, np. eliminując tarcie, można by rozpedzić ciężarówkę w Krakowie, a ta nawet przy wyłączonym silniku dojechałaby do Gdańska, nie zwalniając po drodze. Nadprzewodnic-

two mogłoby zrewolucjonizować energetykę, budzi też nadzieje w kontekście komputera kwantowego.

Rzecz w tym, że występuje zwykle tylko w bardzo niskich temperaturach – nie oszczędzimy zaś energii, jeśli kable trzeba schładzać do -250 st. Celsjusza. W 2020 r. autorzy wycofanego teraz artykułu ogłosili, że uzyskali nadprzewodnictwo w temperaturze 15 st. Celsjusza. Choć próbkę ich materiału trzeba w tym celu potężnie ścisnąć w diamentowym imadle – to typowe dla nadprzewodnictwa w wysokich temperaturach – doniesienie takie pachnie Nagrodą Nobla. Wynik od początku budził jednak kontrowersje i co kilka miesięcy „Nature” dołączało do artykułu coraz to nowe komentarze, notki i korekty. Ostatecznie, gdy wyniku nie udało się odtworzyć kolejnym grupom badaczy, a autorzy nie potrafili wytłumaczyć się ze stosowanych przez siebie technik statystycznych, redakcja ogłosiła retrakcję.

Autorzy utrzymują, że ich wynik nie jest ani oszustwem, ani pomyłką i w najbliższym czasie złożą do publikacji nowy artykuł. © P



ДОНЕЦК, ЛУГАНСК, ЗАПОРОЖЬЕ, ХЕРСОН

РОССИЯ!

TEMAT
TYGODNIKA

KIEDY PUTIN MOŻE PRZEGRACĆ

KATARZYNA PEŁCZYŃSKA-NAŁĘCZ, ANALITYCZKA:

Porażka w wojnie z Ukraińcami byłaby dla Rosjan nieprawdopodobnym upokorzeniem – z rąk młodszego brata, rozbijającym mity i zmuszającym do autorefleksji. Putin o tym wie. Dlatego wygraża bronią atomową.



ALEXANDER NEMENOV / AFP / EAST NEWS

*Po podpisaniu przez Putina dokumentów aneksyjnych władze zorganizowały na placu Czerwonym wiec i koncert.
Moskwa, 30 września 2022 r.*

MARCIN ŻYŁA: Odkąd 21 września Władimir Putin ogłosił częściową mobilizację, w obawie przed powołaniem do wojska Rosję opuściło już ponad ćwierć miliona ludzi. Co nam mówi ten exodus?

KATARZYNA PEŁCZYŃSKA-NAŁĘCZ: Coś o ważnej zmianie nastrojów. Dotąd Rosję opuszczały osoby, które aktywnie przeciwstawiały się reżimowi oraz wojnie z Ukrainą. Teraz wyjeżdżają i ci, którzy mieli nadzieję, że jeśli będą żyli spokojnie i nie będą wchodzili w drogę władzy, ta nie przyjdzie po nich do domu.

To kolejna niepisana umowa ze społeczeństwem, którą naruszył Putin. Ogłaszając mobilizację, sięgnął po rzecz naj-

ważniejszą – życie. Wielu Rosjan tego życia oddać nie chce.

**Kim są ludzie, którzy wyjeżdżają?
Co to za grupa?**

Oni różnie myślą o wojnie – jedni są jej przeciwnikami, inni nie mają zdania, lecz są pewni, że nie chcą walczyć. Wszyscy jednak zobaczyli, że wojna dotyczy już każdego.

Oczywiście w Rosji jest kilkadziesiąt milionów mężczyzn w wieku poborowym, więc ćwierć miliona uciekinierów to niewiele. Ale z kraju trudno wyjechać; wymaga to pieniędzy i przedsiębiorczości. Bilety są wykupione, na granicach korki, Europa już zamknęła przejścia graniczne.

Ważna jest też psychologia. Po 1991 r. Rosja przeżyła wielką migrację z byłych republik sowieckich. Ludzie wracali do Rosji w przekonaniu, że żyje się tu bezpieczniej i dostatniej. Teraz jest odwrotnie – dla setek tysięcy osób bezpieczniej jest w tych, z ich perspektywy, byłych koloniach, na które wciąż często patrzą z wyższością. Stoją jednak w kolejkach, aby dostać się do Kazachstanu, Armenii czy Gruzji. To wizerunkowa porażka Rosji.

Od ponad dekady – od chwili, gdy Putin zaostrzył swoją politykę – wyczekujemy pojawienia się w Rosji siły, z którą Kreml będzie musiał się liczyć, lub z którą przegra. ➔

Dywersja na Bałtyku

18 MLD EURO: prawie tyle kosztowała budowa dwóch nitek gazociągu Nord Stream z Rosji do Niemiec. Pierwsza nitka NS1 (jej koszt, 7,5 mld euro, poniosła Rosja i udziałowcy z Niemiec oraz innych krajów europejskich) pracowała 11 lat, dostarczając połowę gazu, który w tym czasie zużyła Europa. Już to pokazuje uzależnienie niektórych państw – a najbardziej Niemiec, gdzie co drugie mieszkanie ogrzewane jest gazem i w dużym stopniu na gazie oparto produkcję prądu. W 2021 r. aż 55 proc. zużywanego tam gazu pochodziło z Rosji. Drugą nitkę, NS2 (jej budowę, za 10 mld euro, finansowała sama Rosja), ukończono w 2021 r., ale 22 lutego rząd Niemiec zablokował procedurę dopuszczenia jej do użytku.

SPISANIE NA STRATY udziałów w NS1 firmy europejskie musiały rozważyć już na przełomie sierpnia i września, gdy – po okresie „przerw technicznych” – Gazprom wstrzymał dostawy tym rurocią-

giem, tłumacząc to europejskimi sankcjami, które miały utrudnić konserwację urządzeń. Inwestycyjną ruiną gazociąg stał się ostatecznie pod koniec września, gdy Dania i Szwecja (NS biegnie przez ich wody) stwierdziły, iż został on uszkodzony w czterech miejscach. Co do tego, że gazociąg wysadzono, zgodni są wszyscy. Putin oskarża o to Zachód. Na Zachodzie panuje zgoda, że zrobili to sami Rosjanie. Wśród możliwych przyczyn wymienia się:

- zwiększenie presji na zachodni rynek gazu, by jego ceny wzrosły i pogłębił się kryzys energetyczny, co z kolei miałoby zmusić rządy w Europie do zniesienia sankcji i wstrzymania wsparcia dla Ukrainy;
- dostarczenie usprawiedliwienia Gazpromowi, gdyby zachodnie firmy i rządy wniosły pozwy o zadośćuczynienie za złamanie umów, stracone udziały i koszty stabilizowania sytuacji (np. na nacjonalizację

spółki Uniper, która sprzedawała rosyjski gaz odbiorcom prywatnym i firmom, a teraz mogła upaść, rząd Niemiec wyda kilkanaście miliardów euro);

- wysłanie ostrzeżenia, że Rosja jest gotowa na radykalne kroki lub/i dostarczenie Kremlowi pretekstu do „odwetu”, wymierzonego w zachodnią infrastrukturę. Taką jak rurociągi, którymi gaz płynie z Norwegii. Obecnie to Norwegia jest kluczowym dostawcą gazu dla wielu krajów, w tym Polski.

W OKOLICY NORWESKICH PLATFORM wydobywczycy na kilka dni przed atakiem na Nord Stream zauważyli drony – mógł to być element zastraszania. Norwegia wzmocniła ich ochronę, także z pomocą wojska. Wiele krajów wysłało na Bałtyk i Morze Północne okręty wojenne. NATO oświadczyło: „Każdy dokonany z premedytacją atak na krytyczną infrastrukturę krajów Sojuszu spotkałby się ze wspólną i zdecydowaną reakcją”.

©© WOJCIECH PIĘCIAK

Nie mamy takiej wiedzy, aby wskazać kandydata. Ktoś taki może się znaleźć w otoczeniu Putina, ale może się też okazać, że takiego człowieka nie ma. Ludzi na Kremlu dobrano bardzo starannie. Widać to po Dmitriju Miedwiediewie, który przez jedną kadencję zastępował Putina na stanowisku prezydenta. Awansując go, Putin miał oko – wiedział, że Miedwiediew nigdy nie rzuci mu wyzwania. Dziś jest wręcz nadmiernie gorliwym zwolennikiem prezydenta. Kojarzy mi się z parodią polityka, z pajacem, który postępuje kilka kroków przed Putinem.

Wokół rosyjskiego prezydenta znajdują się ludzie wybrani z klucza elastyczności, zdolności do całkowitego podporządkowania się. Tacy, którzy nie umieją budować własnej wielkości, brać na siebie odpowiedzialności i ryzyka. Są też osoby powiązane z Putinem wieloletnimi interesami, które nie mają życia poza takim systemem. Ktoś, kto podjąłby próbę przejęcia władzy, podjąłby ogromne ryzyko – niepowodzenie przypłaciłby życiem nie tylko własnym, ale i najbliższych.

A niezadowolenie w rosyjskiej armii to nie potencjał do ewentualnego przewrotu?

W historii Rosji nie ma tradycji zamachów wojskowych. Niepowodzenia w Ukrainie sprawiły, że armia jest rozczarowaniem dla wszystkich. Niezdolność generałów do profesjonalnego prowadzenia wojny osłabia ich wewnętrzną pozycję w kraju.

Oczywiście rosyjskie wojsko działa w trudnych warunkach. Przygotowywano je do wojny z użyciem poborowych, a nakazano prowadzić „operację specjalną” bez nich. Mobilizacja została ogłoszona, gdy duża część korpusu oficerskiego i żołnierzy zawodowych została przetrzebiona. Poborowych nie za bardzo ma więc kto szkolić. W armii czuć frustrację, której sprzyja też ręczne sterowanie nią przez Putina.

Prezydent Wołodimir Zełenski od 24 lutego powtarza, że trwa bój o istnienie Ukrainy. Ale z Pani słów wynika, że to jest też wojna egzystencjalna dla Putina. I jeśli ma on pozostać na Kremlu, nie może przegrać na froncie.

To prawda, również dla niego to wojna o istnienie. Nie musiał jej prowadzić, aby przetrwać. Ale od chwili, gdy ją zaczął, nie

→ **Takiej masy krytycznej nie wyzwoliły ani zabójstwa politycznych oponentów, ani aneksja Krymu i wojna w Donbasie; nie były nią też teraz protesty Rosjan po ponownej agresji na Ukrainę. Ucieczka poborowych to też nie ten moment?**

Przypomnijmy sobie Białoruś – długie i powszechne protesty przeciw reżimowi Łukaszenki, ostatecznie stłumione. Była to lekcja o zdolności zmiany autorytarnego reżimu oddolnie, w sytuacji, gdy jest on gotów użyć przeciwko obywatelom wszelkich środków, nawet broni ostrej. Lekcja, która pokazała, że reżim to nie tylko lider, ale i jego otoczenie oraz tzw.

sektory siłowe. Ludzie o giętkiej konstrukcji moralnej, którzy nawzajem spleli ze sobą swoje życie i dobrobyt. Taki układ jest w stanie zmusić do posłuszeństwa olbrzymią większość społeczeństwa.

W Rosji nie było tak masowych protestów jak na Białorusi. Ludzie, którzy sprzeciwiają się Kremlowi, to mały wyćinek społeczeństwa, który zresztą płaci za ten sprzeciw bardzo wysoką cenę. Oddolny protest mógłby odnieść efekt tylko wtedy, gdyby został wykorzystany przez układ na górze. Czyli przez kogoś, kto wykorzystałby sytuację, aby usunąć Putina.

A kto to może uczynić?

ma się już dokąd wycofać, także w swoim wewnętrznym kręgu. Wizerunek człowieka władzy, który działa z pozycji siły, jest fundamentalnym elementem jego legitymizacji. Jeżeli okaże się mięczakiem, który poszedł na wojnę i ją przegrał, straci autorytet.

Co więcej, rosyjski system powoli przestaje funkcjonować bez wojny – stała się ona motorem napędowym kraju. Skoro obywatele mają przed sobą coraz mniej perspektyw lepszego życia, zastępuje je perspektywa zbiorowa: wizja zwycięskiej Rosji, stawiającej opór złym siłom świata, ze Stanami Zjednoczonymi na czele. Rosja coraz częściej pozycjonuje się w roli rzeczniczki wszystkich narodów krzywdzonych przez tego, jak przedstawia to Putin, „światowego szatana”. Nieprzystająca do rzeczywistości, ideologiczna figura ciągnie do przodu reżim Putina. Ma zastępować ludziom dobrobyt, bezpieczeństwo, przewidywalność – wszystko.

Skąd się bierze siła tej opowieści?

Jest zakorzeniona w micie założycielskim współczesnej Rosji – tym o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Putin wrócił do tej narracji, do idei „świętej Rosji”, która wówczas wyzwoliła świat od faszystów. Teraz Rosja ma wyzwalać świat przed Zachodem. Jest to sprytnie posunięcie, ponieważ nawiązuje do resentymentów postkolonialnych.

To ważne o tyle, że w Polsce często nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak ogromna jest w świecie pretensja do Zachodu – już nie tylko o kolonializm. Ostatni przykład: w Pakistanie jedna trzecia kraju znalazła się pod wodą, straty są gigantyczne. To efekt zmian klimatycznych, a więc pośrednio – przemysłowego rozwoju Zachodu w ostatnich dekadach. Z Pakistanu słychać apele o odszkodowanie od państw rozwiniętych – za to, że krajowi zgotowano taki los. Mówi się: Ukraina otrzymuje pomoc, dla nas już jej nie ma. Rosja świetnie czuje te emocje i na nich próbuje budować swoją pozycję.

**Odwróć ostatnie pytanie:
czy proponowany Rosjanom mit
o potęgę ma jakieś słabe punkty?
Kiedy mogliby się przekonać,
że jest fałszywy?**

Może się to zdarzyć na froncie w Ukrainie. Nieprzypadkowo Putin zmienił narrację. Nie mówi już o tym, że ta wojna jest

Nie można pokazać,
że atomowy straszak działa.

Jeśli Zachód raz się
w takiej sytuacji wycofa,
już zawsze będzie to robić.

walką z „nazistowskim reżimem Zełenskiego” o „wyzwolenie mordowanych Rosjan”. Teraz akcenty przesunął na dużo poważniejszego wroga – Stany Zjednoczone i Zachód – żeby uzasadnić, dlaczego od Rosjan się wymaga więcej, i dlaczego potrzebna jest mobilizacja.

Porażka na froncie z Ukraińcami byłaby dla Rosjan nieprawdopodobnie upokarzająca. Dla wielu byłoby to upokorzenie jakby z rąk młodszego brata, rozbijające mit i zmuszające do autorefleksji. Putin o tym wie. Dlatego wygraża bronią atomową.

**W swoim przemówieniu
z 30 września, oprócz
spodziewanego ogłoszenia aneksji
przez Rosję kolejnych po Krymie
regionów Ukrainy – Donbasu,
Ługańska, Zaporozża i Chersonia –
Putin atakował Zachód. Wymienił
litanię jego domniemyanych grzechów
– od destabilizacji Rosji w XVII w.
po współczesną akceptację zmiany
płci. Wątki tzw. wojny kulturowej
z Zachodem, które pojawiły
się w tym przemówieniu, jeszcze
kilkanaście lat temu były w Rosji
marginalne. Jeśli się pojawiały,**

to na obrzeżach polityki.

**Teraz stają się częścią polityki
oficjalnej. Czy ta szczegółowa
narracja – w której jest miejsce
i na „amerykańskiego szatana”,
i na „zło gender” – jest rzeczywiście
szyta na miarę i oczekiwania Rosjan?**

Nie dysponujemy szczegółowymi badaniami socjologicznymi, trudno o nie w państwie niemal totalitarnym. Wiemy, że do momentu mobilizacji sondaże pokazywały, iż większość Rosjan – nawet do 80 proc. – uznaje, że sprawy idą w dobrym kierunku. Po ogłoszeniu mobilizacji wskaźnik ten spadł o ok. 10 proc. Społeczeństwo wciąż kupuje narrację Putina.

W tę narrację, oprócz mitu wojny ojczyźnianej, wpisuje się fiksjacja antyamerykańska – zrodzona podczas zimnej wojny i dość szybko przywrócona po upadku Związku Sowieckiego. Oraz właśnie ów element „rosyjskich” wartości konserwatywnych, które są przeciwstawione „zepsutemu” Zachodowi, zdominowanemu przez mięczaków czy „zwyrodniałych” ludzi LGBT. Takie antyprogresywne postawy są w Rosji powszechne. To o tyle zaskakujące, że rosyjskiego społeczeństwa nie można nazwać konserwatywnym – wskaźnik aborcji jest tam wyższy od wskaźnika żywych narodzin. Rosjan jednak od pokoleń kształtowano w hipokryzji, więc deklaracje o tradycyjnych wartościach to jedno, a rozwoju, przemoc w rodzinie czy alkoholizm – to drugie. Tych rzeczy się nie zestawia. I m.in. dlatego opowieść Putina tak dobrze działa.

**Powiedziała Pani niedawno, że
efekt mobilizacji, o ile w ogóle,
będzie w Rosji widoczny dopiero**



POŻEGNANIE

Michałowi Okońskiemu

wyrazy serdecznego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

SKŁADAJĄ PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

→ **na wiosnę. I że w związku z tym Ukraińcy mają czas do końca zimy, co, przy założeniu, że utrzymają dobrą passę na froncie, pozwala przypuszczać, iż odzyskają jeszcze sporo ziemi zagrabionej – i oficjalnie zaanektowanej – przez Rosję. Jak na kolejne porażki może zareagować Putin?**

Mówi się, że Rosjanie mogą wysłać na front nieprzeszkolonych poborowych. To będzie skutkowało bardzo wysoką śmiertelnością żołnierzy, czym władze najwyraźniej się nie przejmują.

Trudno mi ocenić, na ile to pozwoli przetrzymać ukraińską ofensywę. Kluczowa jest gotowość Zachodu do kontynuowania dostaw uzbrojenia. I strategiczna decyzja, która zostanie podjęta przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych: w jaki sposób podejść do straszaka nuklearnego.

Drugi ważny czynnik to ten finansowo-energetyczny. Z Rosją trwa przecież wojna gospodarcza. Myślę, że Europejczycy nie mają już możliwości odwrotu. Nie zaproponują przecież Rosji wznowienia dostaw gazu – Moskwa postawiłaby wtedy warunki nie do przyjęcia. Jedyne, co mogą sobie wyobrazić, to niedopełnie-

nie obietnicy, że do końca roku kraje Unii Europejskiej przestaną kupować w Rosji ropę. A to jest kluczowe, bo właśnie na ropie stoi rosyjski budżet.

I trzecia sprawa: kondycja gospodarcza Ukrainy, czyli państwa, które w Stanach Zjednoczonych określa się już trudno przetłumaczalnym na język polski terminem „warrior state”. Okazało się ono zdolne do prowadzenia bardzo efektywnej wojny, ze społeczeństwem heroicznie znoszącym wszelkie wyrzeczenia. Ale to też ma granice. Rosyjską taktykę „na wyniszczenie” Ukraińcy odczuwają szczególnie zimą, kiedy będzie brakować prądu czy ogrzewania.

Może właśnie teraz, po ogłoszeniu aneksji, stoi przed Zachodem kluczowa decyzja. Na razie konflikt z Rosją toczył on pośrednio, z unikaniem eskalacji. Czy to wciąż możliwe po groźbach nuklearnych Putina?

W wymiarze cybernetycznym, informacyjnym i ekonomicznym wojna z Rosją już trwa. Uczestniczymy w niej również, dostarczając bezprecedensową ilość broni Ukraińcom. Nie ma jednak bezpośredniego zaangażowania sił zbrojnych,

natowskich i amerykańskich, przeciw Rosji. I nie byłabym zwolenniczką takiego rozwiązania.

To jak powinien zachować się Zachód?

Nie ma dobrych rozwiązań. Ja skłaniam się ku temu, żeby szantażowi nuklearnemu nie ulegać i trzymać się dotychczasowej strategii wsparcia Ukrainy.

Rozważmy dwa scenariusze. Pierwszy: ze strachu przed nuklearną eskalacją przyjmujemy ofertę, która od kilku dni leży na stole – cztery kolejne regiony Ukrainy przechodzą do Rosji, Zachód przynymka na to oko, dostawy broni do Ukrainy zostają ograniczone. W efekcie kontrofensywa Kijowa zostaje powstrzymana. Ale przecież wiemy, że Rosja wykorzysta ten czas, żeby przeskolić ludzi, wylizać rany – i wznowić atak na Ukrainę. Co więcej, jeśli Putin zobaczy, że szantaż nuklearny działa, jeszcze chętniej zastosuje go w przyszłości. Powstaje więc pytanie, jak długo jesteśmy gotowi ustępować?

Drugi wariant: nie przyjmujemy tej „oferty”. Ukraina walczy, Zachód ją zbroi. Jest szansa, że w zderzeniu z siłą reżim się załamie. Zachodowi nie chodzi przecież o pokonanie Rosjan w Rosji, tylko o wygranie z nimi w Ukrainie. Oczywiście w tym scenariuszu Amerykanie muszą być gotowi na wszystkie warianty rozwoju sytuacji i mieć dokładnie przeciwczoną i uzgodnioną z sojusznikami odpowiedź.

Ryzyko związane z użyciem taktycznej broni nuklearnej jest dla Rosji wysokie; pierwsze eksplozje atomowe w warunkach bojowych od czasu II wojny światowej pogłębiłyby jej izolację. Ale dyktatorzy zapędzeni do narożnika bywają nieprzewidywalni. Założmy więc najgorsze: Putin decyduje o użyciu takiej broni – detonuje ją demonstracyjnie nad Morzem Czarnym albo wysyła raketę przeciw ukraińskiej bazie wojskowej. Ginie kilkaset osób, Rosja ogłasza ultimatum: będzie tego więcej, jeśli Ukraina nie wycofa się z Donbasu. Jak powinien odpowiedzieć Waszyngton?

Na pewno nie można pokazać, że taki straszak działa. Jeśli Zachód raz się w takiej sytuacji wycofa, później zawsze

Jaka Rosja po Putinie

DO KARCERU Aleksiej Nawalny trafił znów po tym, jak Putin ogłosił mobilizację. Opozycjonista, więziony od stycznia 2021 r., został tam umieszczony, gdy na prowadzonej w łagrze rozprawie (niezależnie od 9-letniego wyroku toczą się przeciw niemu kolejne sprawy) nazwał przywódcę Rosji zbrodniarzem. Putin chce związać ze sobą Rosjan za sprawą przelanej krwi – mówił.

SWOJĄ WIZJĘ, jak mogłaby wyglądać Rosja bez Putina, Nawalny opublikował w tekście, który (najwyraźniej przemycony z więzienia) ukazał się w pierwszy weekend paź-

dziernika w dwóch dziennikach: niemieckim „FAZ” i amerykańskim „Washington Post”. Putin nie może wygrać tej wojny, a Ukraina musi pozostać niezależna i demokratyczna, pisze Nawalny, zaznaczając, że równie ważna kwestia brzmi: jak sprawić, by powojenna Rosja stała się innym krajem i nigdy więcej nie uznała, że wojna to świetna metoda osiągnięcia celów.

NAIWNE JEST oczekiwanie, że wymiana przywódcy automatycznie doprowadzi do zmiany systemu, stwierdza Nawalny, gdyż prawdziwą partią wojny

jest dziś cała rosyjska elita, która nienawidzi Ukrainy i jej europejskiego wyboru, i chce, by stała się państwem upadłym. Dobra wiadomość jest za to taka, że tę obsesję podziela, zdaniem Nawalnego, niewielka część społeczeństwa.

ZMIENIĆ WŁADZĘ w Rosji mogą tylko jej obywatele, uważa Nawalny. A jedynie zmiana ustroju – na demokrację parlamentarną – może zapewnić, iż po Putinie kraj nie pozostanie Rosją putinowską, z jej agresywnym, autorytarnym imperializmem. Nawalny nie odpowiada jednak na pytanie, jak Rosjanie mogliby się pozbyć dyktatora.

© WP / FAZ, DPA

będzie to robić. Dla Stanów Zjednoczonych gra idzie o wysoką stawkę. I nie chodzi tu wyłącznie o deklarowaną przez Waszyngton obronę świata opartego na wartościach demokratycznych. Rosyjski atak na Ukrainę jest wyzwaniem rzuconym bezpośrednio Stanom Zjednoczonym. A każde imperium, także amerykańskie, jest silne tak długo, jak długo inni wierzą w jego siłę. Amerykanie muszą więc okazać siłę.

Jednocześnie wiadomo, że za wszelką cenę trzeba uniknąć eskalacji atomowej. Gdyby doszło do przekroczenia przez Rosję tej czerwonej linii, prawdopodobny wydaje się dotkliwy odwetowy atak konwencjonalny na cele rosyjskie. Byłby to sygnał, że Amerykanie nie mają skrepowanych rąk, a jednocześnie byłoby to rozwiązanie minimalizujące ryzyko wojny atomowej.

W odpowiedzi na rosyjskie deklaracje o aneksji prezydent Zełenski zgłosił de facto akces Ukrainy do NATO. Jak po wojnie może wyglądać status tego kraju, jego gwarancje bezpieczeństwa?

Myślę, że po zakończeniu działań wojennych Ukraina powinna dostać długoterminowe zobowiązania na dostawy najnowocześniejszej broni. Wątpię, aby Kijów szybko otrzymał gwarancje podobne do tych z artykułu piątego traktatu północnoatlantyckiego. Trzeba więc doprowadzić do sytuacji, w której Ukrainie gwarantuje się, że dostanie wszystko, żeby



KATARZYNA PEŁCZYŃSKA-NALĘCZ

(ur. 1970) jest politolożką i socjolożką. Była wiceministrem spraw zagranicznych (2012-14) i ambasadorem RP w Moskwie (2014-16), wcześniej pracowała m.in. w Ośrodku Studiów Wschodnich. Obecnie członkini zarządu think tanku Instytut Strategii 2050, związanego z ruchem Polska 2050.

jej armia była tak silna, aby Rosjanie nie odważyli się na kolejny atak.

Ukraina musiałaby jednak dostać także pieniądze na odbudowę. Bo przecież państwo z liczną i najbardziej dzisiaj doświadczoną armią w Europie, zdewastowane gospodarczo, samo w sobie mogłoby być źródłem niestabilności. Ze strony Zachodu byłoby niepoważne inwestować w armię, nie finansując odbudowy całego kraju.

Najbliższe miesiące mogą być decydujące. Unia Europejska ma

szansę uniezależnić się od rosyjskich surowców – Putin straciłby wtedy „broń energetyczną”. Czas będzie grał na niekorzyść Kremla. Czy po tej zimie będziemy w Europie trochę bezpieczniejsi?

Nawet gdyby Unii Europejskiej udało się zrezygnować z rosyjskiej ropy, jest możliwość, że Rosja przekieruje jej eksport gdzie indziej. Również z gazem nie wszystko jest oczywiste. Paradoks polega na tym, że po ubiegłotygodniowym sabotażu gazociągu Nord Stream rośnie znaczenie gazociągu biegnącego przez Ukrainę, który ciągle działa. Gdyby zima w Europie była wyjątkowo trudna, Putin może zaproponować wznowienie dostaw tą drogą – oczywiście za cenę ustępstw w Ukrainie.

Jedno jest pewne: Putin wie, że zima będzie ekstremalnie trudna dla Europy, ale jeżeli Europa ją przetrwa, nastąpi z kolei czas ekstremalnie trudny dla Rosji. Trudno jednak o precyzyjne prognozy. Zachód liczył, że sankcje sparaliżują rosyjską gospodarkę. Tak się nie stało – osłabiły ją tylko o kilka procent. Choć, z drugiej strony, w statystykach Banku Światowego nie widać jeszcze efektów mobilizacji i masowych wyjazdów z Rosji – kilkaset tysięcy mężczyzn „wypadło” z rosyjskiej gospodarki, z trudnymi do przewidzenia efektami. Słyszę od niektórych rosyjskich ekonomistów, że najgorsze sankcje to te, które Rosja „nałożyła” sama na siebie.

©© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik),
Małgorzata Nocui, Michał Okoński, Marek Rabij,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Katarzyna Kubiśowska,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubiśowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Aneta Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubiśowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik),
Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydawniczy: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomańska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Ślawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja: redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Zakazany Egipt



GRZESZĄCY CODZIENNIE PO TRZYKROĆ – PODPISYWAŁ SVOJE LISTY MAJMONIDES, ŻYDOWSKI FILOZOF, LEKARZ I JURYSTA WSZECZ CZASÓW. O JEGO WIELKOŚCI ŚWIADCZY UKUTE PÓŹNIEJ POWIEDZENIE: „OD MOJŻESZA (NASZEGO NAUCZYCIELA) DO MOJŻESZA (SYNA MAJMONA)

nie było takiego jak Mojżesz”. Na czym polegała jego potrójna przewina? Majmonides urodził się w Kordobie w 1135 r. Kilkanaście lat później zamieszkiwanie w tym mieście stanowiło dla Żydów śmiertelne zagrożenie. Po hiszpańskiej tułaczce Majmon z synami Mojżeszem i Dawidem znaleźli bezpieczną przystań dopiero w marokańskim Fezie. Około trzydziestki Majmonides przeniósł się do Egiptu, a po pięćdziesiątce został nadwornym lekarzem sułtana Saladyna.

W 28. rozdziale Księgi Powtórzonego Prawa aż 54 wersy są poświęcone temu, co stanie się z Izraelem, jeśli nie będzie przestrzegał Bożych przykazań. Ostatni z nich brzmi: „I wróci cię Wiekuisty do Micraim w okrętach, drogą, o której ci powiedziałem: nie ujrysz jej więcej (...)!” (Pwt 28, 68; Cylkow). „Micraim” znaczy po hebrajsku „Egipt”. Ostrzeżenie dotyczące tego kraju pojawia się już wcześniej w tej samej księdze w kontekście króla żydowskiego, którego obowiązuje zakaz posiadania wielu żon, koni oraz cennych kruszców. „Tylko niech nie mnoży sobie koni, ani zwraca ludu do Micraim, dla namnożenia koni, gdyż Wiekuisty powiedział wam: »nie wracajcie drogą tą więcej!«” (17, 16). Oba wersy nawiązują do słów Mojżesza nad Morzem Sitowia. Stojący przed wodnym odmętem Izraelici są przerażeni, dostrzegłszy w oddali nadciągające rydwany ścigającego ich faraona. „I rzekł Mojżesz do ludu: »Nie obawiajcie się; stańcie, a patrzcie na pomoc Wiekuistego, którą okaże wam dzisiaj! Gdyż jakoście widzieli Micrejczyków dzisiaj, już ich więcej nie ujrzyście na wieki«” (Wj 14, 13). Po czym Mojżesz wyciąga swą laskę nad morską tonią, wody się rozstępują, a Dzieci Izraela przechodzą „środkiem morza po suszy” (wers 16).

To nie jest li tylko prorocтво, że już nigdy więcej nie dojdzie do spotkania oko w oko z Egipcjanami. Niektórzy rabini upatrują w tym trzykrotnego zakazu osiedlania się w Egipcie. Czy takie działanie to potwarz dla Najwyższego, który położył kres egipskiej niewoli, wyprowadzając stamtąd swoje dzieci? Niektórzy mówią: nie wolno tylko wracać z Izraela do Egiptu. Jednak Majmonides najwyraźniej postrzegał swoje miejsce zamieszkania jako problematyczne.

Polska też kiedyś została – choć w nieporównywalnej skali – obłożona anatema jak Egipt. Menachem Mendel Szejnerson, przywódca wszechobecnych chasydów z Lubawicz, zakazał po wojnie swoim wyznawcom „mieszkać na cmentarzu”. Dopiero po jego śmierci lubawiczerzy zagłosili na stałe w naszym kraju i zaczęli – na dobre i na złe – zmieniać jego żydowskie oblicze. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Król nie wszystko może



NAAMANA, WYBITNEGO DOWÓDCĘ WOJSK KRÓLA ARAMU, TRAWIŁ TRĄD, CHOROBA WTEDY NIEULECZALNA. TAK SIĘ ZŁOŻYŁO, ŻE W JEGO DOMU SŁUŻYŁA MŁODA IZRAELITKA, WZIĘTA DO NIEWOLI PODCZAS NAPADU NA IZRAELA. ONA TO PORADZIŁA NAAMANOWI, BY UDAŁ SIĘ PO POMOC DO PROROKA MIESZKAJĄCEGO W JEJ OJCZYZNIE. ZAOPATRZONY W LISTY POLECĄJĄCE OD KRÓLA ARAMU DO WŁADCY IZRAELA, OBLĄDOWANY KOSZTOWNYMI PREZENTAMI, WYRUSZYŁ W DROGĘ I PRZYBYŁ DO KRÓLA IZRAELA. GDY TEN DOWIEDZIAŁ SIĘ Z LISTU POLECĄJĄCEGO, CZEGO WŁADCA ARAMU OD NIEGO OCZEKUJE, WPAŁ W GNIEW: „Czy ja jestem Bogiem, abym miał uśmiercać lub ożywiać? Ten bowiem przysyła człowieka, abym go uwolnił od trądu. Widzicie jasno, że szuka on zaczepki ze mną” (2 Krl 5, 7). I znowu tak się złożyło, że był przy tym „Elizeusz, człowiek Boży”, który jednak Naamanowi nie przypadł do gustu, bo kazał mu wykapać się w Jordanie. „Mówił sobie: Na pewno (prorok) wyjdzie, stanie i wezwie imienia Pana, Boga swego, a potem uniesie rękę nad chorym miejscem i uwolni mnie od trądu”. Swoją drogą, skądś to znamy? Tymczasem prorok każe mu, wysokiemu urzędnikowi, postępować w sposób co najmniej groteskowy. Na szczęście miał przy sobie ludzi mądrzejszych od niego.

Po uzdrowieniu Naaman, chcąc się odwzajemnić, wrócił do Elizeusza i usłyszał: „Przysięgam na Pana, któremu służę. Nie przyjmę niczego!”. W ten sposób ten dał mu do zrozumienia, że nie się na tym świecie nie dzieje, co by się Bogu z rąk wymknęło. Oraz że żaden król, jak też żaden prorok nie jest uprzywilejowany przez Boga, nie posiada żadnych tajemnych mocy. Nie są oni czarownikami, na których bogowie, czy Bóg, scedowali swoją moc. Naaman dobrze to rozumiał – wyjeżdżając do domu mówi: „Teraz już naprawdę wiem, że na ziemi nie ma Boga poza Izraelem!”. Po jakimś czasie dowiadujemy się, że ten Bóg Izraela jest Ojcem każdego człowieka. Mówią, że historia nie lubi się powtarzać, a jeśli już, to jako farsa. Być może tak jest w odniesieniu do historii, ale nie w odniesieniu do człowieka. „Pamiętając o okropnościach i błędach przeszłości – mówił papież Franciszek podczas obrad VII Kongresu Przywódców Religii Światowych i Tradycyjnych w Kazachstanie – zjednoczmy nasze wysiłki, aby nigdy więcej Wszechmocny nie stał się zakładnikiem ludzkiego pragnienia bycia potężnym. (...) Nigdy nie usprawiedliwiamy przemocy. Nie pozwólmy, aby *sacrum* było instrumentalizowane przez to, co jest *profanum*. Niech *sacrum* nie będzie podpierane władzą i niech władza nie podpira się *sacrum*!”. „Ekstremizm, radykalizm, terroryzm i wszelkie podleganie do nienawiści, wrogości, przemocy i wojny” nie mają „nic wspólnego z autentycznym duchem religijnym i muszą zostać odrzucone w najbardziej zdecydowany sposób i potępione”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Jezus i Eliasz

*Dusza nie należy
do siebie, nie czuje
wzburzenia i obawy,
jej myśli spoczywają
w miejscu pokoju.*

MAŁGORZATA PORETE



*Kto słucha dźwięku
jak echa, wacha zapachy
jak wiatru, jest wolny
od przywiązania
do wszystkich rzeczy
(...) i nie lgnie do braku
przywiązania, ani nie myśli
o nim – tego nie ima się
żadne skalenie.*

PAI-CHANG



Wybrał PIOTR SIKORA



„GDY DOPEŁNIŁY SIĘ dni wzięcia Jezusa z tego świata, postanowił udać się do Jerozalema, i wysłał przed sobą posłańców. Ci (...) przyszli do pewnego miasteczka samarytańskiego, by przygotować Mu pobyt. Nie przyjęto Go jednak (...). Widząc to, uczniowie Jakub i Jan rzekli: Panie, czy chcesz, byśmy powiedzieli: Niech ogień spadnie z nieba i pochłonie ich? Lecz On, odwróciwszy się, zgromił ich” – to fragment Ewangelii według św. Łukasza (9, 51-56) proklamowany niedawno w liturgii. By go zrozumieć, dobrze jest pamiętać, że dosłownie chwilę wcześniej (zob. Łk 9, 19) Jezus został przyrównany do Eliasza. Kiedy [w Cezarei Filipowej] zapytał uczniów: „Za kogo uważają Mnie tłumy?”, usłyszał w odpowiedzi: „Jedni za Jana Chrzciciela, inni za Eliasza”.

Przyrównany do Eliasza – zachowuje się całkowicie inaczej niż Eliasz. Druga Księga Królewska opowiada o sytuacji, którą prorok uznał za zlekceważenie Boga i jego samego (zob. 2 Krl 1, 1-16). Oto chory król izraelski wysłał posłów do Ekronu, aby dowiedzieć się od Baal-Zebuba, jego bóstwa, czy wyzdrowieje. Eliasz zareagował oburzeniem: „Czyż nie ma Boga w Izraelu?!”. Kiedy król posłał po niego dwa kolejne oddziały wojska (po pięćdziesięciu żołnierzy każdy), na rozkaz Eliasza obydwie oddziały

„pochłoniął ogień spadający z nieba”. Jakub i Jan odwołują się do tego wydarzenia, które z całą pewnością znali.

Jezus jednak się w nim kompletnie nie odnajduje. Jego moc i autorytet nie biorą się stąd, że może ściągnąć z nieba ogień na grzeszników, ale stąd, że zmierza do Jerozolimy, aby właśnie za nich oddać swoje życie. Dopiero co wyruszył w stronę Krzyża, do którego przybije wszystkie grzechy także Samarytan; właśnie dlatego nie jest w stanie reagować gwałtem i zemstą na ich niegościnnosc. Napomina też swoich uczniów. Przecież sami zdecydowali się wyruszyć z Nim w tę drogę. W niektórych starożytnych wersjach naszej perykopy po słowach „zgromił ich” są dodane jeszcze dwa zdania, skierowane do synów Zebedeusza: „Nie wiecie, jakiego ducha jesteście. Syn Człowieczy nie przyszedł, aby niszczyć dusze, ale by je zbawić”.

Tak. Nie wystarczy fizycznie podążać z Jezusem jedną drogą. Konieczne jest wędrowanie z Jezusem w tym samym Duchu. Potrzebne jest wewnętrzne, a nie jedynie zewnętrzne przyłgnięcie i przystawanie do Niego.

„Nie wiecie, jakiego ducha jesteście?!” – potrzebujemy słyszeć te słowa – zawsze wtedy, gdy „gorliwość o sprawy Boże” podpowiada nam sięgnięcie po siłę i przemoc (w jakiegokolwiek formie). Potrzebujemy uważności. I pokory. I gorącej, pełnej otwartości modlitwy do Ducha Świętego. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (9 – 16 X)

28. niedziela zwykła: 2 Krl 5, 14-17;
Ps 98; 2 Tm 2, 8-13; Łk 17, 11-19;
Poniedziałek: Ga 4, 22-24. 26-27. 31 – 5, 1;
Ps 113; Łk 11, 29-32;
Wtorek: Ga 5, 1-6; Ps 119; Łk 11, 37-41;
Środa: Ga 5, 18-25; Ps 1; Łk 11, 42-46;

Czwartek: Ef 1, 1-10; Ps 98;
Łk 11, 47-54;
Piątek: Ef 1, 11-14; Ps 33; Łk 12, 1-7;
Sobota: Ef 1, 15-23; Ps 8; Łk 12, 8-12;
29. niedziela zwykła: Wj 17, 8-13;
Ps 121; 2 Tm 3, 14 – 4, 2; Łk 18, 1-8.

SPÓŁKA SKARBU PARTII

Zwycięstwo PiS w kolejnych wyborach wymaga nadzwyczajnej mobilizacji i środków. Z pomocą przychodzą partii wielkie pieniądze z państwowych źródeł. Wzorem dla tej strategii nie jest jednak polityka Viktora Orbána.

STEFAN SĘKOWSKI



KOMISJA EUROPEJSKA POWIEDZIAŁA dość. 19 września zawnioskowała do Rady Europejskiej, by Węgry nie otrzymały 7,5 mld euro środków z programów operacyjnych. To koniec zabawy w kotka i myszkę z Viktorom Orbánem, który nie zamierza nic robić z oskarżeniami o naruszanie praworządności. Jeśli Rada się zgodzi, do Węgier nie trafi co trzecie euro zapisane w unijnym budżecie do 2027 r.

Brukseli nie chodzi o praworządność rozumianą jako wartość sama w sobie, ale raczej o to, by pieniądze płynące nad Dunaj nie wsiąkały w prywatne kieszenie. Według Unijnego Urzędu ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF) Węgry wiodą niechlubny prym wśród państw unijnych, jeśli chodzi o prze-

krety związane z funduszami. W latach 2015-19 miało w ten sposób uciec ponad 3,9 proc. wszystkich pieniędzy, jakie trafiły do Madziarów. Ponadto w zbyt wielu przetargach publicznych brał udział jeden uczestnik, co jest poszlaką do twierdzenia, że niektóre mogły być ustawione. Rząd Orbána nie zapewnił narzędzi, które temu zjawisku mogłyby przeciwdziałać. KE zarzuca mu nadmierne skoncentrowanie władzy nad śledztwami w rękach prokuratora generalnego, niedostateczną kontrolę sędziowską nad śledztwami, a także ponadprzeciętnie wysoki poziom korupcji. Dziś 74 proc. Węgrów uważa, że jedynym sposobem na osiągnięcie sukcesu biznesowego jest posiadanie koneksji politycznych.

Skok na spółki

Na Węgrzech nie mamy jednak do czynienia z typowymi działaniami korupcyjnymi, tylko z procesem określanym przez politologów jako stopniowe *party state capture* (zawłaszczanie państwa przez partie polityczne). Polega na tym, że politycy rządzący w danym kraju do tego stopnia uzależniają od siebie instytucje państwowe, iż te stają się wobec nich bezwolne. Oczywiście, władza czerpie profity niezależnie od epoki, systemu i szerokości geograficznej. Jednak w państwie zawłaszczonym przez partie instytucje kontrolujące (w tym sądownictwo) są na tyle słabe i ubezwłasnowolnione (prawnie, finansowo), że nie mogą utrzymać nielegalnego procederu w ryzach.

Politycy robią to nie tylko dla prywatnych zysków. Państwo służy im też do budowania zaplecza finansowego i propagandowego dla całej partii, a co za tym idzie – dla dalszej reprodukcji władzy. Dzięki podporządkowanym sobie mediom i państwowym źródłom finansowania zapewniają sobie przewagę nad opozycją. Prowadzi to do osuwania się demokracji w stronę autorytaryzmu, a konkretnie – zjawiska autorytaryzmu wyborczego, w którym teoretycznie opozycja może wygrać wybory, ale w praktyce jest to bardzo utrudnione. Drużyna piłkarska „obdarowana” dwiema niesprawiedliwymi

czerwonymi kartkami też, hipotetycznie, może wygrać mecz z jedenastką, pod którą sędzia gwizdże całe spotkanie.

Brzmi znajomo? I słusznie. Z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia w Polsce, tyle że w przypadku Węgier to zawłaszczanie państwa odbyło się za pomocą wykreowania przez władzę kasty oligarchów, wykupujących majątek kraju. U nas głównym narzędziem „kolonizowania” Polski przez PiS jest sektor państwowy, dużo większy niż u Węgrów. Jak wskazują prof. Maciej Bałtowski i dr Grzegorz Kwiatkowski z UMCS w Lublinie w świeżo wydanej książce „State-Owned Enterprises in the Global Economy” („Przedsiębiorstwa państwowe w globalnej gospodarce”), w 2018 r. wśród 100 największych firm w Polsce 20 było zależnych od państwa. A w elicie 10 największych – aż 6.

Z kolei badania prof. Katarzyny Szarżec z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu i jej współpracowników pokazują, że w 2016 r. doszło do największej liczby zmian w rządach państwowych spółek od 2006 r. Partia Jarosława Kaczyńskiego niedługo po przejęciu władzy wymieniła ludzi obsadzonych przez PO i PSL na swoich.

Sam kierunek nie powinien dziwić: to dzieje się zawsze, gdy zmienia się władza. Także fakt, że osoby piastujące wysokie stanowiska dzielą wizję światopoglądową rządzących, nie musi być niczym nadzwyczajnym – realizują przecież założenia polityki gospodarczej nowej ekipy. Zaskakuje jednak skala zjawiska, znacznie większa niż po zdobyciu władzy przez PO i PSL. W efekcie niektóre przedsiębiorstwa potrzebowały wielu miesięcy, by wyjść z organizacyjnego chaosu. Zadziwia też fakt, że w demokratycznym kraju spółki państwowe służą niemal jawnie za źródła finansowania działalności partyjnej.

Politycy i ich totumfaccy zamiast sięgać do kasy swojego ugrupowania (sam PiS rocznie z budżetu otrzymuje ponad 20 mln zł, PO ponad 18 mln), wolą często korzystać ze środków spółek Skarbu Państwa (SSP), które pod płaszczykiem działalności marketingowej czy sponoringowej mogą uprawiać propagandę czy pośrednio wspierać fundusze rządzących stronnictw. Dla spółek są to wydatki niewielkie, jak na „waciki”, dla polityków z kolei – nieocenione źródło partyjnej prosperity.



Happening w pierwszą miesięcznicę postawienia pomnika Lecha Kaczyńskiego przed dworcem PKP w Tarnowie. O budowie nie powiadomiono władz miasta, które uważają, że monument stanął niezgodnie z prawem. Tarnów, 18 lipca 2022 r.

Miliony w błocie

→ Koronnym przykładem jest Polska Fundacja Narodowa, założona w 2016 r. przez 17 potężnych SSP, w tym Orlen, PGNiG i PGE. Cel był szczytny: instytucja miała szerzyć wiedzę o polskiej historii i rozbudzać patriotyzm. Jednak do jej głównych zadań od początku należała propagandowa osłona działań rządu. Już w 2017 r. Fundacja wydała ponad 8 mln zł na kampanię „Sprawiedliwe sądy”, oszczerczą wobec sędziów i przedstawiającą ich jako środowisko patologiczne – by ułatwić PiS przeprowadzenie zmian w wymiarze sprawiedliwości, ograniczających niezależność trzeciej władzy.

Propisowski przekaz miał rozbrzmieć zarówno w kraju, jak i za granicą. Andrzej Stankiewicz ujawnił w Onecie, że na liście zadań, jakie PFN zleciła w 2017 r. amerykańskiej firmie White House Writers Group (WHWG), znalazło się „budowanie zrozumienia w USA, UE i NATO, że obecne polskie reformy mają na celu osiągnięcie politycznej uczciwości poprzez usunięcie ognisk korupcji w instytucjach, strukturach i praktykach odziedziczonych po komunizmie”. Firma miała również przekonywać zagranicę, iż reforma wymiaru sprawiedliwości jest „kluczowa dla wyeliminowania korupcji i bezkarności oraz zatorów w rozpatrywaniu spraw”, a polityka wobec imigracji „odzwierciedla wolę polskich wyborców i ich prawa obywatelskie w wolnym, a nie wasalnym państwie”. Za te usługi WHWG dostała od PFN do końca 2019 r. równowartość ponad 20 mln zł.

To nie jedyny przykład absurdalnych metod budowania obrazu Polski. Głównym bohaterem nakręconego w 2019 r. filmu „Poland: The Royal Tour”, mającego ukazać amerykańskiemu telewizowi ciekawe zakątki kraju, był sam premier, Mateusz Morawiecki, przedstawiany jako bohater walki z komunizmem, który „przyczynił się do upadku imperium zła”. Ta wykrzywiająca historię narracja stała się możliwa, bo nad tym, by działalność Fundacji była zgodna z linią partii rządzącej, czuwa zarząd – dwóch z trzech jego członków to działacze PiS. Ile film kosztował, nie wiadomo. Był natomiast częścią projektu „Reputacja”, który kosztował łącznie ponad 17,4 mln zł.

Do tej poro PFN wydała łącznie ponad 373 mln zł.

Prywatyzowanie państwa przez partie

jest zjawiskiem nie tylko węgiersko-polskim.

Stało się specyfiką całego regionu. Wielu obywatelom to nie przeszkadza.

Kupmy sobie gazetę

Przejawem bardziej wysublimowanej i długofalowej strategii walki o utrzymanie się u władzy jest manewr wykonany przez Orlen, spółkę kontrolowaną przez osławionego pupila prezesa PiS, czyli Daniela Obajtka. Pod koniec 2021 r. ta zajmująca się energią firma nagle weszła na rynek medialny, wykupując z rąk niemieckich (spółka Polska Press) 20 lokalnych dzienników, prawie 120 tygodników i kilkakaset serwisów internetowych. Oficjalnie chodziło o to, żeby zwiększyć możliwości docierania do klientów. Jednak bardzo szybko doszło do wymiany kierownictw w niemal wszystkich redakcjach, a miejsce dotychczasowych redaktorów naczelnych zajęli ludzie związani z mediami współpracującymi z obecną władzą.

Efektom jest przyjęcie przez medium wyrazistej, jednostronnej politycznej linii, którą zaburzają co najwyżej felietony, jakie w kilku gazetach pozwala się pisać publicystom krytycznym wobec władzy. To jednak tylko listek figowy. Tak naprawdę obóz PiS zdobył kolejny, obok mediów publicznych, kanał, za pośrednictwem którego może indoktrynować odbiorców.

Kiedy Orlen kupił prywatne gazety i portale, zaczęły być one obficie zasilane reklamami spółki matki oraz innych SSP. Jak szacuje Kantar Media, w 2021 r. wpływy z reklam Orlenu wzrosły w Polska Press o jedną trzecią. Natomiast z danych prof. Tadeusza Kowalskiego z Uniwersytetu Warszawskiego wynika, że wpływy dzienników Polska Press ze wszystkich SSP w tym okresie wręcz się podwoiły. W tym samym czasie sprzedaż gazet spadła o kilkanaście procent.

Nie ma nic złego w tym, że przedsiębiorstwa państwowe reklamują się w mediach, pod warunkiem, że robią to na transparentnych zasadach. Z badań prof. Kowalskiego wynika jednak, że o ile

w przypadku prywatnych reklamodawców poziom wydatków jest w wysokim stopniu skorelowany z liczbą odbiorców danego medium, to w przypadku ogłoszeń od firm publicznych tak nie jest – niewielu czytelników może oznaczać duże wpływy z reklam.

Dotyczy to także mediów przychylnych PiS, jak „Gazeta Polska”, „Sieci” (lider wpływów z państwowych reklam) oraz „Do Rzeczy”. „GP” i „Sieci” miałyby prawdopodobnie poważne kłopoty, gdyby nie pieniądze z SSP, gdyż ich udział w przychodach reklamowych tych tytułów w 2021 r. wyniósł odpowiednio 42 i 40 proc. Jednocześnie SSP nie kupują żadnych bądź prawie żadnych reklam w pismach krytycznych wobec PiS.

W sytuacji, w której rynek drukowanych mediów się kurczy i biednieje, taka arbitralna polityka władz może mieć efekt mrożący. Wydawcy będą się coraz bardziej bali krytyki władzy, bo to oznacza kłopoty finansowe. W ten sposób buduje się także prorządowo-antyopozycyjną *echo chamber*, w której głosy komentatorów korzystne dla PiS wzajemnie się wzmacniają, zwiększając szanse rządzących na utrzymanie władzy.

Fundusze niesprawiedliwości

Jak dotychczas, nie udowodniono żadnego przypadku zasilania budżetów partyjnych pieniędzmi płynącymi bezpośrednio z SSP. Ale pośrednio widać to po kwotach, jakimi zasilają je ludzie zatrudnieni w tych przedsiębiorstwach. „Polityka” obliczyła, że ludzie związani z SSP wpłacili na fundusz wyborczy PiS w 2019 r. ponad 2 mln zł, a w 2020 r. na kampanię Andrzeja Dudy 1,2 mln. A były to wpłaty nawet po kilkadziesiąt tysięcy. Biorąc pod uwagę, że obie kampanie kosztowały ok. 30 mln zł (prezydencka nieco mniej, bo 28,6 mln), ludzie zawdzięczający PiS pozycję w spółkach opłacili co najmniej kilka procent kampanii. Nie ma dowodu na to, że mieliśmy do czynienia z odgórnym i tajnym (a zarazem nielegalnym) nakazem „opodatkowania” wysokich pensji w spółkach na rzecz partii, jednak poszlaki i skala zjawiska wskazują na związek między jednym a drugim.

SSP i PFN to nie jedyne instytucje zawiązane przez rządzących. Podobna sytuacja, pod kątem finansowym, ma miejsce w różnego rodzaju funduszach celowych. Najbardziej wyrazisty przy-

kład to Fundusz Sprawiedliwości uruchomiony przez Zbigniewa Ziobrę. W założeniu miał służyć pomocy ofiarom przestępstw, tymczasem pieniądze z niego są regularnie wykorzystywane do wspierania polityków startujących w wyborach. Najbardziej ordynarny przykład to wręczenie w 2021 r., na kilka dni przed wyborami prezydenckimi w Rzeszowie, 500 tys. zł z Funduszu na miejscowy szpital. Zrobił to ubiegający się o to stanowisko Marcin Warchoł z Solidarnej Polski, podwładny partyjny Ziobry.

Nierzetelność i marnotrawstwo pieniędzy w Funduszu potwierdziła w ubiegłym roku Najwyższa Izba Kontroli. Poza tym NIK skrytykowała działalność marketingową, która „służyła także promowaniu działań Ministra Sprawiedliwości oraz podległego mu Ministerstwa, w obszarach takich jak np. relacje Polski z instytucjami Unii Europejskiej czy też reforma wymiaru sprawiedliwości”. W raporcie pokontrolnym czytamy, że ponad 140 mln zł dostały np. ochotnicze straże pożarne, co zdaniem NIK było „wspieraniem pod pozorem wsparcia pokrzywdzonych przestępstwem bieżącej działalności wybranych arbitralnie jednostek samorządu terytorialnego”. Ta metoda służyła PiS m.in. do wyrwania wsi z rąk PSL.

Celowe działanie na rzecz gmin rządzonych przez Prawo i Sprawiedliwość widać także na przykładzie dysponowania środkami z Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych. Jak wynika z analizy prof. Jarosława Flisa i prof. Pawła Świaniewicza, przeprowadzonej dla Fundacji Batorego, tylko 2 proc. gmin rządzonych przez władarzy z PiS nie otrzymało środków z dwóch transz funduszu, wypłacanych w latach 2020-21. Los taki spotkał natomiast aż 58 proc. samorządów lokalnych kierowanych przez polityków opozycyjnego bloku senackiego.

Większe gminy (ponad 24 tys. mieszkańców) rządzone przez PiS otrzymują ponad dziesięć razy więcej środków w przeliczeniu na mieszkańca niż te kierowane przez opozycję. Mniejsze zaś – trzy do sześciokrotnie więcej (w zależności od transzy). Sygnał jest jednoznaczny: chcesz otrzymywać środki finansowe, musisz być z nami. Widzą to nie tylko lokalne władze, ale i wyborcy, którzy mogą kalkulować: zagłosuję na partię rządzącą, to dotacje centralne dla gminy będą większe.

Hodowla oligarchów

Na Węgrzech niby jest podobnie. Sektor państwowy także bywa wykorzystywany do celów politycznych. Jest on jednak mniejszy niż w Polsce, dlatego Orbán po dojściu do władzy postanowił dla zbudowania zaplecza finansowego wyhodować własnych oligarchów.

Numerem jeden na liście najbogatszych Węgrów (magazyn „Forbes”) został w 2021 r. Lőrinc Mészáros, który otwarcie wyznawał, że swój majątek zawdzięcza „Bogu, szczęściu i Viktorowi Orbánowi”. Do 2018 r. był burmistrzem rodzinnego miasta Orbána, Felcsútu, oczywiście z ramienia rządzącego Fideszu. Numerem dwa na liście węgierskich bogaczy jest właściciel banku OTP i także przyjaciel Orbána, Sándor Csányi. Jak wynika z raportu „Where does the EU money go?” („Gdzie idą unijne pieniądze?”), sporządzonego na zlecenie europarlamentarnej grupy Zielonych, Csányi jako wielki właściciel ziemski był w latach 2011-19 największym beneficjentem unijnych subsydiów rolnych na Węgrzech.

Spora część finansowej elity na Węgrzech nie była ani tak potężna, ani tak bogata, zanim Orbán nie doszedł do władzy. Pieniądze zyskali dzięki sprzedaży ziemi przez państwo na korzystnych warunkach, zamówieniom publicznym i kredytom udzielanym przedsiębiorstwom wspierającym Orbána. Jak wskazuje Paul Lendvai w książce „Orbán. Nowy model przywództwa w Europie” – do 2016 r. mieli otrzymać ponad połowę pożyczek udzielonych przez państwowy Export-Import Bank. Ci oligarchowie skupili także największe media opozycyjne i przekazali je w 2018 r. w wianie Środkowoeuropejskiej Fundacji Prasowej i Medialnej, podporządkowanej Fideszowi. W efekcie zdecydowana większość rynku medialnego śpiewa w jednym chórze z Orbánem. Uzależnione od władzy są także media publiczne.

Zgubna polaryzacja

Partyjne zawłaszczanie państwa jest zjawiskiem nie tylko węgiersko-polskim. Prof. Dušan Pavlović z Uniwersytetu w Belgradzie po głębokiej analizie wynioskował, że występuje ono także w Chorwacji, Serbii i Czarnogórze. Z kolei europejscy Zieloni w swoim raporcie dotyczącym nadużywania dotacji dla rolnictwa wskazywali także takie państwa, jak Czechy, Słowacja, Rumunia i Bułga-

ria. Wygląda na to, że robi się z tego regionalna specyfika Europy Środkowej i Wschodniej.

Każde z tych państw jest inne, jednak wspólny mianownik stanowi fakt, że zdecydowana większość rządzona jest (bądź była w okresie, w którym to zjawisko występowało, jak w przypadku Czech czy Słowacji) przez populistów, niezależnie od ich ideologicznych barw. To oni najczęściej decydują się budować swoje zaplecza finansowe za pomocą środków publicznych. A to tworząc kastę własnych oligarchów, a to wysysając spółki publiczne, a to powiększając osobiste majątki, jak premier Czech Andrej Babiš, kupujący za granicą luksusowe nieruchomości za środki o podejrzanym pochodzeniu.

Problem nie leży w tym, że te ugrupowania mają pieniądze, ale że zabierają je obywatelom. I nie chodzi im wcale o „wyrównanie szans” (bo np. biznes nie lubi samowolnych trybunów ludowych), tylko o to, by uzyskać nad konkurencją przewagę dzięki nieczystym regułom.

Na swój sposób fascynujące jest to, że rządzącym w uprawianiu tego procederu pomagają sami obywatele, dając im na to przyzwolenie przy urnach wyborczych. Mamy niestety do czynienia ze specyficznym sprzężeniem zwrotnym – z mediów przechwyconych przez władzę obywatele o wielu aferach się nie dowiedzą. A jeśli dowiedzą się z innych źródeł, zawsze można skandal przykryć nagłośnieniem jakiegoś programu społecznego, w którym naród otrzyma ochłap z pańskiego stołu. Polacy (a w jeszcze większym stopniu Węgrzy) są tak przyzwyczajeni do afer, że często machają ręką, bo „przecież zawsze tak było i wszyscy tak robili”.

Jedną z metod ograniczenia tego zjawiska może być zmniejszenie zakresu środków rozdysponowywanych przez państwo. Inną jest surowe patrzenie władzy na ręce przez niezależne instytucje kontrolne, w tym sądy. Ale przede wszystkim sami obywatele muszą zrozumieć, dlaczego władza tak osłabia różne instytucje. Nie da się tego uczynić bez zdania sobie sprawy ze skutków gigantycznej polskiej polaryzacji. Często to ona sprawia, że obywatele przymykają oczy, gdy ich polityczni ulubieńcy, rozsiadając się w fotelach władzy, zamieniają państwo w prywatny folwark.

© STEFAN SĘKOWSKI

Nosimy nie swoje ciężary

PIOTR WÓJCIK

Polskie firmy znalazły dobry sposób na kryzys. Przerzucają koszty na klientów. Kluczowym słowem w tej strategii jest marża. Kluczowym efektem – jeszcze wyższa inflacja.

UNIA EUROPEJSKA ROZWAŻA WPROWADZENIE wspólnego „podatku od nieoczekiwanych zysków” dla spółek energetycznych, względem którego początkowo polski rząd wyrażał jednoznaczny sprzeciw. W wyniku sporów gabinetowych w Ministerstwie Aktywów Państwowych nieoczekiwanie powstał jednak pomysł opodatkowania wszystkich przedsiębiorstw stosujących podwyższone marże. Niestety, inflacji on nie zahamuje.

Energetyczna bonanza

Marże spuchły ostatnio firmom z wielu branż, które w ten sposób utrzymują zyski, ale zarazem przyczyniają się do wyższych cen. Ten proceder najbardziej widoczny jest w energetyce. Spółki tego sektora zarabiają krocie na rosnących cenach paliw, choć akurat w Polsce należą one głównie do Skarbu Państwa, co oznacza, że na ich strategię i późniejsze obciążenia dla obywateli ma wpływ polski rząd.

Skąd się bierze przeświadczenie, że spółki energetyczne przeżywają historyczną hossę? Pośrednim dowodem na to mogą być ceny hurtowe notowane na Towarowej Giełdzie Energii (TGE). Według danych think tanku Forum Energii we wrześniu ubiegłego roku średnia cena megawatogodziny (MWh) w kontrakcie na dostawę za rok to 400 złotych. Od lutego zaczęła błyskawicznie rosnąć w związku z wojną w Ukrainie. Już w maju przebiła barierę tysiąca złotych, a w sierpniu doszła do 1800 zł. Mowa więc o prawie pięciokrotnym wzroście. Oczywiście to jeszcze nie oznacza, że spółki kasują rekordowe zyski. Wzrosły im przecież koszty.

– Znając cenę węgla i uprawnień do emisji CO₂, czyli główne koszty zmienne wytwórców energii, można spróbować określić, ile te spółki zarabiają – wyjaśnia dr Joanna Maćkowiak-Pandera, prezesa

Forum Energii. – Elektrownie kupują węgiel krajowy za 345 zł za tonę. W tej chwili ceny uprawnień do emisji CO₂ wynoszą ok 70 euro za tonę, a więc są nawet niższe niż pod koniec ubiegłego roku. Oczywiście koszty wytwórców do przyszłego roku mogą się zmienić, ale nie aż tak bardzo, żeby marża była rekordowa.

Koszty wytwarzania energii rok do roku wzrosły o połowę, natomiast spółki energetyczne wyceniają już energię tak, jakby miały za rok wzrosnąć pięciokrotnie. Tymczasem cena węgla dla sektora wzrosła, ale tylko o ponad jedną trzecią rok do roku. Cena uprawnień do emisji tony CO₂ rok temu wynosiła ponad 60 euro, a więc nieco mniej niż obecnie. Na tej podstawie Forum Energii wyliczyło, że w sierpniu przyszłoroczna modelowa marża brutto za MWh wyniosła 1287 zł – przy cenie całkowitej 1800 zł. Ponad dwie trzecie ceny stanowiła więc marża. Dla porównania we wrześniu ubiegłego roku wynosiła ona... 39 zł. Oczywiście od modelowej marży brutto trzeba jeszcze odjąć szereg kosztów stałych, takich jak chociażby wynagrodzenia pracowników. Tylko że one nie wzrosły aż tak mocno.

– Ludzie są przekonani, że ceny energii elektrycznej rosną, bo rośnie cena węgla. Ale wzrost cen dotyczy tylko gospodarstw domowych. Do elektrowni trafia węgiel z polskich kopalń, spółki energetyczne zaś mają zawarte z kopalniami umowy długoterminowe. Węgiel dla elektrowni nie drożeje więc tak jak węgiel na giełdzie w Amsterdamie – uważa dr Maćkowiak-Pandera.

Hossę wśród spółek energetycznych dobrze obrazują też ich wyniki za pierwsze półrocze. Tauron zanotował przychody o połowę większe niż rok temu. Jego zysk netto wzrósł o dwie trzecie. Wzrósłby znacznie bardziej, jednak firma stworzyła sobie rezerwę w wysokości pra-

wie miliarda złotych na poczet realizacji przyszłych kontraktów.

Ale energetyczne spółki Skarbu Państwa notują bajeczne wyniki nie tylko przy dostarczaniu prądu. Gazowy PGNiG zanotował w pierwszym półroczu zysk wyższy niż w całym poprzednim roku. PKN Orlen może pochwalić się wynikiem o dwie trzecie lepszym niż w analogicznym okresie 2021 r. Jastrzębska Spółka Węglowa wypracowała zysk rzędu aż 4,2 mld zł, chociaż rok temu była na minusie.

Kosztom pracowników

Zyski kosztem obywateli notują nie tylko firmy państwowe, choć to najbardziej bulwersuje. W czasach podwyższonej inflacji również prywatne przedsiębiorstwa podnoszą ceny znacznie bardziej, niż wynikałoby to ze wzrostu ich kosztów. Po prostu w takiej sytuacji łatwiej ukryć przed konsumentami wzrost marży. To również istotny czynnik wpływający na inflację, o którym się wspomina znacznie rzadziej niż o presji płacowej pracowników czy o wydatkach socjalnych rządu.

– Rosnące marże na pewno wpływają na inflację w Polsce. Rentowność przedsiębiorstw wystrzeliła już na początku ubiegłego roku, gdy kończyły się lockdowny, a obywatele mieli do wydania zgromadzone w czasie pandemii oszczędności – wskazuje Jan Zygmuntowski, współprzewodniczący Polskiej Sieci Ekonomii. – Po pandemii firmy zorientowały się, że są ogromne problemy z dostępnością wielu półproduktów i materiałów. Zaczęły więc na potęgę gromadzić zapasy, a w tym celu musiały zwiększyć swoje marże, żeby móc te zapasy w ogóle kupić. Ten efekt stopniowo rozlewał się na gospodarkę, uruchamiając swego rodzaju spiralę marżowo-cenową.

Skutkiem jest pochłanianie coraz większej części wytwarzanego bogactwa przez pracodawców kosztem pracowników. – Już w 2021 r. mieliśmy do czynienia ze zjazdem udziału płac w PKB, i to nie tylko do specyficznego 2020, ale też 2019 r. W tym samym czasie udział zysków pozostał na stabilnym wysokim poziomie, przy czym Komisja Europejska prognozuje, że w najbliższych latach jeszcze wzrośnie – wskazuje dr Michał Mozdżeń, ekonomista z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie.

Wskaźnikiem pokazującym zyskowność przedsiębiorstw jest rentowność ob-



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Daniel Obajtek, prezes zarządu PKN Orlen. Warszawa, 20 czerwca 2022 r.

rotu, czyli wynik netto podzielony przez przychody. Obrazuje ona, jaką część przychodów stanowią zyski. W dekadzie przed pandemią w całym sektorze przedsiębiorstw wynosiła ona 4-5 proc. W czasie pandemii spadła, jednak w ubiegłym roku skoczyła do najwyższego poziomu w historii, czyli 6 proc. W pierwszym półroczu 2022 r. minimalnie zmalała – do 5,7 proc. – ale wciąż była wyższa niż w pandemii.

Oczywiście nie każda branża przeżywa złote czasy. Największą rentowność odnotowuje obecnie górnictwo i wydobywanie, w którym wynosi ona aż 19 proc. Przedsiębiorstwa z działu „informacja i komunikacja” mogą się pochwalić rentownością obrotu netto na poziomie 8,5 proc., a jeszcze na początku roku była ona nawet dwucyfrowa. Podobną zyskowość notują także firmy z energetyki i ciepłownictwa. Przedsiębiorstwa specjalizujące się w działalności profesjonalnej, naukowej i technicznej osiągają zyski na poziomie 10 proc. przychodów.

Równocześnie jednak w transporcie i logistyce oraz pozostałych usługach są one ponad dwukrotnie niższe. Ważna jest też wielkość przedsiębiorstwa.

– Narzucać ceny są w stanie głównie duże firmy – zauważa Zygmuntowski. – Co ciekawe, przedsiębiorstwa, które sporo eksportują, wcale nie należą do tych narzucających ceny. To wynika z półperyferyjnej pozycji Polski. Polscy eksporterzy są w łańcuchach dostaw, w których, mówiąc obrazowo, budżet ustala Niemiec czy Amerykanin.

Można oczywiście uznać, że wysokie zyski to nic złego. W kapitalizmie przedsiębiorstwa funkcjonują właśnie w tym celu. Jednak w normalnie działającej gospodarce powinny one zarabiać na wysokiej sprzedaży, a nie wysokich marżach.

– W warunkach dużej konkurencji marże są bardzo niskie, gdyż wszyscy starają się zapewnić konsumentom jak najniższe ceny przy jak najwyższej jakości. Jeśli gdzieś widzimy ponadprzeciętne marże, to takie obszary gospodarki po-

winniśmy identyfikować jako jej najsłabsze punkty – twierdzi współprzewodniczący Polskiej Sieci Ekonomii.

Regulujemy ceny

Co z tym problemem zrobić? W Ministerstwie Aktywów Państwowych, kierowanym przez Jacka Sasina, pojawił się pomysł wprowadzenia podatku od zysków nadzwyczajnych. Miałyby go zapłacić wszystkie przedsiębiorstwa zatrudniające powyżej 250 osób, w których tegoroczna marża przekraczała średnią z lat 2018, 2019 i 2021 (pandemiczny rok 2020 został pominięty). Chodzi o jednorazową daninę w wysokości aż 50 proc. nadmiarowego zysku, która obejmowałaby tegoroczne dochody. Taka konstrukcja podatku jest nie tylko wątpliwa pod względem prawnym, gdyż zmienia warunki pod koniec roku podatkowego, ale też nieskuteczna pod względem ekonomicznym.

– Zabieranie firmom pieniędzy wstecz nie jest dobrym rozwiązaniem. Ten podatek powinien mieć charakter antyinflacyjny, a w takiej formie on nie zadziała – twierdzi Michał Możdżeń. – Żeby zniechęcić firmy do podwyższania marż, ten podatek powinien zostać zapowiedziany z dużym wyprzedzeniem, działać w przód i obejmować więcej niż jeden rok.

Według Możdżenia istnieje alternatywa dla rządu w postaci poszerzenia zakresu cen regulowanych, szczególnie w tych obszarach gospodarki, w których państwo odgrywa dominującą rolę, ale także np. w społecznie wrażliwym mieszkalnictwie. Natomiast według dr Maćkowiak-Pandery zreformowane powinny zostać instytucje regulacyjne.

– Trzeba pilnie wzmocnić Urząd Regulacji Energetyki i Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Spekulacje są czasami normalną grą rynkową, ale manipulacje, zwłaszcza w obecnej, bardzo trudnej sytuacji, dla odbiorców mogą się skończyć katastrofą. Silne instytucje muszą zabezpieczać ich interes i patrzeć na ręce wytwórcom, którzy mają ogromną pokusę, żeby się odkuć za czasy, kiedy zarabiali mniej. To nie ten moment i nie metody – wskazuje prezeska Forum Energii.

Fakty są czytelne. Cały budżet URE to 50 mln zł, pracownicy zarabiają tam średnio 6 tys. zł brutto, a nadzorują biznesy warte setki miliardów złotych. W takich warunkach patologie w polskiej gospodarce mogą się tylko nasilać. ©

Ludzie Motyle

MARCIN CHODUŃ

Najgorzej jest, gdy choroba się wzmaga. Kłóć się wtedy z Bogiem, krzycz na niego, wyzywam. Nikt mi tego nie zabroni. To też jest rodzaj modlitwy.

KASJERKA W SKLEPIE SPOŻYWCZYM CORAZ mocniej czerwienieje, na jej twarzy maluje się strach pomieszany z obrzydzeniem. „Niech pan zabiera stąd te rzeczy!” – wyrzuca z siebie. Gdy Przemek wyjmując portfel z kieszeni, kobieta krzyczy: „Nie potrzebuję pańskich pieniędzy! Tych produktów też już nie chcę!”.

„Ale przecież ja muszę za nie zapłacić...”.

„Niech pan zabiera te swoje pieniądze! Niech pan stąd wreszcie wyjdzie!”.

Maczuga

Wiatr dmie dziś ostro i przenikliwie, jakby głowę chciał urwać, a drzwi do klatki schodowej jak na złość zamknięte. Upchnięte na skwerach tego katowickiego osiedla drzewa chwieją się na wszystkie strony. Komórka Przemka nie odpowiada. Nagle z półmroku wyłania się mężczyzna z pękiem kluczy w ręku. – Do państwa Sobieszczyk? – uśmiecha się zyczliwie. Po czym wskazuje ręką w pustą przestrzeń korytarza: – Tutaj, na parterze, ostatnie drzwi po lewej stronie.

W progu stoi Joanna, mówi, że mąż wrócił zmęczony z pracy, zrobił sobie drzemkę. W mieszkaniu ciepło i przytulnie, pachnie jeszcze obiadem. Joanna zaprasza do dużego pokoju. Na ścianach obrazy i zdjęcia: Jan Paweł II pod drzewem na tle gór, święta rodzina, dwie młode kobiety z chłopcem, ślubny portret Przemka i Joasi.

W pokoju pojawia się Przemek, szybko przechodzimy na ty. Jest chudy i wysoki jak tyczka – rzekłbyś: koszykarz, a co najmniej siatkarz. Ale już po kilku sekundach staje się jasne, jak bardzo mylne jest to wrażenie. Podchodzi powoli, pochylony – jakby w stopy u wierzały go kamienie, a wszystko wokół przeskadzało jego ruchom. Wyciąga rękę na powitanie – spod rękawów jego koszuli wychodzą skrawki bandaży. Zamiast dłoni



Przemysław Sobieszczyk z żoną Joanną. Katowice, 16 stycznia 2022 r.

– skóra zbita w jednolitą masę. Wygląda zupełnie niczym maczuga.

Schowaj rączki

Opowiedzieć swoje życie? Przemek uśmiecha się trochę niepewnie: czy na pewno da się to zrobić podczas jednego spotkania? No dobrze, spróbuje.

Urodził się w Rudnikach, małej wsi na Mazowszu nieopodal Sokołowa Podlaskiego. Dzieciństwo – pamięta je jako lata beztrudne, sielanki. Lubił pomagać dziadkowi w pracy na roli, uwielbiał zabawy z innymi dziećmi. Na wsi nikt nie widział w nim odmienca, wszystkie dzieci się z nim bawiły. Czuł się akceptowany.

A potem był dzień uświadomienia. Pamięta: jechał z mamą autobusem do lekarza w mieście, a wokół nich robiło

się coraz bardziej pusto. Ludzie odsunięci o dwa metry, choć autobus wypchany po brzegi. Mama powiedziała do niego: „Przemuś, schowaj rączki”. „Dobrze, mamo” – naciągał rękawy, ile mógł. Tego dnia zrozumiał, że ludzie się go boją. Że jest inny.

Choć wtedy też przecież już trochę o sobie wiedział – że nie może robić tego wszystkiego, co inne dzieci. Bo gdy podczas jazdy na rowerku upadał – bolało. Gdy przewracał się, biegnąc – bolało. Gdy kopał piłkę – bolało. Bardzo. Dokąd może sięgnąć pamięć kilkuletniego chłopca? Do czasu, gdy zaczyna stawiać pierwsze kroki? Trochę później? Tam, gdzie sięgała – zawsze był z nim ból.

Z kuchni dochodził odgłosy ekspresu. Rozlega się energiczny głos Joasi: – Kawa już gotowa!

Po chwili siada obok Przemka. Choroba? Oboje kiwają głowami: OK, miejmy to już z głowy. *Epidermolysis bullosa*, w skrócie EB, czyli pęcherzowe oddzielanie się naskórka – rzadkie i nieuleczalne schorzenie genetyczne skóry, jedna z najbardziej bolesnych chorób znanych ludzkości, na którą w Polsce cierpi kilkaset osób. Chorzy nazywani są często Dziećmi Motylami, ponieważ ich skóra jest tak wrażliwa jak u tych owadów. Wystarczy lekki dotyk, by ją uszkodzić. Objawy? Pęcherze i nadżerki na całym ciele, które mogą obejmować nawet 90 proc. powierzchni skóry. Tworzą się także we wnętrzu ciała – w gardle, przełyku. Mają często charakter przewlekły, prowadzący do trwałych zmian – np. zrastania się skóry między palcami. Właśnie w ten sposób dłoni przybiera kształt maczugi.

Po co ci matura

Jest rok 1987 – Przemek Sobieszczuk zaczyna naukę w szkole podstawowej w Siemianowicach Śląskich (rodzina przeprowadziła się na Śląsk, bo tata Przemka znalazł tu lepszą pracę). W szkole wszystko jest zupełnie inne niż w jego rodzinnej wsi. Tu jest sam, odrzucony. Niemal zawsze stoi w kącie, na uboczu. Słyszy wyzwiska: „skorupa”, „zajob”. W piątej albo szóstej klasie zaczyna uciekać z lekcji. Moczy się w nocy do szesnastego roku życia.

W liceum w Piekarach Śląskich jest już trochę lepiej – ma grupę znajomych (głównie dziewczyn, mają w sobie więcej empatii). Ale wciąż nie jest tak, jak powinno być – w tamtych latach tolerancja wobec osób z niepełnosprawnością jest znikoma. Niektórzy z nich czują się wprost odmieniami. Nawet wśród części nauczycieli Przemek wyczuwa zdziwienie, gdy oświadcza, że mimo postępującej choroby będzie podchodził do matury. Że skończy szkołę i tyle. Gdy zdał egzaminy, wiele osób było zdziwionych.

W przygotowaniach do matury pomagała mu Joasia, w szpitalu. – Tak, przepitywałam go równo – śmieje się dziś na to wspomnienie.

Joasia i Przemek poznali się w jednej z placówek medycznych Katowic. Dla niego była to norma – w tym szpitalu spędził w sumie dobrych kilka lat swego młodościowego życia. Joasia jest z zawodu pielęgniarką – podczas któregoś z wielu jego szpitalnych pobytów właśnie ona się nim opiekowała. Jak się okazało, w tym

samym szpitalu spotkali się już kilka lat wcześniej i nawet dość dobrze poznali. Joasia, pięć lat starsza od Przemka, chorowała jako dziecko na łuszczycę – i dlatego była w tej samej placówce hospitalizowana. Bardzo się wtedy polubili – dużo rozmawiali, spędzali razem czas.

Po ukończeniu nauki (po maturze Przemek poszedł jeszcze do studium informatycznego) od razu pierwsza praca – w zakładzie pracy chronionej. Kolejna – w ośrodku szkoleniowo-rehabilitacyjnym we Wrocławiu (prowadził tam szkolenia z odnowy biologicznej). We Wrocławiu wynajmuje mieszkanie – usamodzielnia się. Tęskni jednak za rodziną – więc po roku wraca na Śląsk. Rozpoczyna studia na wydziale politologii w Wyższej Szkole Bankowej w Chorzowie. Po studiach – idzie do pracy w banku ING w Katowicach i zostaje w firmie do dzisiaj. W dziale HR tworzy obecnie programy szkoleń wewnętrznych dla pracowników banku.

Wcześniej, jeszcze w czasie studiów, postanawia: „muszę coś zrobić ze swoimi dłońmi”. Nie jest już w stanie pogodzić się z faktem, że sam właściwie nic nie potrafi nimi robić. Dzięki międzynarodowej organizacji DEBRA, która zrzesza ludzi chorych na EB z całego świata, jedzie na operację do Chorwacji. Owszem, po zabiegu sprawność palców wraca, ale tylko na dwa lata. Potem palce znów całkowicie się zrastają. Dziś wie jedno: na pewno więcej przez to nie będzie już przechodzić.

Niełatwa miłość

W 2004 r. Przemek Sobieszczuk zakłada Stowarzyszenie Debra Polska Kruchy Dotyk. Rozpoczyna współpracę z klinikami, instytucjami i lekarzami na terenie całej Polski. Rok później do organizacji dołącza Joanna. – Zaprosiłem Asię na nasz kongres, żeby zobaczyła, jak stowarzyszenie funkcjonuje. Zrozumiała wtedy, że to jest coś dobrego – śmieje się Przemek.

Podczas wspólnej pracy coraz bardziej się do siebie zbliżają – ale wciąż są tylko przyjaciółmi. Wkrótce jednak Joanna oznajmia, że postanowiła odejść od męża. Potem przeprowadza rozwód i zamieszkuje z Przemkiem.

Przyznają: to nie była i nie jest łatwa miłość. Dzieci Joasi zaakceptowały Przemka dopiero po dłuższym czasie. Ich bliscy też mieli z tym problem. Wtedy Przemkowi nie raz wydawało się, że nie podoła, że ich związek jest nierealny.

W trudnych chwilach Joasia jednak potwarzała: – Damy radę!

Pobrali się w 2011 roku. – Przez kolejne lata wszystko się poukładało – opowiada Przemek. – Mam teraz dobre kontakty z dziećmi. Jesteśmy bardziej żyłci, wspieramy się nawzajem.

Wsparcia nigdy za wiele. Choroba jest bardzo widoczna – zwłaszcza w lecie. Od góry do dołu Przemek jest cały w bandażach i nie może tak po prostu wyjść w krótkim rękawku i spodenkach. Musi być zawsze szczelnie ubrany, a to powoduje, że mocno się poci. Zdarzyło się więc, że ludzie brali go za bezdomnego. – Kiedyś nie zostałem wpuszczony do McDonalda. Chciałem sobie kupić napój, bo było gorąco, i nie mogłem.

Takie sytuacje są upokarzające i najczęściej dochodzi do nich w czasie zakupów, przy ludziach. – Ta pani w sklepie, która krzyczała, że nie chce moich pieniędzy i że bym wreszcie sobie poszedł, na końcu wyrzuciła z siebie, że nie będzie mnie obsługiwać, i odeszła od kasy. W końcu jeden z ochroniarzy się zlitował i przyjął ode mnie pieniądze.

– To zdarzyło się w naszym osiedlowym sklepie – dopowiada Joasia. – Obiecałam sobie, że tak tego nie zostawię. Poskarżyłam się kierownikowi i Przemek został przeproszony. Przeprowadzono też szkolenia pracowników, jak należy się zachowywać wobec niepełnosprawnych osób. Teraz wszystko już jest w porządku, nadal robimy tam zakupy.

Niektóre sytuacje są tak absurdalne, że trzeba je potraktować jak zabawne. Pewnego razu przyjechał do Sobieszczuków kurier z przesyłką. Gdy w drzwiach zobaczył Przemka całego w bandażach, rzucił paczkę pod drzwi i uciekł.

Ból z niewiedzy

Przemek i Joasia nie prowadzą już stowarzyszenia Debra Polska. W 2016 r. przekazali stery innym osobom. – Chcieliśmy skupić się na rodzinie i na pracy – tłumaczy.

Nadal jednak pomagają, współpracując charytatywnie z EB Polska – drugą organizacją w kraju zajmującą się tą chorobą. Wspiera ona rodziców dzieci oraz uświadamia lekarzy. Bo nie dość, że tłumaczy Sobieszczukowie, że choroba wiąże się z traumą, to lekarze często nie potrafili słuchać – wydaje im się, że wszystko wiedzą najlepiej. Bywa, że z tej niewiedzy (której nie ma się co wstydzić, bo to

→ bardzo rzadka choroba) zamiast ulżyć pacjentowi, zadają mu więcej bólu. Weźmy zwykłe nakłucie igłą – personel medyczny zwyczajowo nakłada na skórę plaster, żeby zatamować krwawienie. W przypadku chorych na EB przy ściąganiu plastra zrywa się też skórę. Leci krew i robi się rana.

Joanna weszła kiedyś na oddział noworodków. Dziecko chore na EB leżało w inkubatorze. A przecież absolutnie nie powinno, bo wtedy tworzy się więcej pęcherzy. I pomimo że dają lekarzom książki, ulotki – nie wszyscy chcą je czytać, po prostu wiedzą lepiej. Na szczęście, jak podkreśla Joasia, to się powoli zmienia. Ostatnio lekarze stali i z uwagą słuchali tego, co mówiła.

W 2019 r. Przemek i Joasia wydali własnym sumptem wywiad rzekę z Przemkiem (przeprowadziła go Agnieszka Majnusz). Książka nosi tytuł „Siła w EB – Historia Człowieka ze Szklą”. Wiele chorych osób, które ją przeczytało, dzwoniło do nich z podziękowaniami. Mówią, że książka jest amuletem. Gdy przeżywają trudne chwile, sięgają po nią – zawsze pomoże. Bo ta książka, mówią jej czytelnicy, jest nie tylko o chorobie, ale przede wszystkim o tym, jak żyć.

Dobra recepcja książki była możliwa, bo Przemek oprócz pełnienia funkcji w banku jest także mówcą motywacyjnym. Jeździ po Polsce z prelekcjami. Najczęściej do szkół – dyrektorzy zapraszają go, gdy wśród młodzieży pojawia się jakiś problem. Zwykle chodzi o dręczenie kogoś przez rówieśników. Co wtedy mówi?

– Po prostu opowiadam im o swoim życiu. Mówię im, że wszystko, co mnie spotkało, nauczyło mnie pokory i siły wewnętrznej. I zmotywowało, żeby iść dalej i zaakceptować siebie w pełni. Powtarzam im też zawsze, żeby wierzyli w sie-

Przemek Sobieszczuk jeździ po szkołach z prelekcjami.
Mówi uczniom, jak choroba nauczyła go pokory,
siły wewnętrznej i akceptacji siebie. Bez względu na wszystko, co go spotyka.

bie i w swoje możliwości – mimo wszelkich problemów, jakie ich spotykają. I żeby nie zwracali uwagi na to, jak inni ich widzą.

Przemek twierdzi, że to działa. W szkole średniej otrzymał podziękowania – po jego prelekcji szyszanowanie jednego z uczniów ustało.

– Najlepsze są te rozmowy – opowiada Joanna – przed którymi dyrekcja zapowiada, że będzie trudno, bo młodzież nie chce słuchać. Wchodzimy do klasy: faktycznie, wszyscy zatopieni w komórkach. Ale gdy Przemek zaczyna mówić, po dziesięciu minutach telefony są już odłożone.

Pojawiają się też pytania. Bywają trudne: „Czy jesteś zły na Boga, że taki się urodziłeś?”. – Odpowiedziałem wtedy, że się kłóczę z Bogiem. Nikt mi tego nie zabroni. Bóg słucha wszystkiego. Można się z nim kłócić, to też jest jakiś rodzaj modlitwy.

Promyk światła

Poranne zabiegi pielęgnacyjne trwają około dwóch godzin. Prześcieradło, cała pościel – wszystko jest we krwi. Pod wpływem ruchu podczas snu bandażę i specjalistyczne opatrunki przesuwają się, przyklejają, zasklepiają. Rano trzeba je

w łazience ściągnąć – Joasia tnie wszystko uważnie nożyczkami. Razem ze skórą. Każdego ranka jest więc w łazience po-top krwi.

Przemek często wtedy woła: „Boże, pomóż!”. „Boże, ja już nie mogę!”. „Boże, zabij mnie!”.

Nie kryje: miał też myśli samobójcze. Nie postrzega jednak śmierci jako czegoś złego. Raczej wydaje mu się ona nagrodą za to, co dziś przechodzi na tym świecie.

Najgorzej, gdy choroba się wzmaga. – Wtedy krzyczę na Boga, wyzywam, wydzieram się na niego.

– Co to znaczy „wzmaga”?

– Rany tworzą się częściej, są coraz większe i bardziej bolesne. Wtedy zupełnie tracę siły.

Ale to nie jest tak, tłumaczy, że jest zły na Boga. Przemek czuje wewnętrzny żal, ale nie oskarżał nigdy Stwórcy o to, że jest chory. Woli modlitwę – prosi w niej, aby Bóg pomógł mu przejść przez ten ciężki okres. – I po pewnym czasie w środku pojawia się coś, co staje się promykem światła. Zaczynam wtedy patrzeć na świat w inny, lepszy sposób.

■ ■ ■

Przemka na powierzchni trzyma także to, że w jego związku z Joanną jest dużo spontaniczności. Potrafią czasami wstać wcześniej rano i pojechać na jeden dzień nad morze. Albo późnym popołudniem – w góry. Kiedyś wybrali się tak do Dębna Podhalańskiego – do domu wrócili późno w nocy.

Jest jeszcze jeden ważny element ich wspólnego życia: humor. Spotykają się z przyjaciółmi i żartują. Choćby z różnych sytuacji, które co rusz spotykają Przemka. – W życiu trzeba się po prostu dużo śmiać – mówi, a w oczach ma łzy.

© MARCIN CHODUŃ

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Słubicach w sprawie I Ns 153/22 o stwierdzenie nabycia spadku po Piotrze Karolu Gabrysie, s. Mariana i Władysławy, zm. 24.06.2019–25.06.2019 roku w Berlinie, którego ostatnim miejscem stałego pobytu był Kostrzyn nad Odrą, wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sąd nie dysponuje informacjami na temat pozostawionego majątku.

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 368/21 toczy się postępowanie z wniosku Krystyny Wójcik o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na jej rzecz udziału 12/40 części we współwłasności działek ewid. nr: 214/1 i 214/2 o łącznej pow. 0,23 ha, położonych w Wokowicach, gm. Brzesko – wpisanego obecnie w księdze wieczystej TR1B/00057966/2 prowadzonej przez Sąd Rejonowy w Brzesku na rzecz Zofii Latochy, c. Stanisława i Rozalii, i Mieczysława Gładysza, s. Stanisława i Rozalii – po 6/40 części.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem, o ile zostanie udowodnione.

TOMASZ

Stawiszyński: *Logika i apokaliptyka*



JEŚLI KTOŚ TWIERDZI, ŻE NIE BLEFUJE, TO z pewnością blefuje – uspokaja wybitny ekspert w sprawach rosyjskich i przekonuje, że racjonalna analiza wskazuje jednoznacznie: Putin nie użyje broni jądrowej. Ani w Ukrainie, ani tym bardziej prze-

ciw któremuś z krajów NATO. Nie będzie mu się to opłacało, nie wyliczy takiego ruchu z pomocą żadnej skomplikowanej myślowej operacji. Wtórzy mu inny ekspert o równie, co by nie mówić, pokrzepiającej opinii: Rosja imploduje, Putin jest w fazie schyłkowej, przeszarżował, nadrabia więc groźną miną i straszy, ale nie ma w tych strachach nawet kropli realnej substancji. Te diagnozy wkomponowują się płynnie w rzekę mniej lub bardziej radosnych komentarzy analityków amatorów, które codziennie pojawiają się w mediach społecznościowych i od samego początku wojny malują obraz nieuchronnej rosyjskiej klęski oraz nieuchronnego triumfu Ukrainy.

Cóż, rosyjska klęska – prędzej czy później – rzeczywiście jest nieuchronna, pytanie tylko, co dokładnie będzie ją poprzedzało, a także co jej będzie towarzyszyć. Mając przed oczami wszystkie te analizy, z których wynika, że eskalacja konfliktu jest dla Putina głęboko nieopłacalna i w żaden sposób nie daje się uzasadnić, nie potrafię odpędzić wspomnień z grudnia 2021 czy stycznia 2022 roku, kiedy to również liczni eksperci argumentowali, że głęboko nieopłacalna i niedająca się uzasadnić byłaby dla Putina decyzja o napaści na Ukrainę. Chwilę później, poddając refleksji własną pomyłkę, dowodzili z kolei, że działanie rosyjskiego autokraty mimo wszystko było racjonalne, aczkolwiek jego racjonalność różni się istotnie od naszej, bo w swoich kalkulacjach – które wszakże kalkulacjami niezmiennie pozostają – rachuje on po prostu innymi niż Zachód elementami. Tym niemniej – podkreślali – do rozumienia działań Putina wciąż stosuje się logikę, nie zaś apokaliptykę. Tej ostatniej, akcentując nieustannie rosnący antagonizm między Rosją a „kolektywnym Zachodem” – siedzibą wszelkich zepsuć i rozkładów – Putin używa wyłącznie instrumentalnie, zdając sobie sprawę, jak intensywnie oddziałuje to na zbiorową wyobraźnię po obu stronach uruchomionej przezeń antagonizmu.

Chciałbym wierzyć, że ci eksperci mają rację, nieodmienne jednak przypomina mi się w tym kontekście zmarły przed siedmioma laty francuski antropolog René Girard. W szczególności – jego ostatnia książka, którą w Polsce wydano pod tytułem „Apokalipsa tu i teraz”, w oryginale nazywa się natomiast „Achever Clausewitz” – „Dokończyć Clausewita”, czyli „domyśleć” do końca jego wielkie dzieło „O wojnie”. Padają tam znamienne słowa: to nie nauka, ale religia ujmuje ostateczną prawdę o człowieku.

Nie logika zatem, ale apokaliptyka pozwala najbardziej adekwatnie rozumieć, a więc i przewidywać ludzkie zachowania,

zwłaszcza jeśli dotyczy to żywiołu przemocy, którego precyzyjnemu badaniu Girard poświęcił całą swoją intelektualną karierę. Dzieje się tak dlatego, że przemoc na fundamentalnym poziomie wymyka się naszej kontroli. Cała kulturotwórcza działalność – twierdzi autor „Kozła ofiarnego” – od początku służy właśnie okiełznaniu przemocy, a mimo to ona wciąż o krok nas wyprzedza, wciąż udaje się jej nad nami triumfować. Dlaczego? Dlatego właśnie, że nie dostrzegamy jej zasadniczej natury, którą najpełniej opisuje chrześcijaństwo (traktowane tu nie jako najlepsza możliwa metafizyka, ale jako najlepsza możliwa antropologia) – zakaźnej, osłepiającej, upodabniającej do siebie wszystkich, którzy znajdują się w zasięgu rażenia. Zwłaszcza dzisiaj – w świecie, w którym dawno zaprzepaszczone szanse na wydobycie się z zaklętego kręgu przemocy (antyprzemocowy potencjał chrześcijaństwa nie został, zdaniem Girarda, właściwie rozpoznany) – niebezpieczeństwo niekontrolowanego jej rozprzestrzeniania się jest wyjątkowo duże. Nie tylko, ale również z uwagi na broń masowego rażenia.

Czy zatem Putin użyje, czy nie użyje broni jądrowej? Girard powiedziałby zapewne, że nie jest to ani kwestia psychologiczna, ani tym bardziej politologiczna. Nie są tu bowiem w grze indywidualne uwarunkowania, nie decyduje żadna racjonalna – w takim czy innym modelu racjonalności – kalkulacja. Mechanizm, w którego wnętrzu znaleźliśmy się z chwilą wybuchu wojny, rządzi się własnymi, swoistymi prawami. Jego cechą dystynktywną – „domyśla” Girard przenikliwie diagnozy Clausewita – jest proces osiągnięcia skrajności. Polega on na tym, że strony zaangażowane w konflikt nieuchronnie a nieświadomie dążą do skrajności, to znaczy eskalują przemoc aż do momentu, w którym albo następuje samozniszczenie, albo też pojawiają się warunki możliwości zawarcia pokoju. Nie ma o nich jednak mowy tam, gdzie rządzi apokaliptyka i gdzie wszystko rzucone zostało na szalę. W porządku apokalipsy śmierć nie jest bowiem czymś, czego by należało za wszelką cenę uniknąć, przeciwnie: jest koniecznym etapem, ekstatycznym spełnieniem mitu działającego w historii i poprzez historię.

Właściwe pytanie brzmi zatem: czy istnieją jeszcze jakiegokolwiek powody, dla których Putin mógłby cofnąć się z drogi, którą konsekwentnie podąża, albo raczej czy zdążymy zrozumieć powagę sytuacji i z tej drogi definitywnie go zawrócić? ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 109/22 toczy się postępowanie z wniosku Janiny Fajks o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym Stanisławie Fajks, ur. 15 kwietnia 1934 r., s. Władysława i Józefy, zm. 1 lutego 2022 r. w Kłodzku, ostatnio zamieszkałym w Kamieńcu Ząbkowickim.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Stanisławie Fajks, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

KOŚCIÓŁ JEST ZAMKNIĘTY [2]

Do dziś nie może uwolnić się od sprawy abp. Paetza. Zawążyła ona na całej jego przyszłości – bo go złamała. Oto druga część portretu abp. Marka Jędraszewskiego.

TEKST: ANNA GOC, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MARCIN ŻYŁA

ILUSTRACJA: MICHAŁ DYAKOWSKI

SOBOTA, 18 MAJA 2019 R. ZA CHWILĘ w poznańskim kościele pw. Michała Archanioła zacznie się msza, która inauguruje obchody stulecia elitarnego liceum – I LO im. Karola Marcinkowskiego.

Grupa byłych uczniów „Marcinka” zgromadziła się na chodniku opodal kościoła. Znad długiego na kilkanaście metrów transparentu wystaje rząd przeważnie siwych głów. „Wstyd nam za ciebie!” – głosi napis. Stojący obok trzymają kartki A4 z napisami: „tupet”, „rasizm”, „ksenofobia”, „homofobia”, „pycha”.

Przed świątynią widać inne napisy. Dwie starsze osoby podtrzymują wspartą na listwach flagę Polski: na białym tle ciemny krzyż, na czerwonym napis: „Tylko pod tym znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem”.

Odprawiający mszę abp Marek Jędraszewski za kontrowersyjnego uchodzi w mieście dopiero od kilkunastu lat. Przez pięć dekad był wraz z rodziną częścią tutejszej elity. Rodzina Melanii, przyszłej matki Marka, żyła w patriotycznym kulcie jej starszego brata Leona, który brał udział w powstaniach wielkopolskim i śląskim, walczył z bolszewikami (za zasługi dostał order Virtuti Militari). Podobnie było w pochodzącej z Kujaw rodzinie ojca.

Melania i Aureli poznali się w Poznaniu w 1948 r. Rok później urodzili się Marek i jego brat bliźniak, Wojciech. Aureli był inżynierem, jego żona po urodzeniu bliźniaków (później przyjdzie na świat jesz-

cze dwójka dzieci) odeszła z pracy w urzędzie i zajmowała się domem. „Pamiętam – wspomina abp Jędraszewski – jak mój śp. Ojciec zawsze wymagał, abym moją mamę całował w rękę, i to także wówczas, gdy byłem już księdzem. Gdy zostałem biskupem, mama mi tego stanowczo zabroniła. Ale stało się to dopiero wtedy, gdy nie było już na świecie mego ojca”. Cytat przytacza Jolanta Sosnowska w książce „Ty masz zwyciężyć! Opowieść o abp. Marku Jędraszewskim”, wydanej przez bliskie hierarsze wydawnictwo Biały Kruk.

Według Tomasza Polaka (dawniej ks. Tomasza Węclawskiego), teologa i poznaniaka, wspomniane I LO było jednym z najważniejszych punktów odniesienia dla przyszłego hierarchy: – Ci, którzy do tej szkoły chodzili, uważali się często za „lepszych”. Drugim punktem odniesienia było poczucie przynależności do grona tzw. tradycyjnych poznańskich rodzin. Trzecim: przywilej uczestnictwa podczas studiów w zajęciach prof. Ludwika Wciórki. Najbardziej inteligentni klerycy studiowali pod kierunkiem dobrego filozofa, stanowiąc elitarną grupę wewnątrz seminarium.

Długie włosy

„Dziękuję Ci, biskupie Juliuszu, za rzymską przygodę” – mówi w 1997 r. Marek Jędraszewski do abp. Juliusza Paetza, przewodniczącego jego biskupim święceniom.

Poznali się dużo wcześniej właśnie w Rzymie, gdzie Jędraszewski trafił

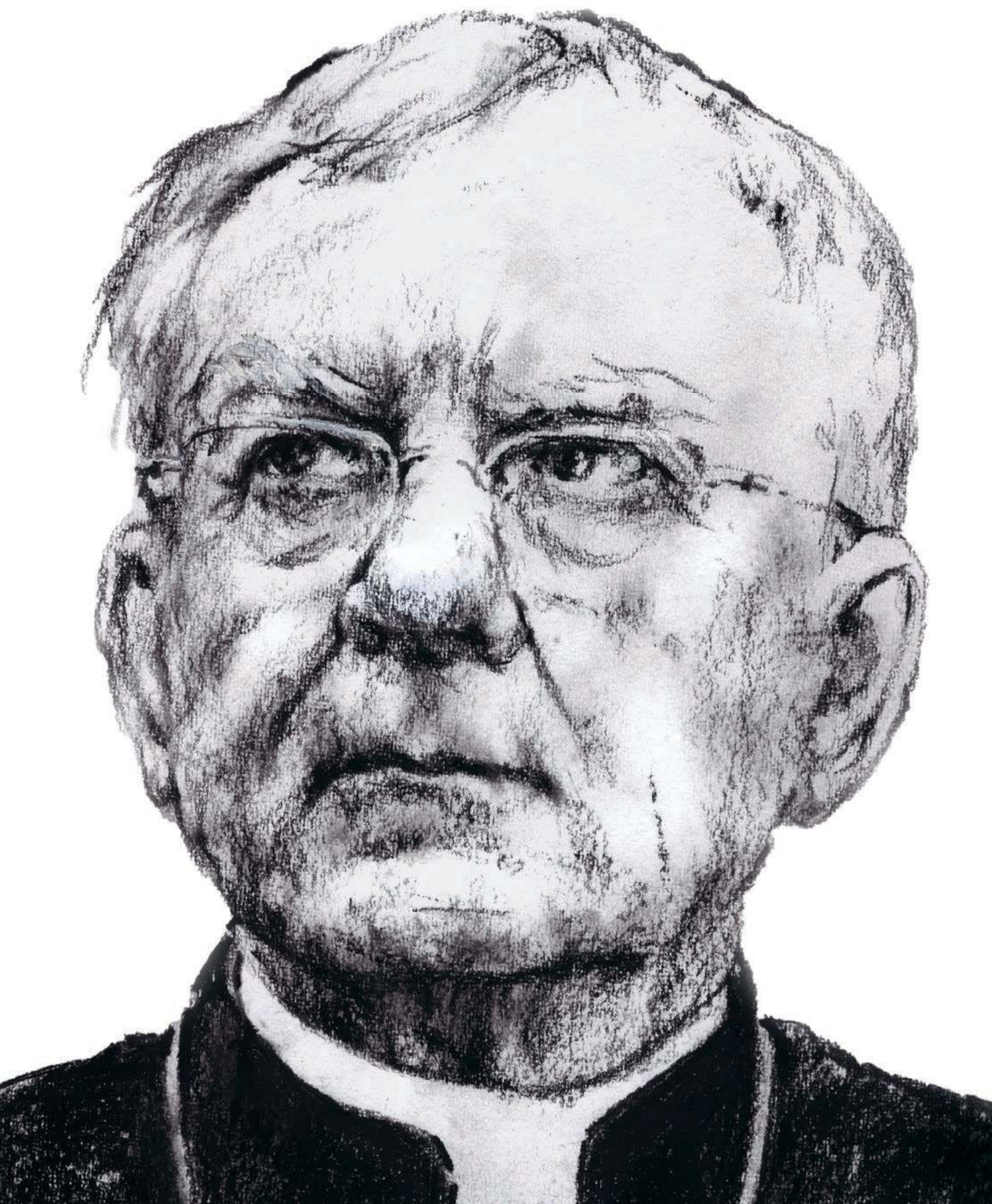
na dodatkowe studia filozoficzne jako młody ksiądz – po dwuletnim wikariacie w Ostrowie Wielkopolskim. Są lata 70., Paetz jest w Rzymie od niemal dekady. Pracuje w Sekretariacie Generalnym Synodu Biskupów, współpracuje z Sekretariatem Stanu Stolicy Apostolskiej.

„Byli wtedy w bardzo bliskich relacjach – opowiadał „Więzi” Tomasz Polak. – Wspólnie jeździli na wycieczki, kąpali się w morzu. Bezpośrednio po Jędraszewskim pojechałem z Poznania na studia do Rzymu. Ani ja, ani nikt z moich ówczesnych kolegów nie miał tak bliskich relacji z Juliuszem Paetzem”.

Jeden z byłych poznańskich studentów obecnego arcybiskupa, który prosi o anonimowość, wspomina, że wyjazdy do Włoch niezwykle Jędraszewskiego cieszyły: – Przed podróżą mawiał: „W Rzymie będzie inny świat, tam ludzie się uśmiechają, nie to, co u nas – nerwowi i smutni”. Jędraszewski w Rzymie się zmieniał. W Polsce dla niektórych był symbolem konserwatyzmu, sprawiał wrażenie usztywnionego. W Rzymie luzowany, radosny.

Jeszcze podczas studiów w Rzymie Jędraszewski zaczyna pisać o Emmanuele Levinasie – najpierw doktorat, później habilitację (Levinas był inspiracją →





→ dla filozofii dialogu uprawianej przez ks. Józefa Tischnera). Szybko odnajduje drogę do Karola Wojtyły, częstego gościa w rzymskim Kolegium Polskim, bursie dla polskich doktorantów.

– Jędraszewski nawiązał z Wojtyłą kontakt na zasadzie: filozof z filozofem – wyjaśnia Tomasz Polak. – Potem, gdy Wojtyła został papieżem, Jędraszewski pokazywał mu wszystko, co napisał. Czekał na jego reakcje.

„Wojtyła zwrócił uwagę na młodego księdza z Poznania i polubił go” – pisze Jolanta Sosnowska. I przytacza anegdotę: „Gdy ks. Marek zorientował się (...), że noszone przez niego wówczas zgodnie z modą dłuższe włosy nie za bardzo podobają się kardynałowi, szybko przemyślał sprawę i niebawem udał się do fryzjera”.

Idzie na przeczekanie

Wśród pnących się wtedy w górę kościelnej hierarchii księży Jędraszewski ma opinię intelektualisty. W połowie lat 80. ks. Tischner zaprasza go z wykładem monograficznym na Papieską Akademię Teologiczną w Krakowie (poprzednia nazwa Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II). W czerwcu 1991 r. na miejscowym Wydziale Filozofii Jędraszewski się habilituje. Jego kariera będzie nabierać tempa dzięki bliskiej znajomości z Paetzem, ale nie mniej istotna będzie owa akademicka reputacja.

– On mówi profesorskim tonem, z powołaniem się na filozofów, prezentuje diagnozy, które sprawiają wrażenie głębokich i przemyślanych. No i jest profesorem pełną gębą, więc „wie, co mówi”. Inni myślą: „My mamy co prawda doktoraty, bo żeby być biskupem, to trzeba mieć doktorat, ale wiadomo: różnie to bywa z tymi kościelnymi doktoratami. A z niego jest prawdziwy intelektualista” – mówi Zbigniew Nosowski, redaktor naczelny „Więzi”.

Na początku lat 90. ks. Jędraszewski prowadzi rekolekcje pasyjne na poznańskich Winiarach.

– Chodziłem wokół kościoła, słuchałem – opowiada jeden ze znających go księży. – Byłem zdziwiony tzw. patriotycznym tonem kazania pasyjnego. Tak zaczęła się jego droga do „ideologii LGBT” i „tęczowej zarazy”.

– Staram się patrzeć na niego jak na człowieka – kontynuuje duchowny. – Myślę, że on się wciąż męczy ze sprawą Paetza. Idzie też na przeczekanie. To taki styl myślenia: „Po co to odgrzebujemy, komu to służy? Zamieszania i tak jest dosyć”. On się bał, a może wciąż się boi, że sprawa Paetza na nim zaciąży.

Podpiszcie dla dobra Kościoła

Wrzesień 2021 r. Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski wysłał nuncjuszowi apostołskiemu w Polsce zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przez Marka Jędraszewskiego czynów mających zakłócić toczące się postępowania o nadużycia seksualne przeciw innemu duchownemu. Chodzi o abp. Juliusza Paetza.

Autorka udostępnionego nam zawiadomienia dowodzi, że dwie dekady wcześniej, podpisując i namawiając poznańskich księży dziekanów do podpisania listu w obronie abp. Paetza, Marek Jędraszewski, wówczas biskup pomocniczy poznański, wiedział o stawianych metropolicie zarzutach. Ks. Isakowicz-Zaleski: – Biskup Jędraszewski wprowadzał dziekanów w błąd, mówiąc, że trwa nagonka na Kościół. Niektórzy ulegli presji.

Przypomnijmy: pierwsze wątpliwości w sprawie Paetza pojawiły się jesienią 1999 r. Ks. Tadeusz Karkosz, rektor Arcybiskupiego Seminarium Duchownego, poinformował o nich ks. Tomasza Węclawskiego, dziekana Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Adama Mickiewicza, i poprosił o radę biskupów pomocniczych. W grudniu rozmawiał z samym Paetzem.

Z początku Jędraszewski próbował interweniować. Jego były bliski współpracownik: – Jeszcze zanim sprawa pojawiła się w mediach, pojechał do Józefa Kowal-

czyka, nuncjusza apostolskiego w Polsce. To było dla niego trudne, długo się zbierał. Wrócił „zbity”; takie padło stwierdzenie. Kowalczyk go zrugął: gdzie jego lojalność, czemu wierzy plotkom? A gdy sprawa stała się medialna, miał do Jędraszewskiego zadzwonić i powiedzieć, że Ojciec Święty życzy sobie, by wsparł Paetza. Jestem pewien, że papież tak nie powiedział.

Pod koniec sierpnia 2000 r. z listem w sprawie Paetza jedzie do Watykanu ks. Węclawski. Wiosną następnego roku kolejne pismo otrzymuje watykański sekretarz stanu, kard. Angelo Sodano. Nuncjusz dostaje pisemne świadectwa kleryków. We wrześniu rektor Karkosz znów rozmawia z Paetzem, prosząc go o ograniczenie kontaktów z klerykami. W październiku z pierwszą interwencją do papieża jedzie jego przyjaciółka z czasów krakowskich, Wanda Półtawska.

25 października dochodzi do kluczowego spotkania arcybiskupa i biskupów pomocniczych z księżmi dziekanami (dziekani stoją na czele dekanatów, jednostek skupiających dziesięć parafii).

– Stawili się niemal wszyscy – opowiada Tomasz Polak, który jeszcze jako ks. Węclawski odegrał w ujawnianiu sprawy Paetza jedną z kluczowych ról, a w kwietniu 2002 r. opowiedział o jej kulisach „Tygodnikowi” w wywiadzie pt. „Świadectwo”. – Przebieg spotkania znam z kilku relacji obecnych tam osób. Rozpoczął sam Paetz, stwierdzając, że trwa na niego nagonka, a następnie wychodząc i zostawiając zgromadzonych z trzema biskupami pomocniczymi. Na pewno dwaj z nich, tzn. Marek Jędraszewski i Zdzisław Fortuniak, uczestniczyli czynnie w nakłanianiu dziekanów do złożenia podpisu pod listem w obronie metropolity. „Podpiszcie dla dobra Kościoła”, takie padło sformułowanie. Co najmniej dwóch odmówiło, stwierdzając, że zawarta w liście wersja zdarzeń jest nieprawdziwa. Pozostali złożyli podpisy, przekonani, że list jest przeznaczony do czytania w kościołach archidiecezji. Potem część poczuła się



KOŚCIÓŁ JEST ZAMKNIĘTY

Obie części portretu abp. Jędraszewskiego, komentarze i podkasty dostępne są w serwisie tygodnikpowszechny.pl/kosciolzamkniety

JACEK PRUSAK SJ

W stylu dworskim



GRAŻYNA MAKARA

MACIEJ MÜLLER:
Co historia abp. Jędraszewskiego mówi o Kościele w Polsce?

KS. JACEK PRUSAK: Zgadzam się z tezą Zbigniewa Nosowskiego, że abp Jędraszewski jest dla innych hierarchów wyrazicielem pewnej wizji. To oczywiście wizja tylko pewnej części Kościoła – zalęknionej, niepotrafiącej zmierzyć się z tym, co przyniesie jutro, więc próbującej się od tego odгородzić.

To człowiek, wokół którego przez lata zgromadziło się wiele cieni. Jak mogło dojść do tego, że został metropolitą krakowskim?
W procesie nominacji biskupich brakuje konsultacji z wiernymi. Poza

tym za pontyfikatu polskiego papieża i urzędowania w Polsce polskiego nuncjusza dochodziło do nominacji natury koleżeńskej. Dzisiaj ponosimy tego konsekwencje.

Co mogło stać za decyzją wysłania ks. Bochyńskiego do DPS-u?

To też problem strukturalny. Teologia urzędu biskupa wymaga teologicznej korekty. Bo zgodnie z tradycyjną eklezjologią biskup czuje się odpowiedzialny za księdza jak ojciec za syna. Kapłaństwo w tym ujęciu jest święte ponad wszystko i trzeba je ratować bez względu na koszty. Sądzę, że abp Jędraszewski, wysyłając ks. Bochyńskiego do DPS-u, chciał dać mu „drugą szansę”, zapewne rozumował: przecież nie wysyłam go do szkoły.

Co powiedzieć o metropolicie, który nie dopuszcza do siebie petentów albo tygodniami każe im czekać na odpowiedź?
Abp Jędraszewski wie, że nie jest hierarchą lubianym. I że wśród petentów

może być wielu krytyków. Odnajduje się w stylu dworskim: „Jestem ponad wami, kontakt ze mną jest przywilejem”. Nie czuje się w Krakowie swobodnie ani bezpiecznie. To nie kardynał Macharski, który wychodził na ulice i nie bał się spotkać.

Dlaczego abp Jędraszewski tak emocjonalnie reaguje na wzmianki o abp. Juliuszu Paetzu?

Rola, którą odegrał w sprawie Paetza, broniąc metropolity, to jego pięta achillesowa. Nigdy się nie przyznał do tego, że w 2002 r. postąpił niesłusznie. Kościół nazwał złem to, co robił Paetz. Więc abp Jędraszewski nie może wbrew wszystkim twierdzić, że miał rację. Wie, że sprawa Paetza połamala ludziom sumienia i wywołała zgorzienie. A on sam przychylił się do bolesnych decyzji w stosunku do osób, które ten problem próbowały rozwiązać. Mimo to kreuje się dzisiaj na autorytet moralny. ©

KS. JACEK PRUSAK SJ jest dyrektorem Instytutu Psychologii Akademii Ignatianum w Krakowie.

grzechu: jeden pociąga za sobą następne i oddziałuje na innych. Jędraszewski jako biskup bardzo się troszczył, by przez wszystkie te lata nie rozmawiać publicznie z nikim, kto mógłby postawić mu niewygodne pytania. Bronił w ten sposób samego siebie, zapewne zakładając (niezbyt po chrześcijańsku), że przyznanie się do błędu byłoby porażką, tragedią, kompromitacją – komentuje Zbigniew Nosowski.

Niech się filozof nie marnuje

Jak wyglądała kolejna poznańska dekada (2002-2012) bp. Jędraszewskiego, już pod rządami nowego metropolity, abp. Stanisława Gądeckiego? Tomasz Polak i tu odwołuje się do specyfiki kościelnych relacji: – To rodzaj typowego dla tej instytucji „treningu”: jeśli przeżyliśmy razem jakąś nieprzyjemną sytuację, to się o tej sytuacji następnie milczy, nawet jeśli wszyscy wiedzą, kto co zrobił, a co próbował ukryć. Sprawy toczyły się więc swoim biegiem. Nie sądzę też, by coś się zmieniło w relacjach Paetz-Jędraszewski.

I dodaje, że jeśli przyszły łódzki arcybiskup miał w tej sprawie do kogokolwiek pretensje, to nie do byłego szefa, ale do tych, którzy ośmielili się całą sprawę nagłośnić: – W tym do mnie, bo w wywiadzie dla „Tygodnika” powiedziałem, że biskupi stracili moralne prawo do przewodzenia Kościołowi poznańskiemu.

Milczenie na temat sprawy Paetza nie hamuje kariery Marka Jędraszewskiego: 11 lipca 2012 r. papież Benedykt XVI mianuje go metropolitą łódzkim. Skąd ta nominacja?

– Można powiedzieć, że obiektywnie patrząc biskup pomocniczy, który jest profesorem filozofii, się marnuje – tłumaczy Zbigniew Nosowski. – Bo przecież on ma horyzonty, które pozwalają mu być hierarchą samodzielnym. Ale wiele mówi się też o roli, jaką w tej nominacji odegrał abp Józef Kowalczyk.

Otwieranie, zamykanie

Ta scena rozgrywa się w Łodzi na początku urzędowania przybywającego z Wielkopolski hierarchy. Dostaje od szefa archidiecezjalnego wydawnictwa swój biogram, który ma autoryzować. Wykreśla fragmenty o abp. Paetzu. Z jednym wyjątkiem: nazwisko ostaje się w passusie dotyczącym przyjęcia przez Jędraszewskiego święceń biskupich – z tego kontekstu Paetza wyciąć się po prostu nie da.

oszukana, gdy się okazało, że od początku chodziło o wysłanie tego listu do Watykanu, jako komunikatu: poznańscy księża murem za arcybiskupem.

– Może powinienem się bardziej temu dziwić, ale sam byłem księdzem i wiem, jak to środowisko funkcjonuje – mówi Polak, gdy pytamy o mechanizm łamania sumień księży dziekanów. – Niewykluczone, że niektórzy spośród tych, którzy podpisali, mieli jakieś wątpliwości. Tylko że w Kościele, zwłaszcza w Kościele polskim, jak biskup o coś prosi, to się to robi i koniec. Argument „dla dobra Kościoła” to stały element ochrony systemu władzy.

Mimo to czterech dziekanów składa dymisję z urzędu. 23 lutego 2002 r. „Rzeczpospolita” publikuje artykuł Jerzego Morawskiego „Grzech w pałacu arcybiskupim”. W marcu Paetz wreszcie rezygnuje.

Biskup, a potem arcybiskup Jędraszewski nigdy nie wyjaśnił, dlaczego do końca bronił zwierzchnika. Nasi rozmówcy są zgodni: ta sprawa, a w zasadzie sposób, w jaki się do niej odniósł, zaważyła na tym, kim jest dziś.

– On wtedy po raz pierwszy, i to w bardzo ważnej sprawie kościelno-publicznej, nie stanął, mówiąc językiem kościelnym, „w prawdzie”. A na teologii moralnej uczono mnie o społecznym wymiarze



LISTY

„TP” 40 / 2022

Zacznijmy działać

Poruszony artykułem „Kościół jest zamknięty”, chcę podziękować autorom i redakcji za wyczerpującą dawkę prawdy o tym, co dzieje się obecnie w archidiecezji krakowskiej pod rządami abp. Marka Jędraszewskiego. W końcu ktoś ma odwagę mówić otwarcie o sprawach od lat zamykanych pod dywan.

Pracuję w diecezji bielsko-żywieckiej, od 18 lat jestem księdzem. Widzę, jak to wygląda na naszym podwórku. Wyniosłem z domu zasadę, że nie powinno się „kłaść własnego gniazda”, jednak bezsilność, niezgoda na to, co się dzieje, także i mnie nie pozwala milczeć. Liczę, że państwa artykuł odbije się szerokim echem także w hermetycznym środowisku kapłańskim i zmusi do przemyślenia, refleksji i jakiegoś działania nas jako Kościoła. Wystarczyłoby tylko dogłębnie przyrzeć się wnioskowi posynodalnemu – już one dają sporo do myślenia.

KS. MARCIN

Kto tu rządzi

Po przeczytaniu pierwszej części portretu

abp. Marka Jędraszewskiego zrodziło się w mojej głowie kilka pytań. Kto zarekomendował go do objęcia archidiecezji krakowskiej? Czy był to nuncjusz apostolski? Jaką rolę odgrywają w tym wszystkim biskupi pomocniczy, skoro rządzi „szare eminencje”, a kuria przypomina twierdzę? Czytam mądre wypowiedzi biskupa Muskusa i jestem zdziwiony, że abp Jędraszewski mu na to pozwala... Pracuję w domu pomocy społecznej i sprawa ks. Bochyńskiego jest dla mnie tak bulwersująca, że dziwię się, iż temat ten nie zainteresował małopolskiego urzędu wojewódzkiego, który kontroluje tego typu placówki.

WIESŁAW

spadać, klerycy dostali polecenie stawienia się w katedrze: – Decyzję ubrano w zestaw uzasadnień: „Jak to tak, arcybiskup miejsca prezentuje swoje nauczanie, a seminarzystów nie ma?”, itd.

Nie miną trzy lata, a uczelniany świątek też będzie mu nieprzychylny.

– Pamiętam mszę inaugurującą rok akademicki 2015 r. – wspomina dr Majda. – Obecny był tylko jeden z sześciu rektorów. I trudno się dziwić: to było po wypowiedziach w rodzaju, że rządzą nami ludzie niemający nic wspólnego z Bogiem.

Rok 2015 – czas wyborów parlamentarnych i prezydenckich – był już czasem otwartego aliansu hierarchy z ubiegającą się o władzę prawicą. „Prawda z trudem przebija się przez zasieki kłamstw, które od samego początku były podawane do publicznej wiadomości” – grzmi w piątą rocznicę katastrofy smoleńskiej abp Jędraszewski, od roku będący zastępcą przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Hierarcha dokonuje nawet technicznej ekspertyzy wypadku: „Nie-wytłumaczalne jest zawieszenie działania praw dynamiki Newtona, bo przecież bezpośrednie uderzenie samolotu w ziemię musiałyby skutkować ogromnym lejem”.

Na miłosierdzie

Kuria odgradzona nie tylko od „wrogiego świata”, ale nawet od swoich – ta cecha rysuje się już w Łodzi wyraźnie. Łukasz Głowacki (dziennikarz zajmujący się m.in. sprawami łódzkiego Kościoła, dziś szef Radia Plus Łódź) i Błażej Kmiecik (bioetyk, szef państwowej komisji ds. wyjaśniania przypadków nadużyć seksualnych, łódzianin) zapamiętali, że tylko w pierwszym roku obecności w mieście nowego metropolity ze stanu duchownego odeszło dziesięć księży.

– W każdym z tych przypadków chodziło o przyczynę osobistą – wspomina obecny szef Radia Plus Łódź. – Ale był też inny wspólny mianownik: niemożność spotkania i porozmawiania z arcybiskupem.

– Szef Caritasu, ekonom, rektor seminarium – jeden z łódzkich księży wylicza czystki dokonane przez abp. Jędraszewskiego. Inny ocenia: – Wymieniał na lojalnych. Ten nowy miał wiedzieć, że awans zawiązuje jemu.

Jednym z zaangażowanych wówczas w pracę dla kurii jest Łukasz Głowacki.

→ Jeden z krakowskich księży mówi nam, że kilka lat później abp Jędraszewski zgodzi się udzielić wywiadu jednemu z prawicowych tygodników, ale tylko pod jednym warunkiem: żadnych pytań o Paetza.

Na początku pobytu w Łodzi hierarcha nie jest jeszcze kojarzony z poznańską aferą. W ogóle nie jest tu znany, a ci, którzy coś o nim wiedzą, wiążą z jego przyściem nadzieje.

Dobrze ilustrują je odbywające się od 2013 r. „Dialogi w katedrze”. – Wierni, innowiercy, niewierzący. Katedra wypchana do ostatniego miejsca – tak początki „Dialogów...”, które miały polegać na wolnej wymianie myśli i pytań z nowym arcybiskupem, zapamiętał były łódzki kleryk, który zrezygnował po święceniach diakonatu: – Miejsce Jędraszewskiego było w prezbiterium, po prawej stronie stał pulpit, skąd padały pytania. Arcybiskup mówił językiem niezrozumiałym dla przeciętnego wiernego. Co nie zmienia faktu, że był to dobry pomysł: przedstawiciel Kościoła wychodzi do ludzi i nie boi się ich pytań.

Dobrego pierwszego wrażenia nie burzą charakterystyczne śmieszności.

Np. pomysł, by wejściu hierarchy do katedry na jedną z odsłon „Dialogów...” towarzyszyły fanfary.

Duża część łódzkiego środowiska akademickiego przyjmuje pozytywnie nowego arcybiskupa. – Po raz pierwszy pojawił się publicznie na wspólnej dla łódzkich uczelni inauguracji roku akademickiego. Został przyjęty entuzjastycznie – wspomina dr Rafał Majda, wówczas kanclerz Uniwersytetu Łódzkiego. – Poprzedni arcybiskup, Władysław Ziółek, był przez część środowiska akademickiego postrzegany jako biskup ludowy, więc akademicka Łódź czuła się doceniona przyjsiem biskupa-profesora.

Akademicki sznyt i reputacja otwartości szybko pryskają. Podobnie jak dobra opinia o „Dialogach...”. – Tłumy zamieniały się w garstki, a dialogi w monologi – mówi nam dobrze zorientowany ksiądz. – Raz wyszła dziewczyna i odważyła się zapytać, dlaczego arcybiskup zlikwidował w Łodzi Ekumeniczną Drogę Krzyżową. Kluczył, kluczył, na pytanie nie odpowiedział.

Były łódzki kleryk zapamiętał, że gdy frekwencja podczas „Dialogów...” zaczęła



Protest przed kurią biskupią w Krakowie przeciwko słowom abp. Jędraszewskiego o tęczowej zaradzie. Kraków, 4 sierpnia 2019 r.

Obsługuje – w charakterze wolontariusza – stronę internetową archidiecezji. Do czasu: – Umieściłem film z kolejnej edycji odbywającego się, tym razem w Pabianicach, „Dialogu Młodych o Wierze”, nad którym kuria sprawowała patronat. Szymon Hołownia krytykował podczas niego m.in. biskupie ataki na „ideologię gender”. Kazano mi to wyciąć, a gdy odmówiłem, „na raty” dziękowano mi za współpracę. Najpierw prosząc o wysyłanie wszystkich tekstów do cenzury, a potem już ostatecznie się ze mną rozstając.

Końcówka roku 2016, Watykan ogłasza, że abp Jędraszewski będzie metropolitą krakowskim. To już czasy papieża Franciszka – i właśnie w jego spotkaniu z Jędraszewskim w lipcu tego roku wielu naszych rozmówców upatruje źródła nominacji.

– Chodzi o sposób, w jaki zaprezentował się Franciszkowi podczas jego wizyty w Polsce – zwraca uwagę Nosowski. – Spotkanie na Wawelu, czterech wylosowanych biskupów ma zadać pytania. Abp Głódź pyta Franciszka o miłosierdzie, a abp Jędraszewski o konfrontację z kulturą liberalno-ateistyczną, ale też zaczyna opowiadać o św. Faustynie. Wiadomo było, że na idei miłosierdzia u tego papieża można się wyłansować. Franciszek dopytywał wtedy Jędraszewskiego, z której jest diecezji.

Wizje czy zawołania

Jaką rolę pełni dziś w polskim Kościele abp Marek Jędraszewski? W pierwszej części portretu hierarchy Zbigniew Nosowski stawiał tezę, że obecny krakowski metropolita daje biskupom iluzję czegoś, czego najbardziej im brakuje: wizji.

– A może jednak to nie jest iluzja, ale spójna wizja? – dopytujemy Nosowskiego.

– Moim zdaniem to są głównie zawołania bojowe. Ale gdyby doszukiwać się zrzębów wizji, to znalazłoby się kilka elementów. Po pierwsze, zawiedliśmy się na liberalnej inteligencji, także katolickiej, a narodowcy co prawda nie bardzo rozumieją katolicyzm, ale skoro powołują się na Pana Boga i na Kościół, to przynajmniej istnieje nadzieja, że na nich wpłyniemy. Z narodowcami można flirtować, bo oni nie ulegną liberalnym miazmatom. Dzięki temu można wierzyć, że z nimi będzie choć trochę tak, jak było dawniej.

Właśnie to, według Nosowskiego, stanowi drugi punkt „wizji” arcybiskupa: – Bardzo by chciał zawrócić bieg historii. Nie tyle buduje przyszłość, ile chciałby przywrócić przeszłość. To dlatego jak żaden inny hierarcha krakowski za naszej pamięci obficie korzysta z szat liturgicznych zgromadzonych przez wieki na Wawelu, naśladując Benedykta XVI, który wydobywał z szaf watykańskich

nieużywane rzeczy. To zupełnie inne podejście niż aksjomat Franciszka: że przeżywamy nie tylko epokowe zmiany, ale zmianę epoki.

Symptomatyczne: w ostatnich latach krakowska kuria zamyka się coraz bardziej, a krąg współpracowników metropolity się zacieśnia. Papieskie okno na Franciszkańskiej 3, kiedyś symbol wymiany myśli, zostało zamurowane.

Rozmiar kapelusza

W wywiadzie udzielonym pod koniec 2020 r. Zbigniewowi Nosowskiemu dla „Więzi” Tomasz Polak tak scharakteryzował abp. Jędraszewskiego: „*Musterknabe* to dosłownie »wzorowy chłopiec«. To niemieckie określenie kiedyś dość popularne w Poznaniu. Mówi się, że ktoś jest *Musterknabe*, kiedy zachowuje się jak wzorowy uczeń – prymus, który nad wszystkimi góruje, chociaż mało kto go naprawdę lubi. I nawet w wieku 70 lat można nadal być *Musterknabe*. Czyli chłopcem, któremu w jego przekonaniu nie powinna się przydarzyć żadna porażka”.

Jest rzecz jasna coś, co nie pozwala abp. Markowi Jędraszewskiemu poczuć się hierarchą spełnionym – brak kardynalskiej nominacji. Brak o tyle uderzający, że czerwony kapelusz otrzymali jego krakowscy poprzednicy.

– Mam na ten temat dwie hipotezy – mówi Zbigniew Nosowski. – Ogólną: Franciszek zasadniczo nie daje kapeluszy „po tradycji”, czyli tam, gdzie je tradycyjnie przydzielano. I szczegółową: papież jest już, z tego, co wiem, ostrożny w stosunku do abp. Jędraszewskiego. Wkrótce po pierwszym filmie Sekielskich i po tym, jak prymas Polak złożył doniesienie na bp. Janiaka do nuncjusza, Jędraszewski był u papieża. W czasie rozmowy, jak usłyszałem z dwóch niezależnych od siebie źródeł, miał opowiadać Franciszkowi o tym, jak to abp Polak rozbija jedność episkopatu i w związku z tym nie zasługuje na przygotowywane dlań kościelne zaszczty. Ale potem inny polski biskup się o tym dowiedział i szybko sprawę odkreślił. Jeśli ktoś toczy taką personalną grę, to musi się liczyć z jej ceną.

©© ANNA GOC,
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MARCIN ŻYŁA

**Rozmowy na potrzeby tekstu
odmówili nam: abp Marek Jędraszewski
i abp Stanisław Gądecki.**

Głaskane i błogosławione

DOROTA BIDZIŃSKA

**Wiadomo, że nie wolno ich męczyć, zadawać im bólu
– mówi chrześcijański aktywista na rzecz praw zwierząt.
– Ale lepiej uświadomić sobie, co tracimy, nie kochając ich.**

BŁOGOSŁAWIENI MIŁOSIERNI, ALBOWIEM ONI MIŁOSIERDZIA DOSTĄPIĄ. Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi. Jak można być miłosiernym wokół grilla, wiedząc, jakie życie i śmierć miały istoty, które grillujemy? – woła Barbara Niedźwiedzka. – Jak można zaprowadzać pokój, kiedy poluje się i łowi dla rozrywki i błogosławi takie zachowania? Jak można być dobrym nad niedzielnym rosołem z umęczonym kurczaka?

Stoi z mikrofonem pod Kolumną Zygmunta wśród uczestników warszawskiego Marszu Wyzwolenia Zwierząt. To cykliczne wydarzenie organizowane przez aktywistów walczących o prawa „tych, którzy głosu nie mają”. Niedźwiedzka bierze w nim udział po raz drugi, jako reprezentantka nieformalnej grupy facebookowej „Chrześcijanie dla zwierząt”. W tym roku zdecydowała się zabrać głos.

– Czy wyobrażacie sobie, że Chrystus krzywdzi zwierzęta? Że więzi je w klatkach, razi prądem, eksploatuje do wyczerpania? – rzuca w tłum.

Wśród czterystu uczestników manifestacji czteroosobowa reprezentacja „Chrześcijan dla zwierząt” nie wygląda imponująco. A jednak zwracają uwagę. W oczy rzucają się flagi z logo grupy: sylwetką leżącego wilka i przytulonego do jego boku baranka, wpisanymi w bryłę budynku zwieńczonego krzyżem, graficznym przedstawieniem słów prorocstwa z Księgi Izajasza (Iz 11, 6).

– Tak, byliśmy tam wśród samego lewactwa – wspomina z uśmiechem Niedźwiedzka. – Mówię to trochę przekornie, bo tak naprawdę kocham tych ludzi za to, co robią. Ale trzeba przyznać, że byliśmy tam kompletną egzotyką. „Nareszcie się katole obudzili” – usłyszałam od kogoś. Aktywiści na rzecz praw zwierząt doskonale zdają sobie sprawę, że jeśli chcą

powszechnej zmiany, to muszą dotrzeć także do wierzącej części społeczeństwa.

– Ludzie podchodzili do nas, zagadywali – opowiada Aleksander Kędziorek, który wziął udział w marszu wspólnie z żoną. – Jeden chłopak, przechodząc obok nas, rzucił: „Chyba jesteście w mniejszości”. Nie odebrałem tego jako wyrazu niechęci lub wrogości.

Właściwie to mógłby mu przyznać rację.

Grzeszna dieta?

W ostatnich 20 latach Polska stała się jednym z największych producentów mięsa – czytamy w raporcie „Atlas mięsa. Fakty i dane na temat zwierząt, które zjadamy” opracowanym przez Fundację im. Heinricha Bölla i Instytut na rzecz Ekorozwoju. Według prezentowanych danych zajmujemy pierwsze miejsce w UE w produkcji drobiu oraz kolejno czwarte i siódme, jeśli chodzi o produkcję wieprzowiny i wołowiny. W 2019 r. w naszym kraju żyło 225,6 mln kur, 11,2 mln świń i 6,3 mln bydła. Absolutna większość z nich całe swoje życie spędziła w ciasnych klatkach i boksach hodowli przemysłowej.

– Moja wrażliwość na sytuację zwierząt rozwijała się z czasem – opowiada Aleksander Kędziorek. – Duży w tym udział Ani, mojej żony. Pamiętam taką sytuację z pierwszych lat naszego małżeństwa, gdy siedzieliśmy nad stawem i patrzyliśmy na pływające po nim kaczki krzyżówki.

– Rozmyślałam wtedy, jak wygląda ich życie, co czują, jakie mają zmartwienie i radości – dopowiada Anna. – W tym samym momencie odezwał się Olek: ciekawe, czy taką kaczkę można by było zjeść.

– Z jedzenia ssaków i ptaków zrezygnowaliśmy już dawno – dodaje Aleksander. – Ostatnio obejrzelismy drastyczny dokument, „Dominion”, który pokazuje, jak brutalnie traktuje się zwierzęta. Dotyczy głównie wielkich hodowli przemysłowych,



wych, ale nie tylko. Myślę, że trzeba mieć psychopatyczny rys osobowości, żeby ten obraz w ogóle nie poruszył. My podjęliśmy decyzję, że niemal całkowicie wyłączymy z naszej diety produkty pochodzenia zwierzęcego.

Według sondażu IQS z 2019 r. w Polsce na dietę wegetariańską lub wegańską decyduje się zaledwie 1 proc. populacji, a 43 proc. deklaruje zmniejszenie ilości zjadanego mięsa.

– Dieta wegetariańska przestaje dziwić, choć zmiany następują bardzo powoli – mówi Marta Saratowicz, także związana z grupą „Chrześcijanie dla zwierząt”. – Pamiętam jeszcze kilkanaście lat temu, gdy byłam z mamą na wczasach, przez cały turnus jadłam na obiad jajko sadzone, bo panie w kuchni kompletnie nie miały pomysłu na bezmięsny posiłek. Moje dziesięcioletnie dziecko przez całe swoje życie nie miało w ustach choćby kawałka mięsa. Gdy było malutkie, pediatra zapraszała mnie na cykliczne wizyty. Nie mieściło jej się w głowie, że dziecko na wegetariańskiej diecie może się tak dobrze i zdrowo rozwijać.

– To nie jest wyłącznie problem ludzi wierzących. My wszyscy jesteśmy tacy. Ludzie po prostu za bardzo lubią mięso i mleko, żeby z nich zrezygnować – mówi



Marsz Wyzwolenia Zwierząt. Warszawa, 4 września 2021 r.

z żalem Niedźwiedzka. Sama od kilku lat jest na diecie wegańskiej. Czasem robi wyjątek i zjada jajko od znajomej kury. – Uważam jednak, że my, chrześcijanie, powinniśmy być pod tym względem lepsi. Pokazywać, że zwierzęta nie muszą cierpieć.

– Daleki byłbym od stwierdzeń, że weganin jest lepszym chrześcijaninem – mówi ostrożnie ks. Dariusz Jaślarz, proboszcz parafii w Manowie koło Koszalina, który od kilku miesięcy uczestniczy w spotkaniach „Chrześcijan dla zwierząt”. – Nasze ciała są z tej ziemi i tak zostaliśmy stworzeni, że potrzebujemy do życia białka organicznego, w tym tego pochodzącego od zwierząt. Dla mnie to decyzja indywidualna i wszystko zależy od tego, jaka intencja jej towarzyszy. Inaczej natomiast patrzę na problem hodowli przemysłowych. Forma, jaką przyjmują, orientacja na zysk bez oglądania się na dobro zwierząt, obciąża ludzkie sumienia. W końcu chciwość to jeden z wskazywanych przez Kościół grzechów głównych.

Wielka luka

Katechizm Kościoła Katolickiego na temat stosunku ludzi do zwierząt daje wskazania ogólnikowe i pozostawiające sporo „ale”. „Bóg powierzył zwierzęta pa-

nowaniu człowieka, którego stworzył na swój obraz. Jest więc uprawnione wykorzystywanie zwierząt jako pokarmu i do wytwarzania odzieży. Można je oswojać, by towarzyszyły człowiekowi w jego pracach i rozrywkach. Doświadczenia medyczne i naukowe na zwierzętach są praktykami moralnie dopuszczalnymi, byle tylko mieściły się w rozsądnych granicach i przyczyniały się do leczenia i ratowania życia ludzkiego. Sprzeczne z godnością ludzką jest niepotrzebne zadawanie cierpienia zwierzętom lub ich zabijanie. Równie niegodziwe jest wydawanie na nie pieniędzy, które mogłyby w pierwszej kolejności ulżyć ludzkiej biedzie. Można kochać zwierzęta; nie powinny one jednak być przedmiotem uczuć należnych jedynie osobom” (punkty 2417–2418).

A jak wygląda kościelna praktyka?

Konferencje na temat etyki chrześcijańskiej wobec zwierząt, na których chwaleni są myśliwi, a wśród honorowych gości znajdują się hodowcy zwierząt futerkowych (jak debata w Muzeum Jana Pawła II w Częstochowie w sierpniu 2020 r. i sympozjum „Oblicza ekologiczne i Medialne w Toruniu w styczniu 2020 r.), to na szczęście kuriozalny margines.

W większości parafii temat zwierząt i moralnych obowiązków chrześcijan wobec innych stworzeń jest po prostu nieobecny.

– Właściwie nie przypominam sobie żadnego kazania, które odnosiłoby się do tego tematu – mówi Anna Kędziorek. – Raz tylko były proboszcz naszej parafii usłyszał w radiu jakiś materiał o ślimakach i nawiązał do niego w niedzielę. Rzucił uwagę, że ludzie zamiast zajmować się innymi ludźmi, samotnymi i starszymi, poświęcają swój czas ślimakom. I że tak nie powinno być. Trudno było zrozumieć, o co mu konkretnie chodzi.

Grupa „Chrześcijanie dla zwierząt” powstała, żeby wypełnić tę lukę. Kilka lat temu założył ją Antoni Kardas, wówczas student teologii. Z czasem liderką została Barbara Niedźwiedzka, informatolog w obszarze medycyny, która po przejściu na emeryturę poświęciła się zgłębianiu tematu relacji chrześcijaństwa wobec zwierząt.

Marta Saratowicz mówi, że w grupie odnalazła zrozumienie: – Wychowałam się w rodzinie katolickiej, która kocha zwierzęta. Relacje z innymi stworzeniami zawsze były dla mnie ważne. Odkąd sięgam pamięcią, brakowało mi tego tematu w kościele. Gdy próbowałam dopytywać księży, zwykle byłam zbywana. Właściwie trochę też przez to oddalałam się od Kościoła. Dla mnie nie było w tym logiki, że Boga, który jest miłością, pokazuje się jako obojętnego na cierpienie stworzonych przez niego istot. Szukałam odpowiedzi na te moje wątpliwości w różnych lekturach i tak trafiłam na „Chrześcijan dla zwierząt”. Znalazłam ludzi, którzy myślą podobnie jak ja. Bo przez większość życia czułam się trochę jak UFO wśród moich współwyznawców.

Grupa nie tylko przygląda się nauczaniu Kościoła wobec pozaludzkich stworzeń, ale też podejmuje konkretne działania, takie jak udział w marszu lub zachęcanie proboszczów, by zwrócili uwagę na sytuację psów trzymanyh na łańcuchach.

– Jest taka inicjatywa międzynarodowa, Platforma Działania Laudato Si', na której różne organizacje, wspólnoty, rodziny i osoby prywatne mogą zgłaszać zobowiązania, jak będą realizować w swoim środowisku przesłanie encykliki – opowiada Saratowicz. – Te zobowiązania grupowane są wokół różnych

→ celów: odpowiedź na wołanie Ziemi, odpowiedź na wołanie ubogich, ekonomia ekologiczna, edukacja ekologiczna itd. Razem z Basią zauważyliśmy, że w zasadzie w ogóle nie jest tam podejmowany problem stosunku do żywych stworzeń i podjęliśmy działania, by przekonać organizatorów tej platformy do wyodrębnienia osobnego celu: odpowiedź na wołanie zwierząt. Nawiazałyśmy też kontakty z teologami z różnych krajów zajmującymi się tym zagadnieniem – razem z nimi próbujemy stworzyć podbudowę teoretyczną do takiego celu i opracować materiały pomagające organizować działania w obronie zwierząt. Mamy za sobą pierwszy sukces, bo organizatorzy platformy zaprosili nas na spotkanie, żeby omówić problem.

Czworonogi proboszcza

– Wcześniej nigdy nie miałem zwierząt domowych – mówi ks. Dariusz Jaślarz. – Moja mama była pedantką, więc o psie w rodzinnym domu w ogóle nie mogło być mowy. Nie wyobrażałem też sobie, że mógłbym kiedykolwiek grzebać w ziemi. Przez lata prowadziłem duszpasterstwo lekarzy w Kołobrzegu i na pożegnanie, gdy wyjeżdżałem na probostwo do Manowa, dostałem od nich książkę „Maja w ogrodzie”. Do dziś wspominają, jak się skrzywiłem na jej widok. Pomyślałem, że jedyne, na co się przyda, to będzie ładnie wyglądała na półce.

Dziś ks. Dariusz jest opiekunem suczki Tosi i psa Kubusia. Niedawno na plebanie wprowadziła się czarno-biała kotka.

– Odkąd przypałały się do mnie psy, zacząłem dużo więcej myśleć o żyjących wśród nas zwierzętach – mówi.

Wciągnął się też w ogrodnictwo. Dbą, żeby wśród posadzonych roślin znalazły się takie, które stanowią dobre kryjówki dla zapylaczy. Na pobliskich drzewach powiesił budki legowe dla ptaków, a pomiędzy grządkami zbudował domki dla jeży.

– Bliska jest mi duchowość franciszkańska – tłumaczy. – Wbrew temu, co się sądzi, myśl ekologiczna nie jest wymysłem nowoczesności, ale w zakonach praktykowana jest od wieków. Kiedy zostałem proboszczem na wsi, dostrzegłem możliwość gromadzenia wokół siebie ludzi i zwierząt, pokazywania obecnej w Kościele troski o stworzenie.

Od kilku lat w niedzielę po wspomnieniu św. Franciszka zaprasza parafian wraz z ich pupilami na nabożeństwo pod

kościółem. Nie tylko błogosławi zwierzęta, ale w ramach kazania przybliża idee encykliki „Laudato si”.

– Tak, człowiek jest koroną stworzenia, ale zanim Pan Bóg stworzył człowieka, powołał do istnienia cały bogaty świat przyrody. Nie możemy być na to obojętni – mówi.

Gorsze czy po prostu inne?

Św. Tomasz z Akwinu i jego hierarchia bytów zaczerpnięta z filozofii Arystotelesa wciąż silnym piętnem odbijają się w kościelnej narracji o zwierzętach. Zadawanie się ze stworzeniami z niższych szczebli drabiny wydaje się ryzykowne i podejrzane.

Podczas jednej z audycji generalnych papież Franciszek krytycznie odniósł się do ludzi, którzy zamiast zakładać rodziny, podejmują się opieki nad zwierzętami.

– A dla mnie Funio, nasz kot, jest trochę jak adoptowane dziecko innego gatunku – mówi Aleksander Kędziorek. – Gdyby spotkało go coś złego, to, mówiąc delikatnie, byłibyśmy w bardzo złej kondycji psychicznej. Kiedy modłę się za moich bliskich, to wspominam oczywiście moją żonę, rodziców i przyjaciół, ale też obejmuje modlitwą Funia.

– Kiedy jeszcze w domu rodzinnym odszedł nasz 17-letni kot, bardzo to przeżyłam – dodaje Anna. – Przecież właściwie większość życia spędziłam z Mikusiem. Niedługo później poszłam do kościoła i zapaliłam w jego intencji świeczkę.

– Czasem słyszy się zarzut, że troska o zwierzęta zastępuje troskę o innych ludzi – zauważa Aleksander. – Nie zgodzę się z tym. Z zawodu jestem psychologiem, pracuję w warsztatach terapii zajęciowej dla osób z niepełnosprawnością intelektualną, prowadzę psychoterapię. Kiedy tylko mam możliwość, przekazuję datki pieniężne na Caritas, na budowę studni w Afryce lub na leczenie chorych dzieci. Staram się pomagać i ludziom, i zwierzętom.

Barbara Niedźwiedzka przyznaje, że drażni ją antropomorfizowanie świata przyrody.

– Nie traktuję zwierząt jak ludzi. Ale też nie czuję się od nich lepsza. Mało tego: zakładałam, że nie znam ich duchowości. To może być zupełnie nieprzystawalne do naszych kategorii, ale ja bym nie wykluczała, że one mają jakieś życie wewnętrzne i tajemniczą komunikację z Panem Bogiem.

Tomasz Jaeschke, dawniej duchowny katolicki, dziś prowadzi duszpasterstwo ludzi i zwierząt poza strukturami instytucjonalnego Kościoła.

– Towarzyszę ich wspólnym relacjom – opowiada. – W tym widzę moją misję. Jestem z tymi, którzy stracili ukochanego czworonożnego przyjaciela i zamiast słów pociechy usłyszeli: „Nie płacz po kocie, do cholery”. Jak mają nie płakać, skoro z ich życia zostało wyrwane coś, co wzbogacało ich na co dzień? Błogosławię zwierzęta, dokładnie tak samo jak błogosławiłem i nadal błogosławię ludzi: chorych, smutnych, umierających. Z tą samą troską i tą samą modlitwą do Boga, by spojrział na nie i ulżył w cierpieniu, obdarzył radością z życia. Tak, jestem przekonany, że każde z nich ma duszę.

Rozejm z myszami

Tomasz Jaeschke wspomina czuwanie pod rzeźnią w Monachium i moment, kiedy na chwilę jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem świni wiezionych nocnym transportem. To, jak zobaczył w nim czysty strach. „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” – pomyślał wtedy.

– Mam czasem wręcz duchowe doświadczenia, kiedy patrzę w oczy zwierząt – mówi Anna. – Coś za nimi jest: uczucia, głębia, Boże tchnienie.

W tradycji chrześcijańskiej zapisało się wiele opowieści o świętych i ich pełnych pokoju relacjach z dzikimi zwierzętami. Św. Hieronim, który wyciągnął kolec z łapy lwa. Św. Franciszek mediujący między wilkiem a mieszkańcami Gubbio. Św. Róża żyjąca w zgodzie z komarami. Są jak tęsknota za nowym światem, który przekracza granice międzygatunkowej rywalizacji.

Barbara Niedźwiedzka też ma swoją opowieść. Przez pół roku mieszka na wsi. Zimą do jej domu zawsze wprowadzały się myszy.

– Wszystko było zjedzone, nawet pościel. Z początku, z bólem serca, zostawiałam im trutki. Ale potem – to będzie brzmiało bardzo irracjonalnie – po prostu powiedziałam im: musimy się dogadać, zrezygnuję z trutki, a wy dacie mi spokój. Od tego czasu pojawiają się w domu pojedyncze myszki, ale nie ma już tak strasznych zniszczeń. Cokolwiek się wydarzyło, udało nam się jakoś pogodzić.

© DOROTA BIDZIŃSKA

WOJCIECH

Bonowicz: Znikająca pięta



DRZEWA UGINAJĄ SIĘ OD OWOCÓW, polany zapełniają grzybami, a rzeki znów nabierają wody. Przynajmniej tu, bo nie wiem, jak gdzie indziej. Jakby natura chciała nam wynagrodzić chaotyczną politykę gospodarczą, zabezpieczyć na długą, trudną zimę lub po prostu przypomnieć, ile jej zawdzięczamy. Niewykluczone, że chodzi też o dalekie, lecz przecież wcale niedalekie odgłosy wojny; tam, gdzie człowiek zabija, odpowiedzialność za przekazywanie życia przejmują ziemia, woda, rośliny.

Ulewa spływa po szybach i sprawia, że autostrada staje się niemal niewidoczna. Ściskając mocno kierownicę, odliczamy, ile jeszcze zostało do celu. Dopóki nie pojawią się przed nami małe czerwone światełka, nie wiadomo nawet, którym pasem jedziemy. Mimo to z deszczu raz po raz wyskakują rozpędzone auta i próbują agresywnymi błyskami torować sobie drogę. Co kilkadziesiąt kilometrów natykam się na wypadek; jeden musi być poważny, bo po obu stronach barierki stoją aż trzy ambulanse. Ulewa jest tak gęsta, że nie widać, kto go spowodował i co właściwie się stało. Przejedźdżamy obok przez smugi kolorowych świateł i znikamy w ciemności.

Rano chmury odpoczywają. Można wyjść na spacer, poszukać saloniku prasowego i nagłym wejściem przestraszyć młodą panią, która za ladą rozleje właśnie zaparzoną kawę. Salonik jest obszerne, ciągnie się też w głąb, długie regały wypełniają głównie krzyżówki i rozmaite „Poradniki Domowe”.

„To przez to zimno”, mówi sprzedawczyni, „ręce takie zgrzbiałe”. Pomagam ścierać to, co rozlane, a potem podaję „Tygodnik” i proszę jeszcze o dwie paczki chusteczek. Przez chwilę zatrzymuje wzrok na twarzy arcybiskupa, ale jej spojrzenie jest nieprzeniknione, trudno coś z niego wyczytać. „Rzeczywiście, chłodno tu”, mówię, żeby coś powiedzieć. „Przepraszam, że panią przestraszyłem”. Robi nieznaczny ruch głową, który ma zapewne wyrażać zakłopotanie, i uśmiecha się, kiedy życzy jej dobrego dnia.

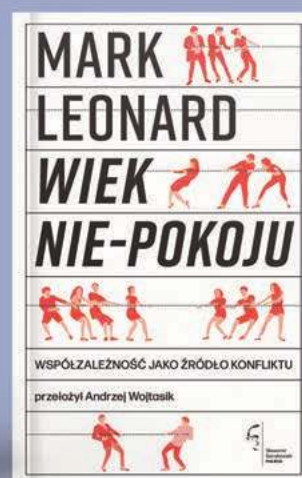
Niebo jest jednolite, a na deptaku, który prowadzi do rynku, jest raczej pustawo. Dwoje świadków Jehowy, mężczyzna i kobieta, rozłożyło już swoje broszury, ale nikt się przy nich nie zatrzymuje, a i oni niespecjalnie kogoś zaczepiają. Na rynku szumi fontanna, woda wytryskuje spod ciężkich granitowych płyt i obmywa szklane tafle. Młoda mama pcha przed sobą wózek i jednocześnie ciągnie za rękę zaspianą dziewczynkę. Dziewczynka przytula twarz do maskotki i pozwala się prowadzić, obserwując świat jednym otwartym okiem. Mężczyzna w brudnym kaszkiecie wychodzi ze sklepu, trzymając przed sobą małą buteleczkę wódki, ale na widok dziecka szybko chowa ją do kieszeni.

Chmury odpoczywają, bo nocą zostawiły na ziemi dość wilgoci. Ta wilgoć wnika teraz pod ubrania i sprawia, że marzniemy, choć tak naprawdę temperatura nie jest niska. Na ulicznym stoisku z warzywami stoją dynie, których w okolicy uprawia się sporo. Tu sprzedawczyni chowa się w namiocie, dłonie ma osłonięte rękawiczkami bez palców, a na sweterek narzuciła kamizelkę. Wszystko razem jest jakieś smutne, mimo intensywnych kolorów. Może dlatego, że kupujących jest mało, a towaru dużo. Może też brakuje tu jakiegoś innego elementu, o którym nie wiem.

Ostatnio rzadko mam okazję spacerować. A kiedy się nie spaceruje, przestaje się zauważać to, co dyskretne, a co decyduje nieraz o sensie całości. Nie zauważa się na przykład tej oddalającej się pięty dobra, o której mówi Hrabal w sławnej rozmowie z Szigetím – znaku, że dobro znów zrobiło krok naprzód, choć nam wydaje się, że to zło przeważa. ©

ZAPOWIEDŹ

REKLAMA



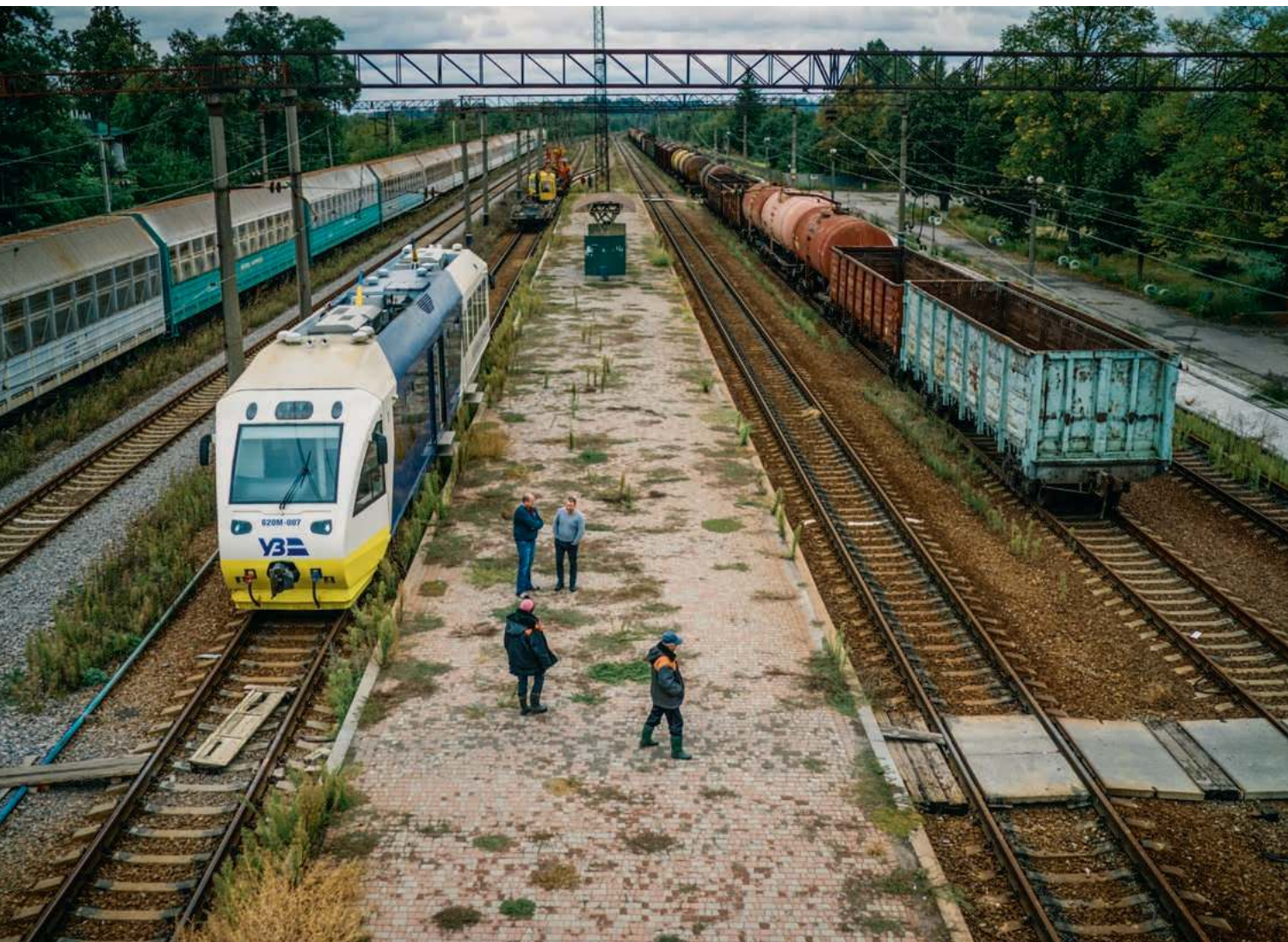
KRYTYCZNYM OKIEM

WWW.WYDAWNICTWO.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL

PIERWSZY POCIĄG DO BAŁAKLIJI

Podczas wojny ukraińska kolej stała się
jednym z filarów, na których oparło się państwo.
Ewakuuje cywilów, przewozi broń i przynosi nadzieję.

TEKST I ZDJĘCIA: **PAWEŁ PIENIAŻEK** Z OBWODU CHARKOWSKIEGO (UKRAINA)



Z NAPISU NA DWORCU ZOSTAŁY TYLKO dwie litery: „BA”. Obok straszy dziura, zapewne wybita przez falę uderzeniową. Na peronach pusto. Stoją wagony, zapewne tkwiące tu od dawna. Przy najmniej od pół roku, gdy w pierwszych dniach inwazji na Ukrainę rosyjskie wojska wkroczyły do Bałakliji. W tym mieście w obwodzie charkowskim do 24 lutego mieszkało niemal 27 tys. ludzi – obecnie została z nich tylko nieznaczną część.

– Nie wiem, ile osób zostało w mieście, ale w tej okolicy bardzo mało. W moim domu są czterdzieści dwa mieszkania, a została nas pięć-siedem osób, w tym jedna para. Jesteśmy jak mamuty, które nie wymarły – śmieje się 69-letni Mykoła. Emerytowany oficer, przez lata dorabiał do skromnej emerytury remontując telewizory.

Od miesiący w Bałakliji nie było prądu, wody, a w większości miasta także gazu. Mieszkańcy byli zupełnie odcięci od informacji. W trakcie okupacji Mykoła czuł się, jakby mieszkał w głuszy, w której jedyną sprawą był chaos. – Wciąż do mnie nie dociera, kto tu był i co robił – wspomina. – Czułem się jak w pokoju przejściowym. Kto chciał, wchodził, kto chciał, wychodził. A jak się dało, to też przez okno wlaź.

Ukrzaliznycia

Tego dnia Mykoła siedział akurat do domu przez teren dworca, gdy natknął się na niecodzienny widok. Nowy pociąg, jednowagonowy tylko, z ukraińskimi flagami i w barwach niebiesko-żółtych. Wcześniej kursujący między stołecznym Kijowem a lotniskiem Boryspol. Jako że ruch samolotowy ustał, przedstawiciele Ukrzaliznyci – kolei państwowych – postanowili wysłać go na bardziej wymagające trasy.

To był pierwszy pociąg pasażerski, który przyjechał do Bałakliji. Na pokładzie jechało nim kierownictwo Ukrzaliznyci. Przez trzy dni podejmowało wysiłki, by dostać się do miasta. Po sprawdzeniu trasy uruchomili regularne rejsy. Kolejnego dnia pociągi zaczęły już kursować dwa razy dziennie na relacji Charków–Bałaklija.

Mimo poniszczonej infrastruktury, ten pierwszy skład dotarł do miasta już

tydzień po odzyskaniu go przez ukraińską armię. Szybciej, niż udało się przywrócić wodę bieżącą czy łączność w mieście, a nawet zanim udało się ustalić, kto rządzi miastem. Bo mer, choć zarzącał się, że tego nie robi, poszedł na współpracę z Rosjanami, a prokuratura wszczęła przeciwko niemu sprawę o zdradę państwową.

W ten sposób Ukrzaliznycia stała się drugą – po policji – instytucją, która pojawiła się w Bałakliji. – Ważne, by powrót Ukrainy na te terytoria nie był tylko formalnością, wetknięciem flagi i tyle. Chcemy zadbać o ludzi, pokazać, że przejmujemy się ich losem, i dać im dobre połączenia – mówi Ołeksandr Percowski, kierownik ds. przewozów pasażerskich.

Trzy próby

Zerwane trakcje, zniszczony most, podziurawione tory, wszechobecne miny – to główne problemy, które stały na przeszkodzie, by wznowić ruch kolejowy między Charkowem a odzyskanymi terytoriami w tym obwodzie.

Gdy pierwszego dnia mały pociąg (polskiej produkcji: Pesa 620M) wyruszył do Bałakliji, zatrzymał się daleko od celu. Na trasie wciąż pracowali saperzy. Musieli rozminować nie tylko tory, ale także obszar szerokości do metra od torów, aby nie było wątpliwości, że droga jest bezpieczna.

Za saperami szła brygada remontowa, która od razu łątała usterki. Wyciągali uszkodzone części torów i wymieniali na nowe. W większości to prowizorka, by naprawy przebiegały bez zwłoki, a mieszkańcy mogli jak najszybciej ujrzeć pociągi na stacjach swoich miejscowości.

Drugiego dnia znowu trafili na saperów. Ołeksandr Kamyszyn, szef Ukrzaliznyci, nadzorował cały ten proces na miejscu. Słyszał kolejne wybuchy neutralizowanych ładunków. W ciągu godziny trzy lub cztery. Ostatni okazał się fatalny: zginęło dwóch saperów.

Kamyszyn twierdzi, że na tej trasie miny były bardzo podłe. Jedne reagowały na nacisk, drugie na wibracje, a inne wybuchły, gdy ktoś wszedł w naciągniętą linkę. Na drodze do Bałakliji bywało, że naciąg znajdował się na jednym torze, a mina na drugim.

Po drodze natrafiali na przeróżne znaleziska. Jak choćby porzuconą rosyjską pozycję tuż przy torach. Były tam blindaje, gdzie spali rosyjscy żołnierze, rozrzucone jedzenie. Znajdowała się tam także pozycja strzelnicza, przy której leżały roz-

rzuczone klocki Lego. Co tam robiły? Zapewne nigdy się tego nie dowiemy, bo Rosjanie zniknęli stąd na początku września, gdy ukraińska armia przełamała ich obronę i w ciągu kilku dni zajęła większość obwodu charkowskiego, zmuszając żołnierzy wroga do pośpiesznej ucieczki.

Dlatego pociąg przyjechał do miasta bez wcześniejszej zapowiedzi.

– Nie lubimy ogłaszać rzeczy, których jeszcze nie zrobiliśmy – mówi Kamyszyn.

Dopiero po tym, jak sami przyjechali na miejsce i przekonali się, że droga jest możliwa do pokonania, oficjalnie wprowadzili pociąg do rozkładów.

Pociągi na ratunek

Ukrzaliznycia od pierwszych godzin rosyjskiej inwazji stała się kluczowa pod wieloma względami. Gdy miasta i wsie w całej Ukrainie były ostrzeliwane, a wielu ludzi w ostatniej chwili decydowało się na ucieczkę, mogli liczyć na bezpłatne pociągi ewakuacyjne.

Tak było przykładowo 24 lutego w Charkowie. Gdy Rosjanie znajdowali się już na rogatkach miasta, a jego losy ważyły się z każdą minutą, na dworcu spodziewano się pociągu pośpiesznego do Kijowa. Oczekujący na niego ludzie przyglądali się z niepokojem czołgom jadącym przez wiadukt, jeszcze nie do końca rozumiejąc, że ich kraj stanął w obliczu śmiertelnego zagrożenia.

Pociąg spóźnił się kilka godzin, ale w końcu przyjechał na stację Charków Pasażerski, gotowy zabrać wszystkich z dala od niebezpieczeństwa. Pracownicy kolei ustawiły oczekujących w kolejkach do każdego wejścia tak, by nikt się nie pchał ani by ludzie nie tłoczyli się niepotrzebnie w kilku wagonach. Pasażerowie spokojnie zajęli wolne miejsca. Tego dnia większość uciekających z miasta wybrała samochody, więc ewakuacja pociągami przebiegała – jeśli można to tak określić – w luksusowych warunkach.

W kolejnych miesiącach w taki sposób wywożono ludzi z miejsc, gdzie zawitała wojna – jak Bucza, Irpień, Charków, Sievierodonieck, Łysyczańsk, Łyman, Kratatorsk czy Słowiańsk. Ratując ludzi z opresji tak długo, jak tylko było to możliwe.

Często pracownicy Ukrzaliznyci ryzykowali życiem, by ratować tych, którzy znaleźli się w potrzebie. Infrastruktura i składki często były ostrzeliwane, przynosząc krwawe żniwa. Najtragiczniejszy →

Pierwszy od pół roku ukraiński pociąg przybył do miasta Bałaklija, 14 września 2022 r.



Walerij i Hałyna przyjechali na dworzec, aby porozmawiać z córką.
W mieście zasięg jest tylko na moście biegnącym nad torami.



Pracownicy Ukrzaliznyci – pierwszy od lewej Ołeksandr Kamyszyn,
drugi Ołeksandr Percowski – oglądają most na drodze do Bałakliji.

→ był kwietniowy ostrzał dworca w Kramatorsku: na ludzi czekających na pociąg ewakuacyjny spadły dwie rakiety, zabijając 60 osób, w tym 7 dzieci, a ponad 110 raniąc.

Wszystko, co najlepsze

Łącznie od 24 lutego zginęło 238 pracowników Ukrzaliznyci, choć przeważnie pełniąc służbę wojskową. Wprawdzie większość zatrudnionych w kolejach państwowych nie podpada pod mobilizację ze względu na strategiczne znaczenie tej instytucji, ale aż 8 tys. pracowników Ukrzaliznyci dołączyło do armii.

Każde zniszczenie infrastruktury było natychmiast remontowane i rzadko kiedy zdarzało się, by połączenie zostało przerwane na dłużej niż kilka godzin. Kamyszyn twierdzi, że od 24 lutego Ukrzaliznyca odbudowała tymczasowo ponad 30 mostów i więcej niż tysiąc segmentów torów.

– Nie jesteśmy idealną organizacją, ale w czasie wojny udało nam się zmobilizo-

wać wszystko, co w nas najlepsze. To znaczy dyscyplinę, sprawne zarządzanie, ludzi, którzy są na swoim miejscu i nie traktują tego jako pracy, lecz jest to dla nich całe życie – mówi Percowski.

W rezultacie to pociągami miliony ludzi mogły wyjechać w głąb kraju lub za granicę, przede wszystkim do Polski.

Pociągi pasażerskie puszczano też w objazdy po starych, dawno nieużywanych torach. Wlekły się, rzeziły, ale docierały do celu, choć często z wielogodzinnymi opóźnieniami. Na dworcach ludzie musieli koczować czasami przez długie godziny. Dlatego starano się zapewnić im minimum komfortu – wodę, światło, ogrzewanie i dostęp do internetu. Niemal wszędzie znajdowały się stoiska wolontariuszy i organizacji pomocowych, które oferowały ciepły posiłek lub informację.

Ukrzaliznyca zajmowała się nie tylko ratowaniem cywilów. Przewoziła także pomoc humanitarną dla terytoriów bliżej frontu, a przede wszystkim – choć nikt

z przedstawicieli tej firmy ani ukraińskich władz nie komentuje tego – ładunki wojskowe. Zazwyczaj okrywane płaszczem nocy, eszelony czołgów, artylerii, wozów bojowych piechoty zmierzały ku wschodnim i południowym rubieżom. Były one kluczowe dla sprawnego przemieszczenia broni przez rozległy kraj.

Kolej była także strategicznym celem Rosjan. Dlatego utrata przez nich większości obwodu charkowskiego jest teraz bolesnym ciosem. – Przez te terytoria Rosjanie wieźli nie tylko wsparcie na Ługańszczyznę, ale także przez obwód donecki i zaporoski do obwodu chersońskiego. Teraz ten łańcuch dostaw został przerwany – wyjaśnia Kamyszyn.

Bili i bili

Rowerami na dworzec w Bałakliji podjeżdża para. To 70-letni Walerij wraz z żoną Hałyną. Są zdziwieni, że pociąg dotarł do ich miasta. Percowski wyjaśnia im, że wyremontowali most. Para pełna jest emocji. Szczerze cieszą się na widok lu-

TYGODNIK
POWSZECHNY

Nasz korespondent wojenny nominowany!

PAWEŁ PIENIAŻEK został nominowany do **Międzynarodowej Nagrody im. Witolda Pileckiego** za książkę „Greetings From Novorossiya: Eyewitness to the War in Ukraine”, wyd. University of Pittsburgh Press. Nasz reporter został nominowany do nagrody specjalnej, która w tej edycji przyznawana jest za książkę na temat trwającej od 2014 roku agresji Rosji na Ukrainę lub trwających od 2020 roku protestów na Białorusi i związanych z nimi represji.

Pawłowi oraz wszystkim nominowanym gratulujemy!



dzi z Ukrzaliznyci. Małżeństwo wyrzuca z siebie kolejne zdania, przekrzykując się wzajemnie, jakby się bali, że nie zdążą wszystkiego powiedzieć.

– Ukraina wróciła! – krzyczy Walerij.

– Tamci to swołocz była – dodaje Hałyna.

– Tu się straszne rzeczy działy. Zginął mój krewny. Potem jeszcze przyjaciółka.

– Jak już Ukraińcy przyszli, walnęło po miejscowości. I w nią trafiło.

– Krewny wyszedł z klatki schodowej i to był jego koniec.

Przyjechali na dworzec, by porozmawiać przez telefon z córką. W tej okolicy tylko na moście ciągnącym się nad torami łapie zasięg. Wcześniej, by zadzwonić, przychodzili tu także Rosjanie.

Córka Walerija i Hałyny jest w Poławie, dokąd uciekła przed wojną. Jest z nią wnuczka, która uczy się w akademii Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Hałyna usunęła z telefonu wszystkie jej zdjęcia w mundurze, by nie zobaczyli ich Rosjanie. Bała się, że zrobią im krzywdę.

– Niedaleko od naszego domu postawili pięć haubic samobieżnych. Walili po naszych chłopakach przez sześć miesięcy. Nocą i dniem. Biegliśmy zrobić jedzenie na ogniu, a po ugotowaniu szybko się się chowaliśmy – wspomina Walerij.

Dodaje, że szczególnie początkowo Rosjanie byli wobec nich agresywnie nastawieni. Mówili Walerijowi i Hałynie, że Ukrainy zaraz nie będzie. Oni nie mieli dostępu do informacji, więc nie wiedzieli, czy to prawda. Nic nie odpowiadali żołnierzom.

– Widziałem na własne oczy, jak skrupowali jakąś kobietę taśmą klejącą, założyli worek na głowę i gdzieś zabrali – mówi Walerij.

– Podobno miała kogoś z rodziny w wojsku – dodaje Hałyna.

Uciążliwy posterunek

Gdy w Bałakliji sytuacja nie była aż tak napięta, Walerij wdawał się w rozmówki ze stacjonującymi w mieście Rosjanami, a także z walczącymi po ich stronie obywatelami ukraińskimi z nieuznawanych republik w obwodzie donieckim i ługańskim.

– Ci normalni przyznawali, że mają dość tej wojny – twierdzi Walerij.

Bojownik z Ługańska, który szukał samogonu, miał mu się skarżyć, że od siedmiu miesięcy nie widział rodziny.

Walerij powiedział tylko: „Rzuć ten kabin i biegnij do nich. Po co tu łazisz?”. Tamten nic nie odpowiedział.

Mieszkańcy nauczyli się też ignorować wojska okupacyjne. Na drodze prowadzącej do domu Walerija i Hałyny ustawili posterunek. Stojący tam żołnierze zadawali strasznie dużo pytań. Mieszkańcy mieli dosyć tego wypytywania i odpowiadania zawsze tak samo. Dlatego ułożyli deski przez tory i zrobili przeprawę dla rowerów, które w czasach niedoborów stały się najszybszym środkiem transportu.

To właśnie dlatego co jakiś czas ktoś pojawia się teraz na dworcu, choć posterunku już nie ma. Jedną z takich osób jest 71-letni Wołodimir, który ciągnie rower po ułożonych deskach.

– Jeździł pan wcześniej pociągiem? – zagaduje go Percowski.

– Tak, do Charkowa. Tam na rynek Barabaszowa chodziłem. A dokąd teraz będzie jeździć?

– Do Charkowa właśnie i po drodze jeszcze przez inne miejscowości – wyjaśnia Percowski i znowu podpytuje: – Miałoby żyć?

– Troszkę.

– Jest coś do jedzenia?

– Teraz jest trochę chleba, a wcześniej niczego nie było. Przez ostatnie dwa mie-

siące było tak, że co złapałem na wędkę albo znalazłem, to zjadłem i dzieliłem się jeszcze z kotem. Jakoś żyliśmy.

Pociąg pełen życia

Oleksandr Percowski wyjaśnia, że zależy im na tym, by pokazać, że wraz z powrotem Ukrainy wszystko wraca na swoje miejsce. – Co im przyniósł okupant? A jak wróciła Ukraina, od razu dano im możliwość, by pojechać do Charkowa – twierdzi. Tam mają dostęp do służby zdrowia, mogą zrobić zakupy, skorzystać z banku czy bankomatu, a także odwiedzić bliskich, których często nie widzieli długimi miesiącami.

Od 24 lutego Percowski obserwował ludzi targanych przeróżnymi emocjami. Najpierw widział tych, którzy uciekali przed wojną, z nagłą porzucając domy i często szukając schronienia za granicą. Widać było ich strach i niepewność jutra. Gdy sytuacja uspokoiła się w centralnej Ukrainie, pasażerowi jechali z powrotem do siebie. Wówczas dominowała nadzieja i radość. Teraz, w przypadku obwodu charkowskiego, pociąg przyjeżdża do ludzi, którzy zostali w domach, i daje im nadzieję, że wraca do nich spokojne życie.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Czytelnicy dla ukraińskich obrońców

„SĄ PILNE POTRZEBY.

Nadeszła jesień, chłody.

Mamy prośby z frontu.

Pomożecie? Będziemy wdzięczni za cokolwiek”

– pisze do nas Ihor, znajomy ukraiński wolontariusz. Między rodzinnym Lwowem a frontem Ihor krąży nieustająco. Ostatnio dla żołnierzy, którzy są na frontach pod Iziumem i Chersoniem, zawoził specjalistyczne apteczki

taktyczne: podarowane przez uniwersytet w Akwizgranie, z naszą pomocą trafiły najpierw na Ukrainę zachodnią, a potem dalej, dzięki takim ludziom jak Ihor.

Wiemy, że ratowały życie konkretnym ludziom.

Chcemy odpowiedzieć na prośbę Ihora – i na podobne prośby, jakie docierają do nas także od innych wolontariuszy, którzy pomagają ukraińskim obrońcom.

Drogie Czytelniczki, Drodzy Czytelnicy: prosimy Was o takie konkretne rzeczy:

- termobielizna (rozmiary duże i średnie)
- ciepłe śpiwory
- materace / karimaty
- polary (ciemne kolory)

- ciepłe skarpety
- czapki ciepłe (ciemne kolory)
- buty wodoodporne (typu wojskowego lub turystycznego)
- kurtki, w tym ciepłe (typu wojskowego; można je dostać czasem w sklepach z demobilem).

Dary można przynosić do redakcji lub przysyłać do nas pocztą (można też, gdyby ktoś chciał, dołączyć np. pocztówkę czy rysunek – to także może pomóc, podnieść na duchu).

REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”



SHAKH AIVAZOV / AP / EAST NEWS

Samochodami, pieszo i na rowerach: Rosjanie przekraczają granicę z Gruzją w miejscowości Wierchnij Łars, 28 września 2022 r.

Last minute do Tbilisi

JAKUB MEJER Z TBILISI I BATUMI

Rosjanie uciekający do Gruzji przed mobilizacją dołączają do licznych rodaków, którzy zjeżdżali tu od kilku miesięcy. Nie wszystkim Gruzinom się to podoba.

PO TYM, JAK KREML OGŁOSIŁ POWSZECHNY pobór, media społecznościowe obieły zdjęcia długiej kolejki aut przed jedynym przejściem granicznym, które łączy Rosję z Gruzją – w miejscowościach Stepancminda i Wierchnij Łars.

Wprawdzie kolejki na Gruzjińskiej Drodze Wojskowej – jednej z niewielu tras łączących północny i południowy Kaukaz, zbudowanej jeszcze za caratu – nie są czymś nowym. Co roku przekonują się o tym turyści, gdy – podróżując ku zboczom Kazbeku – zmuszeni są wyprzedzać „na trzeciego” tiry, blokujące pobocza tej górskiej drogi na długo przed granicą. Już pod koniec sierpnia kolejka po rosyjskiej stronie sięgała 600 ciężarówek.

Jednak w środę 21 września, po ogłoszeniu mobilizacji, z godziny na godzinę coraz więcej wskazywało, że dzieje się coś niezwykłego. Na kanałach w Telegramie, popularnym w Rosji i Gruzji komunikatorze internetowym, szybko pojawiły się wieści, że kolejka po rosyjskiej stronie liczy już przeszło 1,7 tys. aut, gdy przez granicę przepuszczanych jest tylko kilkanaście na godzinę.

A Stalina puszczą?

Jeden z kanałów, liczący ponad 140 tys. członków, szybko zapełnił się ofertami odsprzedaży miejsca w kolejce (15-20 tys. rubli za osobę, czyli 1300-1700 zł) i porad. Pisano, że Gruzini nie puszczają mieszkańców kaukaskich obwodów (w Tbilisi w tej sprawie protestują Kiści, lokalna społeczność czeczeńska) i tych, którzy mają na autach „Z” – w Rosji litera ta jest symbolem akceptacji dla wojny. „Czy Stalina też muszę zdrapać z okna, przecież był Gruzinem?” – pytał na Telegramie Rosjanin, który „Z” z auta już usunął.

W sobotę 24 września władze Północnej Osetii podają, że kolejka liczy 2,3 tys. aut. Gdy tego dnia jadę Gruzjińską Drogą Wojskową, sznur tirów na poboczu w stronę Rosji zaczyna się 120 km przed granicą. W poniedziałek 26 września strona gruzińska informuje, że zwiększono obsadę przejścia granicznego. Po rosyjskiej stronie Osetyjscy organizują doraźną pomoc, wolontariusze rozdają chleb, wodę, leki na przeziębienie. Pojawiają się wozy

pancerne FSB, a gruzińskie organizacje pozarządowe twierdzą, że funkcjonariusze zatrzymują ludzi objętych poborem. Przy przejściu powstaje punkt mobilizacyjny, który wręcza im wezwania na front.

27 września gruzińskie MSZ podaje: przez ostatnie dwa dni granicę przekraczało dziennie 11 tys. osób (wcześniej 5-7 tys.). Łącznie 21-26 września do Gruzji wjechało 53 tys. Rosjan.

Fali uciekinierów nie widać jeszcze w Tbilisi. Niemniej 23 września, na premierze nowego sezonu operowego, z trzech stron jestem otoczony Rosjanami (z czwartej są holenderscy turyści); dominują kobiety i dzieci. Oglądają sztukę o walecznych Gruzinach. To tu nikogo nie dziwi – Rosjanie są w Gruzji wszechobecni, i to od początku inwazji.

Siedząca obok młoda kobieta dzień później wraca do Rosji. Po przejściu granicy pisze na Instagramie: „Czas oczekiwania [na wjazd do Gruzji] liczony w dniach. Idą pieszo z bagażami, workami; mokrzy i zmarznięci; jadą na rowerach i hulajnogach”.

Kierunek Gruzja

Ten rosyjski strumień nie zaczął się jednak teraz. Kilkaset procent: o tyle po 24 lutego wzrosła liczba obywateli Rosji przybywających do Gruzji – jako wakacyjni turyści i nie tylko. Według gruzińskiego MSW od 15 lutego do 25 sierpnia wjechało ich 750 tys.; większość wyjechała – na dłużej miało zostać ok. 50 tysięcy.

– Rosjanie są teraz bardziej widoczni, bo zostają dłużej i częściej są w dużych miastach, a nie tylko w turystycznych miejscowościach – mówi dr David Sichinava z gruzińskiego oddziału think tanku Caucasus Research Resource Center.

Przybywali nie tylko turyści. Od 24 lutego do końca wakacji Rosjanie założyli w Gruzji 6,4 tys. firm – siedem razy więcej niż rok wcześniej. Co druga rosyjska firma działająca w Gruzji powstała od początku inwazji. Swoją filię otworzyła tu więc sieć salonów fryzjerskich Chop-Chop („pierwszorzędny moskiewski barber specjalizujący się w tradycyjnych fryzurach dla gentlemanów”). Otworzył się też bar Koshini, o którym mówi się, że jest związany z rosyjską opozycją. Johannes Wachs z Wiedeńskiego Uniwersytetu Ekonomii i Biznesu badał użytkowników serwisu GitHub, popularnego wśród informatyków, by ustalić, gdzie żyją korzystający z niego Rosjanie, którzy ostatnio opuścili kraj. Okazało się, że 8 proc. wybrało Gruzję (na drugim miejscu, po USA).

Jak wynikało z badania agencji After24, jeszcze sprzed mobilizacji, co czwarty przybywający do Gruzji Rosjanin myślał o tym, by zostać tu co najmniej rok, a może na stałe.

Aby omijać sankcje?

– Oczywiście, że mieszkam tutaj z powodu wojny, której jestem przeciwna. Ale denerwuje mnie, że niektórzy oczekują, że będę zaczynać każdą rozmowę od przeprosin – mówi Sasza, trenerka sportowa, którą poznaję na wycieczce wysokogórskiej.

– Do lipca ok. 20 tys. Rosjan dostało pozwolenie na stały pobyt, 3 tys. nabyło nieruchomość. Rząd utrzymuje politykę otwartych drzwi, nie uznaje tego za zagrożenie bezpieczeństwa – mówiła Irina Guruli, wicedyrektorka w gruzińskim think tanku Europejskie Centrum Badań Politycznych.

Oceniając tę sytuację, organizacja Transparency International – zajmująca się problemem korupcji w świecie – stwierdziła, iż „znaczący wzrost importu rosyjskich towarów, przelewów pieniężnych i zakładanie spółek przez obywateli rosyjskich zwiększa ryzyko, że Gruzja będzie wykorzystywana do omijania sankcji nałożonych na Rosję”.

W Batumi, kurorcie nad Morzem Czarnym, w połowie września na bulwarze rosyjski rap płynnie mieszał się z rocko-

wymi hitami z lat 80. Automaty do mierzenia wzrostu i wagi, ustawione na przemian z gruszkami bokserскими, zapraszały po rosyjsku z głośników do zabawy. W restauracji Marseille, gdzie wystrój pamięta co najmniej czasy Breżniewa, wodził zachęcał pijanych Rosjan do tańca, puszczając hity Iriny Allegrowej (z tytułem Ludowej Artystki Rosji 2010) i barda Aleksandra Rozenbauma.

Pośród pasywnej agresji

Gruzińskie miasta, a zwłaszcza Tbilisi, potrafią wywoływać dysonans. Posługujących się rosyjskim jest tyłu, że w restauracjach kelnerzy z przyzwyczajenia podają zagranicznym klientom menu pisane cyrylicą, nawet jeśli mają je po angielsku. W sklepach obsługa oferuje po rosyjsku *paket* (torbę na zakupy), nie gruzińskie *parki*. Jednocześnie w tym samym sklepie torba może być w barwach Ukrainy.

Rosjanie podróżują w morzu pasywnej agresji – wśród wszechobecnych napisów i graffiti, takich jak „Moskwa zapłonie”, „Rosja to kraj terrorystów”, „Rosjanie, nie jesteście tu mile widziani”, „Putin zabija ludzi w Ukrainie, podczas gdy bogaci Rosjanie jedzą chaczapuri w Gruzji”. Flagi ukraińskie są wszechobecne. Nie odstręcza to ich jednak. Choć ogłoszenie o wycieczce do Vardzi (wydrążonego w skałę miasta) było po gruzińsku, na wycieczkę zgłosiło się 17 Rosjan i ja. Jeden miał na plecaku naszywkę z flagą Ukrainy.

– Odmawiam wycieczek z Rosjanami, ale większość biur turystycznych jest w tak złej kondycji po pandemii, że nie zwraca na takie rzeczy uwagi – mówi gruzińska przewodniczka. Szczególnie że turystów z Zachodu jest mniej – poza obawą przed wizytą w regionie sąsiadującym z Rosją, przyczyną jest to, że linie lotnicze podróżują okreśłą drogą. Bilety w taniej linii z Polski do Gruzji potrafią kosztować tyle, co do USA.

„Podczas gdy większość Gruzinów może być zdecydowanie antyrosyjska, biznes ignoruje napięcia społeczne i stara się przyciągnąć tyłu Rosjan, na ile to możliwe. Ostatnie miesiące jasno pokazują, że Gruzja jest coraz bardziej zależna ekonomicznie od Rosji” – pisał Emil Awdaliani, dyrektor działu bliskowschodniego w gruzińskim think tanku Geocase.

Formularz dla klienta

W Fabrice, jednym z najmodniejszych miejsc stolicy – dawnej szwalni, zamie-

nionej w hipsterskie zbiorowisko knajp – burgerownia przypomina hasłem do wi-fi, że „Rosja okupuje 20 proc. Gruzji” (chodzi o Abchazję i Osetię Południową) i zastrzega, że nie przyjmuje zamówień po rosyjsku.

Dalej poszła inna knajpa, Dedena: wprowadziła „wizy” dla rosyjskich klientów. Muszą wypełnić formularz, w którym oświadczą, że nie głosowali na Putina, że Abchazja i Osetia Południowa są gruzińskie, i że lubią stwierdzenie „*Ruskiej wojennyj korabl, idi nachuj*”. Dedena padła ofiarą akcji rosyjskich internautów, którzy masowo wystawiali mu negatywne oceny (po jakimś czasie skasowane przez Google’a).

Z kolei luksusowy camping Hill Inn zakazał gościom puszczania rosyjskiej muzyki – przyłapani klienci mają być wymeldowani, a wpłacona przez nich liczka przelewana na konta ukraińskich organizacji pomocowych.

Ale takich przykładów nie ma zbyt dużo. Ograniczają się do jednego środowiska: młodych i wykształconych z dużych miast. – Tacy ludzie są z reguły najbardziej prozachodni, a przy tym antyrosyjscy – mówi dr Sichinava.

– Najbardziej ironiczne jest to, że ci, którzy w teorii powinni najgłośniej protestować, czyli nacjonaliści, siedzą cicho. Najsilniejszy protest przeciw niekontrolowanej masowej rosyjskiej migracji jest ze strony liberalnych, prozachodnich segmentów społeczeństwa, głównie krytycznych wobec rządu – mówi Giorgi Badridze z gruzińskiej Fundacji na rzecz Badań Strategicznych i Bezpieczeństwa.

Celebrytka jest urażona

Jak na takie sygnały reagują sami Rosjanie? Wskazówką może być wypowiedź Kseni Sobczak, celebrytki, czasami aspirującej do bycia opozycyjną dziennikarką lub polityczką. „Kocham Gruzję, mam tu wielu przyjaciół (...) Z minusów: jest dużo obraźliwych napisów o Rosji, a wielu dziennikarzy uważa, że musisz wypowiedzieć się o swoim kraju. Nie ukrywam moich poglądów, ale besztanie kraju za granicą nie jest w moim stylu. W barze z wizami dla Rosjan »rozczarowałam« właściciela odmawiając podpisania kartki papieru z napisem »Chwała Ukrainie«. Nie każdy rozumie, że bycie przeciwko militaryzmowi i przemocy nie oznacza chwaleń kraju, który jest dla ciebie obcy. Nawet jeśli się sympatyzuje

→ z ich żalobą. W skrócie: Tbilisi jest piękne, a ludzie są ludźmi” – pisała Sobczak na Instagramie po dwudniowej wizycie (zając zdjęcie, na którym promuje ubrania sportowe jednej z rosyjskich marek).

Facebookowe grupy o Tbilisi są pełne Rosjan szukających porad. Jeden użytkownik pyta, jak przesłać i wypłacić 150 tys. dolarów, które ma w kryptowalutach po tym, jak sprzedał dom w Moskwie. Wszyscy narzekają na problemy ze znalezieniem mieszkań i ich cenami. „Niedawno przeprowadziliśmy się do Tbilisi, chcemy się pobrać. Nie mamy tu znajomych, szukamy dwóch świadków, którzy nam pomogą” – pisze angielsko-rosyjska para, do niedawna mieszkająca w stolicy Rosji.

Siedź cicho i odpoczywaj!

– Z naszego badania z marca wynika, że Gruzini są zaniepokojeni napływem Rosjan. Wielu popiera wprowadzenie dla nich wiz. To temat spolaryzowanych dyskusji, często wykorzystywany przez gadające głowy z obu stron politycznej barykady – mówi dr Sichinawa.

Trudno ocenić, co zaszło na początku sierpnia w marszrutce jadącej z Batumi do Tbilisi. Opozycyjny gruziński aktywista, który jako pierwszy upublicznił nagranie, pisał o „swoim przyjacielu, który oglądał ukraińskie filmiki na komórce, a przedstawicielka okupanta obelżywie kazała mu je wyłączyć, na co dosadnie odpowiedziała jej inna pasażerowie”. Na nagraniu widać raczej koniec całej sytuacji. W ciasnym busie kilka osób strofuje Rosjankę: „Śmierdzący okupant”, „Jesteś w naszym kraju, jesteś gościem i kanalia, ale nikt cię nie wygania, możesz odpoczywać, więc siedź i odpoczywaj”. Nagranie rozpowszechniła telewizja Rustavi 2. Do końca sierpnia wyświetlono je tylko na ich profilu 3 mln razy.

Gruzini internet rozpałały też inne podobne informacje o Rosjanach: jedni popsuli gąbłkę w muzeum pisarza Aleksandra Czawczawadze, inni molestowali tłumaczkę, jeszcze inni powiesili na wynajmowanym domku letniskowym biało-niebiesko-czerwoną flagę. Piosenkarz Giorgi Uszikiszwili opowiadał w telewizji, jak Rosjanka protestowała w hotelu z powodu żółto-niebieskiego drinka w menu. „Batumi to piękne miasto. Kocham je, ale to dziś rosyjska kolonia. Jest tu więcej Rosjan niż Gruzinów, a Gruzini zwracają się do rodaków w punktach usługowych po rosyjsku” – narzekała pio-

Przeciw masowej rosyjskiej migracji najsilniej protestują gruzińskie środowiska liberalne i prozachodnie.

senkarka Tika Dżamburia. Także w Batumi rękoczynami skończyła się awantura o muzykę: Rosjanie protestowali, że bar puszcza tę gruzińską, co z kolei nie spodobało się miejscowym.

Z czasem zaczęło się dostawać także innym nacjom. Oto kierowca wyrzucił z marszrutki Kazachów, którym nie podobało się, jakimi słowami określali Putina inni pasażerowie. Z kolei sąd ułaskawił taksówkarza, który wyrzucił z auta pasażerów, bo nie podobały się im puszczane przez niego ukraińskie piosenki. Skarżący, którzy okazali się rosyjskojęzycznymi Litwinami, twierdzili, że to bzdura, a kierowca chciał ich oszukać, żądając kilkanaście razy więcej za kurs, niż powinien, a gdy się nie zgodzili, wyrzucił ich w szczerze pole.

Premier broni Rosjan

Wobec takich emocji burmistrz Tbilisi, były piłkarz Kacha Kaladze zapewniał, że w stolicy „wszyscy są mile widziani”. Z kolei władze Batumi twierdzą, że dzięki rosyjskim turystom ten sezon wakacyjny będzie „najlepszy w historii”.

Najgłośniejszy przeciw takim incydentom protestują jednak nie sami Rosjanie, lecz Gruzini. Marzenie – partia, która od 2012 r. rządzi krajem. „Jak wiecie, partia wojny i zdrady, reprezentowana przez Zjednoczony Ruch Narodowy [to ugrupowanie opozycyjne, z jego ramienia prezydentem był Micheil Saakaszwili – red.], ruszyła z haniebną, ksenofobiczną i szowinistyczną kampanią przeciwko Rosjanom w Gruzji” – mówił na początku sierpnia premier Irakli Kobachidze, gdy po awanturze w marszrutce temat stał się polityczny. Premier dodawał, że nieprawdą jest, jakoby 10 proc. osób w Gruzji to byli już Rosjanie. „To nawet nie 3 proc. populacji, poza tym większość z nich ma pochodzenie gruzińskie” – zapewniał.

– Jedną z cech partii rządzącej jest jej przywiązanie do polityki „niedrażnienia Rosji”. Wyraża się ona w decyzjach, które

często są zaskakujące i niezgodne z euroatlantyckimi aspiracjami Gruzji. Ta polityka wywołuje zakłopotanie wśród zachodnich sojuszników – mówi Irina Guruli.

Również druga strona politycznej barykady wykorzystuje ten temat. Nika Melia, lider Zjednoczonego Ruchu Narodowego, apelował o wprowadzenie wiz dla Rosjan i ograniczenie im możliwości pobytu na stałe oraz zakładania firm. Premier Kobachidze odbił piłeczkę przypominając, że to za rządów Saakaszwilego zniesiono wizy dla Rosjan.

– Ostatni sondaż sugeruje, że zdecydowana większość Gruzinów uważa, iż rząd prowadzi kraj na manowce, jego działania popiera zaledwie 25 proc. badanych. Ale to nie oznacza, że nadchodzi zmiana, opozycja jest oceniana jeszcze gorzej – mówi Giorgi Badridze.

Graniczny ekosystem

Po pojawieniu się na przejściu granicznym FSB i punktów mobilizacyjnych tamtejsza kolejka trochę zmalała: 28 września wynosiła 4,9 tys. aut, o 600 mniej niż dzień wcześniej. Na Telegramie ludzie twierdzą, że przekroczenie granicy piechotą zajmuje 12 godzin. W rejonie Stepancmindy, zaraz za przejściem, wytworzyło się ekonomiczne „zaplecze”: ludzie pomagający w transporcie i zakwaterowaniu, a także skupujący i sprzedający rowery oraz hulajnogi, którymi podróżują Rosjanie (można je potem sprzedać z zyskiem w Tbilisi).

Tych kilkadziesiąt tysięcy Rosjan, którzy przyjechali teraz do Gruzji, dołączy do podobnej (przynajmniej według danych oficjalnych) liczby tych, którzy już tu są. Potem dołączą zapewne kolejni. Premier Kobachidze zapewnia, że nie zamknie granicy, bo „wielu naszych obywateli mieszka w Federacji Rosyjskiej”.

A dołączą do nich pewnie też turyści – ci, którzy dzięki koneksjom lub pieniądзом nie martwią się o mobilizację. Bo sezon wakacyjny w Gruzji się nie skończył. Temperatura w Tbilisi dochodzi do 30 stopni, a we wrześniu i październiku trwa tradycyjne Rtveli, winobranie połączone z festynami i degustacją wina oraz tradycyjnej kuchni. Kto inny, jak nie goście z drugiej strony Kaukazu, będzie zainteresowany spróbowaniem khvanchkary – półśrodkowego czerwonego, z delikatnym pikantnym aromatem. Ulubionego trunku Józefa Stalina. © JAKUB MEJER



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Mieszkaniec Berlina wnosi drewno opałowe do swojego mieszkania, 20 września 2022 r.

Zimno, zimniej, Niemcy

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Eksplodujące ceny energii i ogrzewania destabilizują naszych zachodnich sąsiadów. Największa gospodarka w Unii Europejskiej zmierza ku recesji.

JEDNĄ Z NAJWAŻNIEJSZYCH INSTYTUCJI w Niemczech jest Deutsche Post, czyli poczta. Niemal każda decyzja każdego urzędu jest dostarczana odbiorcy listownie. Orientacja w korespondencji z instytucjami to warunek przetrwania w dżungli niemieckiej biurokracji. Stąd w niemal każdym domu są półki zarezerwowane dla pękatek zwykle segregatorów. Zawierają one korespondencję: z administracją mieszkania, z ubezpieczycielem, kasą chorych, doradcą podatkowym itd., itp. Na słowo „cyfryzacja” Niemcy tylko uśmiechają się pod nosem. Papier to podstawa, a codzienne zagłębienie do skrzynki pocztowej jest tak naturalne, jak wyjście po bułki.

Dziś jednak Niemcy nie zaglądają do skrzynek chętnie. Po kraju krążą bowiem

„pisma grozy”. Taki list otrzymała z końcem sierpnia 38-letnia Kirsten, która wraz z partnerem, dwuletnią córeczką i psem mieszkają w berlińskim Kreuzbergu. Położona w zachodniej części miasta, dzielnica ta przyciągała artystów i outsiderów jeszcze wtedy, gdy Berlin był podzielony murem. Obecnie ściąga głównie turystów, którzy choć na chwilę chcą zakosztować tego, co uważane jest za „życie po berlińsku”: mieszkanki luzu, kreatywności i rebelianckiego ducha.

Za sprawą natłoku ludzi z całego świata alternatywny duch Kreuzbergu mocno się ostatnio skomercjalizował, co przełożyło się na rosnące ceny. Wiele tutejszych musiało szukać tańszych mieszkań w dzielnicach bardziej oddalonych od centrum.

Granica wytrzymałości

Rodzina Kirsten miała szczęście. Dotąd mogli po rozsądnej cenie wynajmować 89-metrowe mieszkanie na trzecim piętrze, w kamienicy z widokiem na ciągnącą się przez dzielnicę miejską kolej S-Bahn. Również ogrzewanie gazem nie było drogie jak na niemieckie standardy. Rok temu opłata wynosiła 93 euro na miesiąc, czyli ok. 450 złotych.

Dziś ta stawka to echo minionej epoki. „Pismo grozy”, które otrzymała Kirsten, to zapowiedź nowych czasów, w których wszystkim przyjdzie głęboko sięgnąć do kieszeni. Nowa stawka wynosi 298 euro na miesiąc (ok. 1450 zł), czyli o ponad 220 proc. więcej w przeciągu zaledwie roku.

– Jesteśmy w stanie opłacić większe rachunki, ale mam nadzieję, że to, co się teraz dzieje, to tylko jednorazowy kryzys – mówi Kirsten „Tygodnikowi”.

Obecnie termometr w jej mieszkaniu pokazuje 18 stopni. Jest zimno, ale ogrzewanie jeszcze nie pracuje. – W październiku na pewno włączymy – odpowiada Kirsten pytana o granicę wytrzymałości. Cieszy się, że nie musi już pracować z domu, jak w czasie pandemii. W biurze jest ciepłej.

Gdy zaś przebywa w mieszkaniu, rodzina radzi sobie ubierając się „na

→ cebulkę”. Ciepłe skarpety i swetry stają się dziś w Niemczech dobrem o strategicznym znaczeniu. A przecież to dopiero początek jesieni.

Nie wszyscy jednak zamierzają marznąć i ograniczać zużycie gazu, którym ogrzewane jest co drugie mieszkanie w kraju. Federalna Agencja ds. Sieci informuje, że pod koniec września zużycie błękitnego paliwa w prywatnych gospodarstwach domowych było wyższe niż w podobnym okresie roku 2021. Klaus Müller, szef Bundesnetzagentur, po raz kolejny apeluje do społeczeństwa o oszczędzanie surowca. W przeciwnym razie może go zimą zabraknąć.

Tweet z apelem Müllera został podany dalej również przez Wolfganga Schmidta, szefa Urzędu Kanclerskiego. Gdy władze największej unijnej gospodarki proszą obywateli o oszczędne ogrzewanie mieszkań, stanowi to czytelny sygnał, że nadchodzące miesiące mogą mieć epokowe znaczenie.

Surowce z Rosji to już przeszłość

Podwyżki to oczywiście problem globalny, którego przyczyny leżą jeszcze w pandemii, a teraz w rosyjskiej inwazji na Ukrainę, w sankcjach gospodarczych nałożonych na agresora i decyzji Rosji o ograniczeniu eksportu surowców w kierunku Unii Europejskiej.

Wyjątkowo zła sytuacja Niemiec wynika wprost ze stopnia, w jakim ten kraj uzależnił się od rosyjskiego gazu, ropy i węgla na przestrzeni ostatnich dekad. Choć z obecnej perspektywy czas przed rosyjską inwazją wydaje się zamierzchną przeszłością, to jeszcze na początku tego roku wszystko wskazywało na rychłe otwarcie gazociągu Nord Stream 2. Dzięki niemu strumień błękitnego paliwa Gazpromu skierowanego do Niemiec miał się podwoić. Położone na dnie Bałtyku rury o ogromnej przepustowości i długoterminowe kontrakty z rosyjskim koncernem miały zagwarantować Niemcom względnie niskie ceny gazu, tak aby w spokojny i przewidywalny sposób przechodzić na zielone źródła energii i ciepła.

Ten plan dosłownie eksplodował na naszych oczach w ubiegłym tygodniu. Podwodne wybuchy, które uszkodziły obie nitki Nord Stream, to definitywny koniec zarówno dotychczasowej współpracy, w której Rosjanie byli postrzegani przez Berlin jako wywiązujący się z umów dostawcy, jak też nadziei niektó-

„Niepokój”, „wściekłość”, „brak kontroli”, „strach”:

tak Niemcy określali swoje nastroje w niedawnym sondażu socjologicznym.

rych prorosyjskich polityków i przedstawicieli biznesu, że kiedyś, po wojnie, będzie można wrócić do energetycznego *business as usual* z Rosją.

I tylko niemieckim publicystom pozostaje cierpko konstatować, że ich kraj nie znajdowałby się obecnie w tak trudnym położeniu, gdyby nie dwie dekady konsekwentnego budowania uzależnienia od rosyjskich surowców – procesu, w którym beztrząsowo uczestniczyła cała niemiecka klasa polityczna, na czele z byłą kanclerz Angelą Merkel.

Te rozważania nie zmieniają jednak „tu i teraz” niemieckich importerów, którzy muszą na gwałt szukać alternatyw dla rosyjskiego gazu. Tymczasem rynkowe ceny surowca poszybowały w ostatnich miesiącach – dlatego końcowi odbiorcy przecierają teraz oczy ze zdziwienia, czytając swoje „pisma grozy”.

Cierpki smak drożyzny

Trzeba uczciwie zaznaczyć, że choć krach energetyczny dotknie niemieckie społeczeństwo jak żaden inny kryzys w ostatnich dekadach, nie doprowadzi kraju do natychmiastowej ruiny. Na to Niemcy są wciąż zbyt bogate.

Świadczą o tym relacje jak ta rodziny z Drezna, którą opublikował poczytny tygodnik „Der Spiegel”. Jej program oszczędnościowy sprowadza się bowiem do odłożenia na lepsze czasy budowy domu, rezygnacji z kupna drugiego samochodu i ograniczenia planów wakacyjnych. Nie brzmi to apokaliptycznie. I z pewnością większość Niemców zagryzie zęby i zapłaci wyższe rachunki. Wielu stać nawet, by w obliczu kryzysu instalować fotowoltaikę oraz pompy ciepła. Obie branże przeżywają boom. Jeśli ktoś teraz decyduje się na inwestycję, musi liczyć się z dostarczeniem produktu i instalacją dopiero w przyszłym roku.

Jednak marzeń niemieckiej klasy średniej, dotąd możliwych do zrealizowania,

żaden tutejszy polityk nie może lekceważyć. To na jej dobrobycie opiera się społeczna spójność, która pozwala Niemcom radzić sobie z kryzysami lepiej niż wiele innych państw Unii. I to ta grupa stoi za sukcesami małych oraz średnich niemieckich przedsiębiorstw, w dużej mierze firm rodzinnych prowadzonych od pokoleń. A również tutaj kryzys energetyczny sieje jeśli jeszcze nie spustoszenie, to przynajmniej olbrzymi niepokój.

Wiele mniejszych zakładów ucierpiało już w trakcie pandemii. Obecny wzrost cen energii to dla wielu o jeden problem za dużo. Symbolem kryzysu stały się piekarnie i cukiernie, gdyż do pieczywa i słodkich wypieków potrzeba bardzo dużych ilości energii. I tak Bernd Siefert, właściciel cukierni Café Siefert w Michelstadt w Hesji, został skonfrontowany ze wzrostem miesięcznych cen energii z 2,5 tys. do ponad 11 tys. euro. „Na zapłacenie tej kwoty w ogóle mnie nie stać” – mówi w rozmowie z dziennikiem „Die Welt”.

Do tego trzeba doliczyć wzrost cen mąki i innych produktów używanych do wypieków. A inflacja w Niemczech właśnie przekroczyła symboliczny próg i wyniosła we wrześniu 10 proc. Właściciel Café Siefert zauważa, że coraz częściej ludzie zamawiają jeden kawałek ciasta i dzielą się nim we dwoje.

Gdyby cukiernik chciał wszystkie podwyżki przerzucić od razu na klienta, cena za kawałek słodkiej przyjemności skoczyłaby z 3,5 w okolice 10 euro. To byłaby już raczej cierpka, a nie słodka przyjemność dla klientów, którzy w tej cenie mogli jeszcze niedawno kupić całe ciasto.

Nadchodzi recesja

– Wielu właścicieli małych zakładów to ludzie w zaawansowanym wieku – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem” Rainer Dulger, szef Konfederacji Niemieckich Związków Pracodawców. – Mogliby się zadłużyć, żeby przetrwać nadchodzącą zimę, ale nie chcą już podejmować ryzyka i wolą zakończyć działalność. W ten sposób najnowszy kryzys łączy się z długotrwałym kryzysem demograficznym, który trawi Niemcy od dziesięcioleci.

Dulger wie, co mówi: sam jest przedsiębiorcą, a organizacja, której przewodniczy, reprezentuje około miliona firm, które odpowiadają za 70 proc. zatrudnionych w kraju.

Choć na świecie wyjątkowo jasno świecą „diamenty” niemieckiej gospo-

darki – koncerny motoryzacyjne Volkswagen, Mercedes i BMW czy firmy metalurgiczne i petrochemiczne – to w kraju szczególnym szacunkiem obdarza się firmy mniejsze, które choć prowadzą działalność o innej skali i nie są tak znane, równie dobrze radzą sobie z eksportem produkowanych przez siebie dóbr.

To o ich przetrwanie boi się Dulger. – Zmierzamy ku recesji – mówi z przekonaniem. Tłumaczy, że poprzedni kryzys, ten spowodowany pandemią, nie dotknął wszystkich, a poza tym dobrze zadziałał mechanizm „postojowego”, który pozwalał firmom na krótki moment wstrzymać działalność. W tym czasie większość kosztów pracowników opłacano z państwowej kasy. Teraz sytuacja jest inna, bo jeśli przez eksplozję cen działalność przestanie być rentowna, skutkiem będzie zamknięcie zakładu raz na zawsze.

Dulger zwraca również uwagę na możliwe wyhamowanie konsumpcji, co przełoży się na gorszą sprzedaż i może skutkować przeniesieniem produkcji przez niemieckie firmy do krajów, gdzie jej koszty będą znacznie mniejsze.

Przedstawiciel pracodawców nie jest odosobnionym pesymistą. Kluczowe niemieckie ośrodki ekonomiczne ustaliły, że już w najbliższych miesiącach tutejszą gospodarkę czeka lekka recesja na poziomie minus 0,3 proc. PKB. Jeśli faktycznie tej zimy miałyby zabraknąć gazu, który oprócz ogrzewania jest także niezbędny dla działalności wielkich zakładów przemysłowych, to w przyszłym roku może dojść do spadku PKB nawet o 7,9 proc.

Polityka ledwo nadąża

W tonowaniu nastrojów nie pomagają władze, którym z trudem przychodzi re-

agowanie na dynamicznie pogarszającą się sytuację. Trzeba jednak przyznać też, że czasy wymagają decyzji, które koalicję socjaldemokratów, Zielonych i gospodarczych liberałów z FDP stawiają przed koniecznością odważnego wychodzenia poza własne ograniczenia programowe.

Najbardziej jaskrawym tego przykładem jest Robert Habeck z partii Zielonych, minister gospodarki i klimatu oraz wicekanclerz. W poszukiwaniu dodatkowych źródeł energii zdążył już mocno przyhamować zamykanie elektrowni węglowych, a po miesiącach sprzecznych komunikatów oznajmił, że działanie dwóch elektrowni atomowych zostanie wydłużone, żeby ratować krajowy rynek energii przed potencjalnym zimowym blackoutem. Również decyzja o szybkiej budowie terminali do importu gazu skroplonego LNG została podjęta wbrew oczekiwaniom jego elektoratu, który najchętniej widziałby już Niemcy jako zieloną i ekologiczną autarkię.

Również liberałowie z FDP żegnają się z programowymi dogmatami i muszą przełknąć zaciąganie przez państwo nowych długów. Kredyty będą niezbędne, aby sfinansować najnowszą propozycję rządu Olafa Scholza, która obejmuje zamrożenie cen gazu – jak to ogłoszono w czwartek 29 września. Szczegóły rozwiązania w momencie zamknięcia tego numeru „Tygodnika” nie były znane. Ale jeśli rząd zdecyduje się odciążyć zarówno prywatnych konsumentów, jak też przedsiębiorców, taka operacja tylko w jednym sezonie zimowym będzie kosztować budżet państwa setki miliardów euro.

Szukanie winnych

Niemiecki rząd postanowił więc w ostatniej chwili zareagować na coraz bardziej dramatyczne historie związane z eksplozją cen. Pozostaje jednak pytanie o koszty. Budżet nie jest z gumy, a i tak został już mocno nadwyrężony przez długi zaciągnięte w czasie pandemii. Największą część budżetu federalnego, bo mniej więcej jedną trzecią, stanowią wydatki socjalne – wypłaty emerytur, zasiłków i wszelkich transferów społecznych.

Niewykluczone, że to właśnie niemiecki „socjal” stanie się wkrótce gorącym tematem politycznym. Sygnałem była wypowiedź Friedricha Merza, szefa opozycyjnej chadeckiej CDU: w wywiadzie telewizyjnym zarzucił on części ukraińskich uchodźców „turystykę socjalną”. W jego mniemaniu miałyby one polegać na kursowaniu między Ukrainą a Niemcami celem uzyskiwania niemieckiej pomocy finansowej.

Wprawdzie Merz szybko wycofał się z tych słów i przeprosił, ale łatwo sobie wyobrazić, że wraz z pogarszającą się sytuacją ekonomiczną mogą narastać napięcia między „rdzennymi” Niemcami a uchodźcami i innymi obcokrajowcami. Sugerują to również sondażowe wzrosty prawicowo-populistycznej Alternatywy dla Niemiec (AfD): na wschodzie kraju, w Saksonii i Turynii, AfD wysunęła się na sondażowe prowadzenie, a zyskuje też w zachodnich landach.

W jednym z ostatnich badań socjologicznych terminami, które pytani najczęściej wybierali dla określenia nastrojów społecznych, były: „niepokój”, „wściekłość”, „brak kontroli” i „strach”.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

TYGODNIK
POWSZECHNY

SERWIS SPECJALNY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego

Historia konkursu, sylwetki uczestników, codzienne podsumowanie rywalizacji, podkasty.

Bądź z nami od 7 do 21 października na
www.tygodnikpowszechny.pl/wieniawski

PARTNER SERWISU:



16. Międzynarodowy
Konkurs Skrzypcowy
im. Henryka
Wieniawskiego
POZNAŃ
7-21.10.2022

Liz, Kwasi i finansowy hazard

PATRYCJA BUKALSKA

Na czele rządu stoi miesiąc, a już gromadzą się nad nią czarne chmury. Do kłopotów Brytyjczyków z inflacją i cenami energii doszedł właśnie ryzykowny plan premier Liz Truss.

JAKIEJ REAKCJI ZE STRONY EKONOMISTÓW, inwestorów, polityków i obywateli spodziewał się nowy brytyjski minister finansów Kwasi Kwarteng, gdy ogłaszał pakiet cięć podatkowych? Raczej nie takiej: funt w relacji do dolara spadł do poziomu najniższego od 37 lat, koszty zadłużenia wzrosły, kraj ogarnął niepokój. Słowa krytyki popłynęły nie tylko ze strony opozycji, ale i części posłów Partii Konserwatywnej. Na interwencję zdecydował się Bank Anglii – będzie skupować długoterminowe obligacje rządowe.

Co znalazło się w tym, jak go nazwano, „minibudżecie”, który wywołał fiskalne trzęsienie ziemi? Przede wszystkim największa od pół wieku obniżka podatków: o jeden punkt, do 19 proc., obniżono podstawową stawkę podatkową i zlikwidowano tę najwyższą, 45-procentową. Wycofano podwyżkę składki ubezpieczenio-

Koszt dla państwa będzie niebagatelny: 45 mld funtów. Ale Kwasi Kwarteng liczy, że takie „nowe podejście na nową erę” pobudzi wzrost gospodarczy. Jeśli się jednak nie uda, zamiast wzrostu Brytyjczyków czeka jeszcze większe zadłużenie i rosnąca inflacja.

„To nie tylko hazard, on jeszcze zastawia w tym celu dom!” – tak strategię Kwartenga podsumował Paul Johnson z londyńskiego Institute for Fiscal Studies. Johnson uważa, że zmiana kierunku jest tak radykalna, iż wykracza poza zwykłe działania nowego rządu, który po pro-

stu ma własny program. „To tak, jakby władzę przejęła nowa partia” – stwierdził.

Program dla bogatych

Jeden z zarzutów wobec planu Kwartenga to nie tylko związane z nim ryzyko, brak konkretnych prognoz jego skutków i wysokie koszty (w ciągu najbliższych pięciu lat zadłużenie może wzrosnąć o 400 mld funtów), ale też fakt, że zmiany pomogą głównie najbogatszym.

Na obniżce podatków zyskają ci, którzy zarabiają powyżej 150 tys. funtów rocznie. Dla przykładu: ci, których dochód przekracza milion, zyskają ponad 55 tys. funtów rocznie, natomiast zarabiający rocznie 20 tys. funtów zyskają ledwie 157 funtów. Nie będzie natomiast planowanej wcześniej podwyżki podatku dla firm, zniesiono też limit premii dla bankierów. Jak szacuje think tank Resolution Foundation, ponad 2 mln osób może znaleźć się poniżej granicy ubóstwa. „Dochody pięciu procent najbogatszych wzrosną w przyszłym roku o dwa procent, ale pozostałe 95 proc. populacji zubożeje” – czytamy w analizie.

„Ten minibudżet jest bezwstydnie budżetem dla bogatych, wielkiego biznesu i City” – stwierdza Sharon Graham ze związku zawodowego Unite (City to finansowe centrum w Londynie). „Superbogacze będą zanosić się od śmiechu, zmierzając do swego banku” – komentuje szkocka premier Nicola Sturgeon, mówiąc o „moralnym bankructwie torysów”. „To wojna klas” – uważają posłowie opozycyjnej Partii Pracy. „Politycznie toksyczny i ekonomicznie wątpliwy” – takie opinie pojawiły się nawet w parlamentar-nych ławach konserwatystów.

Pierwszy miesiąc...

Kiedy Liz Truss obejmowała stanowisko premiera po Borisie Johnsonie – w deszczowy poranek na początku września – mówiła: „Wspólnie przetrwamy burzę. I choć burza może być potężna, wiem, że Brytyjczycy są silniejsi”. Po ogłoszeniu planu Kwartenga widać, że burza jest potężna, ale o wspólnym przetrwaniu trudno mówić, a kraj może podzielić się na tych (licznych), którym nie starcza na rachunki, i tych (nielicznych), których konta pęcznieją.

Zaczynając urzędowanie na Downing Street, Liz Truss wytyczyła trzy priorytety: obniżenie podatków (aby „nagrodzić ciężką pracę i pobudzić wzrost i in-

westycję”), zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego i likwidacja problemów w funkcjonowaniu systemu ochrony zdrowia (głównie długie kolejki do lekarzy, jeszcze jako efekt pandemii).

Najpilniejsza była kwestia cen energii: od października Brytyjczykom groził olbrzymi ich wzrost. Zgodnie z powszechnym oczekiwaniem Truss zamroziła rachunki dla gospodarstw domowych na poziomie 2,5 tys. funtów rocznie. Odrzuciła jednak pomysł opodatkowania firm energetycznych podatkiem od nieoczekiwanych zysków (tzw. *windfall tax*), który uzupełniłby dziurę w budżecie powstałą w wyniku pakietu pomocowego (bo to państwo ma rekompensować straty dostawcom energii, a ta pomoc może je kosztować nawet 150 mld funtów).

Skąd rząd weźmie te środki, skoro nie z podatków? „To zwykli pracujący ludzie będą musieli uiścić ten rachunek” – mówił w parlamentarnej debacie przywódca opozycji Keir Starmer. Dyskusja została jednak przerwana – tego dnia, 8 września, umarła Elżbieta II i kraj zamarł na dziesięć dni, aż do królewskiego pogrzebu. Polityczne dyskusje też.

...i niepewna przyszłość

Nowe rządy ocenia się zwykle najpierw po stu dniach urzędowania. Liz Truss wiedziała, że nie będzie miała tego luksusu – przejęła urząd od Johnsona w sytuacji kryzysu energetycznego, inflacji i wojny w Ukrainie. Miała jednak pewien kredyt zaufania: po jej pierwszej przemowie na Downing Street zwracano uwagę, że choć może nie jest dobrym mówcą (kontrast z tryskającym bon motami Johnsonem był uderzający), to jest rzeczowa, pragmatyczna i pracowita. Miała być solidnym liderem, który połączy reputację Partii Konserwatywnej, nadszarpniętą przez skandale z czasów Johnsona, i przeprowadzi kraj przez kryzys gospodarczo-energetyczny.

Zamiast tego funt zalicza rekordowe spadki, repymendy Wielkiej Brytanii udziela Międzynarodowy Fundusz Walutowy, a spora część torysów jest w szoku i zastanawia się, jak wyjaśnić wyborcom ów „budżet dla bogatych”. Pojawiają się nawet spekulacje, że Truss nie nacieszy się długo mieszkaniem na Downing Street.

W każdym razie aż siedmiu na dziesięciu zwolenników Partii Konserwatywnej nie popiera zapowiedzianych cięć podatkowych. Krytycznych jest też wielu



Premier Wielkiej Brytanii Liz Truss i minister finansów Kwasi Kwarteng podczas wizyty w fabryce gotowych domów w Northfleet, 23 września 2022 r.

posłów torysów. Sama Liz Truss – po kilkudniowym milczeniu – podkreślała, że plan jest dobry, a ona jako premier musi być gotowa podejmować trudne decyzje.

Byłe do wiosny

– Ciężko doprawdy zrozumieć, czego Truss i Kwarteng się spodziewali, kiedy przedstawiali gigantyczny pakiet energetyczny, a potem pakiet cięć podatkowych bez źródeł finansowania – mówi „Tygodnikowi” prof. Tim Bale z Uniwersytetu Queen Mary w Londynie. – Chyba że weźmiemy pod uwagę, iż oboje są fundamentalistycznymi zwolennikami wolnego rynku, którzy szczerze wierzą, że sposobem na gospodarczy wzrost jest zachęcenie bogatych do inwestowania, i że potem w wyniku tego wzrostu zyski „skapną” do kieszeni zwykłym ludziom, którzy zagłosują na nich w wyborach.

Problem w tym, że dla swojego planu nie zbudowali poparcia i jest on dość nietransparentny (inaczej niż zwykle, planowi nie towarzyszyła ocena niezależnego Biura Odpowiedzialności Budżetowej). Na wyniki ich ryzykownej rozgrywki – lub, jak mówią niektórzy, eksperymentu – trzeba będzie poczekać.

Czy Truss ma na to czas? – Pozbycie się świeżo mianowanego lidera wydaje się szaleństwem, ale niczego bym nie wykluczał. Poparcie dla partii leci w sondażach na łeb na szyję, a znana jest ona z bezwzględności – zwraca uwagę prof. Bale.

Rzeczywiście, po ogłoszeniu pakietu Kwartenga torysi stracili kolejne punkty procentowe w sondażu YouGov i poparcie dla nich zatrzymało się na poziomie 21 proc.; z kolei Partia Pracy zyskała i cieszy się rekordowym dla niej poparciem 54 proc. Przypomnijmy też, że nawet premier Margaret Thatcher, do której Liz Truss tak chętnie się odwołuje, została usunięta ze stanowiska przez jej własnych partyjnych kolegów. Do odejścia zmuszono też Theresę May i Johnsona. – Myślę jednak, że Truss dostanie szansę, by się wykazać w wyborach samorządowych wiosną 2023 r. – dodaje prof. Bale.

Bez społecznej solidarności?

Żeby odnieść sukces wiosną, Truss musiałaby zadbać o wyborców zimą. To prawda, że został zatrzymany wzrost cen energii, jednak inflacja dalej rośnie, a wraz z nią ceny. Tani funt oznacza wzrost cen towarów importowanych. Wzrosną raty kre-

dytów hipotecznych. To wszystko dzieje się teraz – i teraz jest potrzebna pomoc ukierunkowana na najmniej zarabiających i najsłabszych, a także solidarność społeczna. Tymczasem nawet jeśli posunięcie Kwartenga się powiedzie, to na odczucie pozytywnej zmiany gospodarczej obywatele musieliby czekać.

Premier Truss chciałaby, aby Wielka Brytania stała się znów krajem atrakcyjnym dla inwestorów i finansistów, i odwołuje się do tradycyjnych wartości konserwatystów, jak przedsiębiorczość. Jednak gospodarka to nie tylko gracje z City, to także właściciele sklepików, barów z frytkami, straganów na targowiskach, kutrów rybackich i niewielkich rodzinnych warsztatów.

Ich wszystkich czeka ciężka zima – i nie wiedzą, jak ją przetrwać. Wielu już zamyka swoje przedsiębiorstwa w obliczu kryzysu energetycznego, bo każdy dzień działalności naraża ich na pogrążenie się w długach.

Przestroga z przeszłości

Proponowane zmiany są tak radykalne, że dobrze by było, gdyby ich pomysłodawcy mieli dla nich większy mandat – np. taki, jaki dawałyby wygrane wybory parlamentarne z takim właśnie programem gospodarczym na sztandarach. Tymczasem Liz Truss na stanowisko szefowej partii – i tym samym szefowej rządu – wybrali tylko członkowie Partii Konserwatywnej (czyli ok. 160-180 tys. osób z 48 mln uprawnionych do głosowania w wyborach parlamentarnych), a i oni nie znali przecież szczegółów planu zmian podatkowych. Poza pytaniami o uzasadnienie gospodarcze planu Truss pojawiają się więc też pytania, czy takie postępowanie jest etyczne.

Kwasi Kwarteng swoim programem wiele zaryzykował – nie tylko swoje dopiero co objęte stanowisko. Zdaniem ministra finansów w gabinecie cieni Partii Pracy, Rachel Reeves, rząd „uprawia hazard i ryzykuje kredytami hipotecznymi i finansami każdej rodziny w tym kraju, byle tylko torysi byli zadowoleni”.

Ostatnia tak wielka obniżka podatków miała miejsce w 1972 r. – przeprowadził ją konserwatywny minister Anthony Barber. Jego „pęd ku wzrostowi” miał przeciwdziałać stagflacji (to inflacja połączona ze stagnacją gospodarczą). Wtedy się nie udało, a konserwatyści przegrali kolejne wybory. Jak będzie tym razem? ©



Benito Mussolini (w środku) z uczestnikami „marszu na Rzym”. Obok stoją Emilio de Bono (drugi z lewej), Italo Balbo (drugi z prawej) i Cesare Maria De Vecchi (pierwszy z prawej) – wszyscy oni tworzyli potem polityczno-wojskowe elity reżimu. Rzym, 25 października 1922 r.

CZARNE KOSZULE NA SALONACH WŁADZY

Sto lat temu „marsz na Rzym” toruje faszystom drogę do władzy we Włoszech. Wydarzenie to komentuje wtedy cały świat – także Polska, gdzie Mussolini jednych odrzuca, a innych fascynuje.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

JEST 24 PAŹDZIERNIKA 1922 ROKU. W sali teatru San Carlo w Neapolu, wypełnionej po brzegi przez faszystów, występuje ich przywódca Benito Mussolini. Zapowiada rozliczenie z „nędzną klasą polityczną” Włoch. „Albo pozwoli się nam rządzić, albo pomaszerujemy na Rzym i zdobędziemy władzę” – grzmi.

Kilka dni później jego ludzie wprowadzają te słowa w czyn, skupiając na sobie uwagę komentatorów z całego świata. W ten sposób cztery lata po zakończeniu I wojny światowej w drugim kraju Europy – po Rosji – rządy obejmują zwolennicy ideologii totalitarnej.

Jak do tego doszło?

Kalekie zwycięstwo

W listopadzie 1918 r., gdy na froncie zachodnim kończy się I wojna światowa, Włochy są w gronie zwycięzców. Jednak to gorzki sukces. W kolejnych latach popularne staje się tam sformułowanie, iż w przypadku Włoch jest to „zwycięstwo kalekie”. W istocie, skutki wojny pogłębiają niekorzystną sytuację gospodarczą i społeczną w Italii.

Włosi oczekiwali, że Brytyjczycy i Francuzi odwdzięczą się im za to, że w maju 1915 r. wypowiedzieli sojusz z Austro-Węgrami i Niemcami (istniejący od 1882 r. jako Trójpřzymierze, choć nieskutkujący udziałem armii włoskiej w wojnie po którejś ze stron w pierwszym roku jej trwania) i niesprawokowani uderzyli na Austrię. Daremnie jednak Rzym oczekuje odszkodowań, surowców i terytoriów – jeśli nie liczyć odebranego Austriakom Tyrolu Południowego. Zapóźniony gospodarczo kraj jest targany konfliktami społeczno-politycznymi i kryzysem gospodarczym, rządy nad Tybrem są słabe i niestabilne.

Na scenie politycznej Włoch pojawiają się masowe partie. Rosną wpływy lewicy, zwłaszcza Włoskiej Partii Socjalistycznej, co idzie w parze z rewolucyjnym wrzeniem. W okresie „czerwonego dwulecia” (1919-20) przez Półwysep Apeniński przelewa się fala buntów robotniczych i chłopskich. Nieśmiały król Wiktor Emanuel III nie panuje nad sytuacją. Do głosu dochodzą siły skrajne – z lewa i prawa.

Na tym podglebiu wyrasta nowy masowy ruch społeczny: faszyzm. Na jego czele staje Mussolini – rocznik 1883, syn kowala i nauczycielki, redaktor naczelny socjalistycznego pisma „Avanti”, a potem

populistycznego „Il Popolo d'Italia”, żołnierz Wielkiej Wojny.

Droga do władzy

W marcu 1919 r. obdarzony instynktem politycznym Mussolini zakłada Związek Kombatancki (Fasci Italiani di Combattimento). Jego program ewoluje: od idei lewicowych po skrajny nacjonalizm. Faszyzm skupia pod swoimi skrzydłami niezadowolonych, w tym wielu weteranów wojennych. Ma siłę przyciągania i szybko wykracza poza to środowisko; z czasem przejmuje głównie prawicowy i konserwatywny elektorat.

Dla Mussoliniego faszyzm jest przede wszystkim trampoliną do władzy. W osiągnięciu tego celu pomagają mu członkowie faszystowskich bojówek, tzw. squadriści, którzy ze względu na wyróżniający ich strój zwani są „czarnymi koszulami”. Włoskie ulice stają się areną krwawych walk między nimi a ich politycznymi adwersarzami, na czele z socjalistami i komunistami.

Droga faszystów do władzy prowadzi najpierw przez parlament, gdzie zasiadają od wyborów w maju 1921 r. Zastosowany podczas kampanii wyborczej terror okazuje się skutecznym. Mussolini ostatecznie odchodzi od lewicowości. Jako polityka cechuje go nie tylko zręczność, lecz także oportunistyczny. W listopadzie 1921 r. przekształca swój ruch w Narodową Partię Faszystowską. W reakcji na jej bezprawne poczynania w sierpniu 1922 r. socjaliści wzywają do strajku generalnego, co jednak kończy się fiaskiem. Parlamentaryzm przeżywa wtedy w Italii regres – wielu boi się komunistycznej rewolucji, a faszysty są postrzegani jako mniejsze zło.

Mussolini postanawia przejąć władzę w drodze rewolty. Na wspomnianym kongresie w Neapolu szantażuje gabinet liberala Luigię Facy „marszem na Rzym”. 27 października 1922 r. około 30 tys. członków paramilitarnej faszystowskiej milicji rusza faktycznie na stolicę. Wielu z nich nie ma jednak nawet broni. Mimo to król nie podpisuje dekretu o wyprowadzeniu wojska i siłowym stłumieniu rebelii. Przeciwnie: 29 października, bojąc się wybuchu wojny domowej, powierza 39-letniemu Mussolinemu misję utworzenia nowego gabinetu. Formalnie wszystko odbywa się zgodnie z konstytucją.

Italia wkracza na drogę „demokracji totalitarnej”, jak nazwie nowy system sam Mussolini, jego architekt.

„Objaw bardzo poważny”

Jesienią 1922 r. świat wstrzymuje oddech i śledzi wydarzenia we Włoszech. Dotyczy to też Polski, choć tu uwagę opinii publicznej bardziej przyciąga burzliwa kampania do Sejmu i Senatu; wybory odbędą się odpowiednio 5 i 12 listopada 1922 r.

W doniesieniach o włoskiej rebelii publikowanych w tych dniach w prasie – będącej głównym źródłem informacji dla społeczeństwa (pierwsza audycja radiowa będzie nadana w Polsce w 1925 r.) – dominują lakoniczne i dość nieprecyzyjne depesze agencji. O triumfie faszystów więcej mówią analizy i komentarze, które są wpisane w kontekst bieżącej wyborczej rywalizacji. Niektóre z nich – zwłaszcza w świetle późniejszych wydarzeń – zaskakują trafnością prognoz.

Na wypadki we Włoszech szybko reaguje zbliżony do centrum „Kurier Polski”, który już 28 października w artykule „Z pod latającej ropuchy” [tak w oryginale – red.] komentuje możliwość przeszczepienia faszyzmu nad Wisłę. Piśmo zauważa, że jest to specyficznie włoski wytwór i przeniesienie go na „mazowieckie piaski” byłoby niedorzeczne. „To, co z tamtej strony Alp jest akcją ratunkową dla państwa, z tej strony byłoby zwykłym politycznym bandytyzmem, którego ohydę potęgowałby jeszcze fakt, że wykonywałyby go właśnie żywioty najmniej z ideą państwa żyjące i najsłabiej ją odczuwające”.

„Kurier” pragnie, by rodzimi „domorośli kandydaci na faszystów” uświadomili sobie, że Mussolini zwalcza nie tylko socjalistów, lecz także chadeków. Zdaniem gazety faszyzm jest „objawem bardzo poważnym” – ryzykownym i niebezpiecznym, a od jego rozwoju zależy przyszłość Włoch. „Jakże śmieszny jest widok naszej domowej »latającej ropuchy«, która, gdy tam kują konia najszlachetniejszej na świecie rasy, swoją łapę nadstawia!” – puentuje „Kurier”.

Chyba nic nie podważa...

Ten sam „Kurier” w artykule z 31 października stwierdza, że przewrót na Półwyspie Apenińskim ma na celu wyłączenie „uzdrowienie stosunków wewnętrznych”, a zwłaszcza wyzwolenie kraju od wpływów socjalistycznych „jakichkolwiek odcieni”. Mimo form rewolucyjnych jest to ruch ewolucyjny, na pewno

→ nie zamach stanu, bo faszysty chcą m.in. umocnić władzę króla i są przeciwnikami partii ludowych, mają też poparcie masonerii.

Pismo zauważa, że przesilenie polityczne w Italii dobiega końca: „Faszyści chcą być bohaterami, zdobywającymi Rzym siłą zwycięskiego oręża, aby imponować swą wszechmocą. Do tego zaś nie można w żaden sposób dopuścić, aby nie stworzyć nader niebezpiecznego precedensu. Dlatego karabinierzy stawiają opór faszystom, król zaś, jak wiadać, najchętniej oddaje im całą władzę, lecz chce to uczynić drogą pokojową, z własnej, chociażby pozornie tylko, inicjatywy”.

„Kurier” nie wierzy w doniesienia o podważaniu traktatów międzynarodowych przez ekipę Mussoliniego. „Byłoby to zbyt wielką dyskredytacją własnego kraju i rozmyślnym wpłamywaniem Włoch w wojnę, której mają wszak dość na długie jeszcze lata”.

Czas pokaże, jak bardzo gazeta myli się w tej ocenie.

Europa idzie na prawo

Odmienne stanowisko zajmuje oczywiście prasa prawicowa.

W konserwatywnej „Rzeczpospolitej” z 29 października znany z ciętego języka prof. Stanisław Stroński analizuje wzrost zainteresowania ideologią prawicową w Europie. Odnosząc się do Włoch, pisze, że dokonuje się tam „doniosły zwrot”, polegający na tym, że faszysty dążą do wzmocnienia rządu przeciw „włóczęgom skrajnej lewicy socjalistycznej”. Polska zaś, zdaniem Strońskiego, po okresie chaotycznej polityki zewnętrznej i wewnętrznej, również wymaga stabilizacji władzy. Stroński puszcza oko do elektoratu, pisząc, że nowy zwrot polityczny w Polsce może przynieść tylko zwycięstwo „zwartej, silnej, przyjmującej odpowiedzialność za rządy w kraju umiarkowanej prawicy”.

Z kolei związana z ruchem narodowym „Gazeta Warszawska” ocenia 31 października, że we Włoszech dokonuje się „fakt dziejowy”, który wykracza poza ich granice. „Jesteśmy świadkami wielkiej i zwycięskiej rewolucji pod hasłem nacjonalizmu” – komentuje pismo. Zauważa, że jeszcze niedawno „prasa socjalistyczno-żydowska” przedstawiała akcję faszystów jako „szkodliwą zabawę w reformowanie państwa”, a ich ruch

Niektóre opinie ówczesnej polskiej prasy brzmią proroczo. „Robotnik”, gazeta PPS, ostrzegła, że tacy jak Mussolini **zagrożają pokojowi w całej Europie.**

ośmieszała. Tymczasem dziś Mussolini staje na czele rządu, „witany entuzjastycznie przez całe społeczeństwo”.

„Gazeta” ocenia, że w Europie dokonuje się „zwrot na prawo”. Diagnozuje, że faszyzm jest reakcją „ducha narodowego” przeciw międzynarodowemu socjalizmowi i zbolszewizowaniu: „Jest zatem faszyzm niewątpliwie potężnym, wspieranym odruchem zdrowego instynktu narodowego w kierunku »na prawo«”. Jednym z głównych celów faszystów jest naprawa gospodarczo-socjalnej struktury państwa, naruszonej przez „bolszewizację socjalizm”.

Zrozumieć ich zwycięstwo

Z kolei Leon Chrzanowski, rzymski korespondent prawicowego „Kurierza Warszawskiego”, w tekście „Kolorowe koszule” z 31 października ocenia, że faszysty są „wyjątkową organizacją narodową”, która stłumiła próbę rewolucji komunistycznej, a następnie „przejęła” masy bezrobotnych i zaczęła walkę z socjalistami. Niebezpiecznym zjawiskiem jest jednak walka „czarnych koszul” z innymi stronnictwami, np. katolickimi, co destabilizuje państwo.

Natomiast „Dziennik Poznański” (jak głosi podtytuł: „narodowe pismo bezpartyjne”) w numerze z 1 listopada tak streszcza program faszystów: „Polityka Mussoliniego jest bardzo prosta. Program jego brzmi: Antynarodowy okres, który trwał we Włoszech od lat 4, skończył się. Włochy są ożywione duchem zwycięstw i odnajdą znowu drogę do wielkiego mocarstwa. Jeśli się chce zrozumieć zwycięstwo faszystów, to należy sobie przede wszystkim uświadomić, że ludność godzi się z faszystami w walce z komunizmem. Przywódcy socjalistów opuścili Włochy i udali się przeważnie do Austrii” [pisownia oryginalna – red.].

Pismo zwraca uwagę, że we Włoszech uniknięto walk wewnętrznych dzięki wstrzemięźliwej postawie króla, który nie podpisał dekretu o „stanie oblężenia”. Zostaną tam podjęte środki, by wszystkie podmioty administracji państwa działały dalej normalnie. Strajki w zakładach użyteczności publicznej będą zakazane. Postawi się tamę spekulacji. Pierwszą czynnością rządu „czarnych koszul” będzie rozwiązanie parlamentu i rozpisanie wyborów. „Koła parlamentarne pogodziły się z myślą panowania faszystów” – podsumowuje gazeta.

To „bolszewicy prawicowi”

Wrogiem faszystów jest oczywiście lewa strona sceny politycznej młodej II Rzeczypospolitej, co znajduje odbicie na łamach prasy.

„Robotnik”, organ Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), zauważa 31 października, że mniej zadziwia, iż faszysty jako „organizacja terrorystyczna” dążyli do zamachu stanu, niż to, że rząd i społeczeństwo włoskie nie zdołały przeciwstawić się terrorowi i uległy bez oporu. Pismo dość słusznie diagnozuje, że faszysty zawdzięczają swoją siłę kapitalistom, którzy dążą do osłabienia klasy robotniczej. Ta ostatnia, otumaniona przez komunistów, padała w Italii ofiarą rozłamów inicjowanych przez Kreml. Pismo PPS nazywa faszyzm „bojówką kapitalistyczną” i ocenia, że są to „bolszewicy prawicowi”, dążący do zastąpienia demokracji faszyzmem. „Zwycięstwo faszystów jest klęską dla Włoch i naraża je na groźne przejścia” – proroczo konstatuje gazeta.

Dzień później „Robotnik” zauważa, że Mussolini uprawia demagogię, i że jako dyktator będzie narzędziem klas posiadających. Dlatego porozumienie partii prawicowych w Polsce – czyli Chrześcijański Związek Jedności Narodowej (ChZJN), określanej złośliwie jako „Chjena” – aprobuje zwycięstwo faszystów. Socjaliści zarzucają swoim antagonistom, że tylko pozornie uznają parlamentaryzm, a ChZJN „ślawi zamach stanu Mussoliniego, jego bojówki, jego pogardę dla Konstytucji i Rządu parlamentarnego, jego dyktaturę antydemokratyczną”.

Pepesowcy są zdania, że rządy Mussoliniego będą czynnikiem niepokoju w Europie, i że remedium dla trudności wewnętrznych w Italii będzie jego mocarstwowa narracja. „Robotnik” przestrzega, że polska klasa robotnicza musi wycią-

gnąć wnioski z włoskiej lekcji – przede wszystkim ma być w pogotowiu przeciwko „reakcji”, która chce ją przytłoczyć i spętać w interesie burżuazji i przeciwko „obłędowi komunizmu”.

Memento

W przeddzień wyborów do Sejmu (4 listopada) pismo PPS strzela z grubej rury i w komentarzu wprost zrównuje faszystów z działaczami ChZJN: „We Włoszech zatriumfowała Chjena. We Włoszech zwyciężyli faszysty i herszt bandytów Mussolini utworzył rząd”.

„Robotnik” zauważa dalej, że nową ekipę rządzącą entuzjastycznie przyjmują włoscy przemysłowcy, bo oznacza to likwidację uprawnień robotników. Przed wyborami w Polsce włoski przypadek ma być więc ostrzeżeniem przed tym, czego się można spodziewać w przypadku zwycięstwa „polskiego faszystu”.

Nasi socjaliści są zdania, że „Mussolini i jego czarna banda” pchają Italię na drogę imperializmu i „ekspansywnych awantur”. Uważają, że nie tylko pokój Włoch, lecz także całej Europy jest zagrożony przez faszystów, na których rzekomo wzoruje się ChZJN. W swoistym memento ludzie PPS piszą: „W przededniu wyborów niebezpieczeństwo zagrażające pokojowi Europy przez dojście do władzy faszystów niechaj będzie ostrzeżeniem dla każdego pokój miłującego

W 1922 r. Włochy wkroczyły na drogę „demokracji totalitarnej”, jak nowy system nazwał „duce”.

Formalnie objął on władzę zgodnie z konstytucją.

obywatela, na jakie niebezpieczeństwo narażałaby się Rzeczpospolita, gdyby nasi faszysty, uosobieni w Chjenie, zwyciężyli”.

Z kolei komunistyczny „Nowy Przegląd” dopiero w czerwcu 1923 r. komentuje włoski zamach stanu (czerwona prasa nie ma wtedy dużych nakładów i ukazuje się nieregularnie), pisząc m.in., że zainicjował on „rządy wściekłego terroru, wymierzonego w całą klasę robotniczą, a przede wszystkim w jej lewe rewolucyjne skrzydło”. Mimo to organ prasowy Komunistycznej Partii Polski ma nadzieję, że w Italii dojdzie w przyszłości do powstania zjednoczonej partii komunistycznej w ramach Międzynarodówki.

Rebelię Mussoliniego komentuje też prasa bulwarowa. W ocenie „Expressu

Porannego” z 31 października Włosi po jego zwycięstwie są przekonani, że faszystom postawi kraj na nogi, a „czarne koszule” utrzymują, iż „świat za ich przykładem pójdzie w kierunku prawym”. Dzień później gazeta zwraca uwagę na ryzyko dla światowego bezpieczeństwa związane z rewizjonistycznym kursem polityki faszystów, którzy podważają traktaty zawarte w 1920 r. przez Włochy z Jugosławią i Grecją.

Informacje z Włoch szybko jednak schodzą z czołówek polskiej prasy. II RP żyje innymi problemami. Po wyborach Zgromadzenie Narodowe desygnuje na prezydenta Gabriela Narutowicza, co wywołuje gwałtowny sprzeciw prawicy. 16 grudnia 1922 r. Narutowicz odwiedza gmach Zachęty, gdzie ginie z rąk zamachowca.

Pięć dni wcześniej, podczas zaprzysiężenia go na prezydenta, rzesza protestujących skanduje pod Sejmem: „Niech żyje Mussolini”, „Niech żyje włoski faszysta”.

Wydarzenia nad Tybrem rezonowały wtedy nad Wisłą głośnym echem. Zbyt głośnym. © BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Autor, doktor historii, jest pracownikiem warszawskiego IPN. Ostatnio ukazała się jego książka „Ze wsi do miasta. PSL w Warszawie (1945–1947–1949)”.

REKLAMA



MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
Rola chrześcijan
w procesie integracji europejskiej

WOJNA W EUROPIE – JAKA BĘDZIE UNIA EUROPEJSKA?

KRAKÓW / 21-22.10.2022

www.fundacijapieronek.eu



POCZĄTEK
21.10.2022 • 11:00



YouTube

ON-LINE



Facebook



ORGANIZATOR
Fundacja im. bp. Tadeusza Pieronka
Tadeusz Pieronek Foundation
fundacijapieronek@gmail.com



WSPÓŁPRACA



HONOROWY PATRONAT

Prof. Jacka Majchrowskiego
Prezydenta Miasta Krakowa



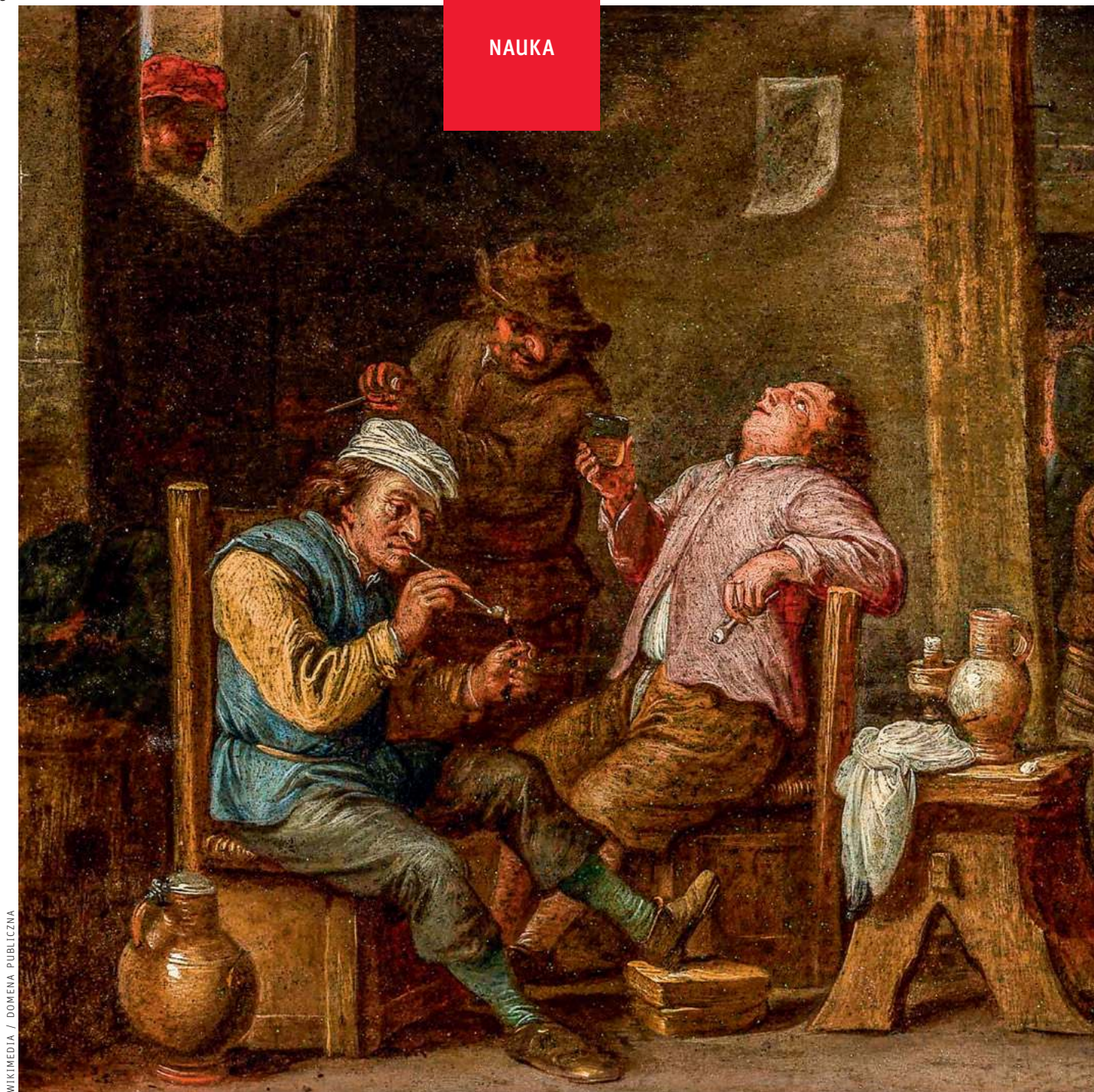
CZTERY SESJE PANELOWE

- » POSTAWY KOŚCIOŁÓW WOBEC AGRESJI ROSJI PRZECIW UKRAINIE
- » SFERA KOMUNIKACJI JAKO POLE WALKI
- » JAK PROCESY MIGRACYJNE ZMIENIAJĄ EUROPE?
- » ROZSZERZENIE UNII EUROPEJSKIEJ?

WYJĄTKOWI GOŚCIE

- » ROBERTA METSOLA / Przewodnicząca Parlamentu Europejskiego
- » EPIFANIUSZ / Metropolita Kijowski / Kościół Prawosławny Ukrainy
- » MARTYNA BILDZIUKIEWICZ / East Stratcom Task Force
- » JAN TOMBIŃSKI / wysoki doradca rządu Mołdawii
- » ELMAR BROK / Centrist Democrat International

GALA NAGRODY im. bpa Tadeusza Pieronka IN VERITATE



WIKIMEDIA / DOMENA PUBLICZNA

AWARIA SIECI

U części pacjentów, którym udar uszkodził pewne obszary mózgu, nieoczekiwanie znikła potrzeba zapalenia papierosa. Czy odkryliśmy obwód odpowiedzialny za powstawanie uzależnień?

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

CZUŁEM SIĘ, JAKBY BOMBA WYBUCHŁA w mojej głowie, a ktoś wbijał mi w prawe oko rozgrzany pogrzebacz”. „Myślałam, że to była kolejna migrena. Przewróciłam się na bok i odkryłam w łóżku obcy przedmiot. To była moja własna odrętwiała dłoń. Próbowalam wstać i przekonałam się, że nie mogę chodzić”. „Kakofonia dziwnych objawów: niewyraźny wzrok, odrętwienie lewej strony ciała i prawej strony głowy, chodziłem jak marionetka, którą ktoś pociąga za sznurki”. To tylko niektóre z opi-



David Teniers Młodszy,
Trzej pijacy w tawernie,
ok. 1650-1670 r.

mogą prowadzić do problemów z pamięcią czy drgawek, zdarza się też, że „wylączają” w mózgu obszary powodujące problemy. Niszczycielski udar może czasem „wyleczyć” pacjenta.

Pod wpływem dopaminy

Badanie przeprowadzone przez fińsko-amerykański zespół, którego wyniki opublikowało w czerwcu „Nature Medicine”, wzięło na cel dwie grupy takich pacjentów. Jedna z nich była leczona w szpitalu Uniwersytetu Iowa, druga na Uniwersytecie Rochester. W obu przypadkach część ofiar udaru bezpośrednio po traumatycznym wydarzeniu zaobserwowała zdumiewającą zmianę we własnym zachowaniu: wydawali się całkowicie wyleczeni z uzależnienia od nikotyny.

Pierwsza z tych grup była już wcześniej przedmiotem badań, ale ich lezje zlokalizowane były w różnych obszarach mózgu, na pierwszy rzut oka niczym ze sobą niezwiązanych. Tym razem, dzięki powiększeniu badanej grupy i pogłębieniu analiz, autorzy publikacji zauważyli coś, co może okazać się kluczem nie tylko do leczenia uzależnień, ale w ogóle do lepszego zrozumienia procesów zachodzących w naszym mózgu.

– Początkowo nie znaleźliśmy żadnego pojedynczego, konkretnego regionu mózgu odpowiedzialnego za to, że doszło do zaniku uzależnienia – mówi „Tygodnikowi” dr Juho Joutsa, neurolog z Uniwersytetu Turku, który kierował zespołem badaczy. – Ale potem przeanalizowaliśmy te dane nowymi technikami opracowanymi kilka lat temu w Harvard Medical School. Nie skupiamy się już na poszczególnych regionach mózgu, a na sieciach, powiązaniach, które są przerywane przez wywołane udarem uszkodzenia. I tu znaleźliśmy coś uderzającego. Odkryliśmy w mózgu obwód, który, jak sądzimy, odpowiada za cofnięcie się uzależnienia u pacjentów – dodaje.

Badania z ostatnich kilkudziesięciu lat pogrzebały – przynajmniej w literaturze naukowej – pogląd, że uzależnienia są czymś dobrowolnym, wynikającym z psychologicznych czy wręcz moralnych wad ich ofiar. Dziś na uzależnienia patrzy się jak na chorobę mózgu. Jednak ustalenie tego, w jaki sposób tworzą się, rozwi-

jają i jak skutecznie z nimi walczyć – to do tej pory okazywało się niezwykle trudne.

Wiemy, że kluczowa w rozwoju uzależnień jest dopamina: neuroprzekaźnik, który jest jednym z czynników w odczuwaniu zmotywowania, pobudzenia i przyjemności. Jest kluczowa dla naszego przetrwania – uwalniana podczas jedzenia czy seksu sprawia, że odczuwamy te czynności jako miłe i chcemy później na nowo im się oddawać. Jest więc zachętą do tego, by robić to, co kluczowe dla życia i przekazywania dalej naszych genów. Bez dopaminy żywe istoty byłyby apatyczne i, zapewne, o wiele rzadsze.

Środki psychoaktywne – nikotyna, alkohol, amfetamina i inne narkotyki – „uprowadzają” nasz system wewnętrznych nagród. Aktywują go, dostarczając mózgowi dodatkowych dawek dopaminy. Z czasem mózg przyzwyczaja się do tych dawek, a pobudzenia naszego organizmu słabną – każdy kolejny kontakt z substancją psychoaktywną wywołuje coraz słabszą reakcję, co z kolei u uzależnionych prowadzi do zwiększania dawki substancji w poszukiwaniu tej samej przyjemności.

Choroby współistniejące

Wydawałoby się, że wystarczy pomajstrować przy tym, jak nasz mózg produkuje i przyjmuje dopaminę, by szkodliwe uzależnienia wytłumić. Ale jak dotąd próby majstrowania przy tym systemie nie przynosiły żadnych rezultatów.

– Wiemy, że dopamina bierze udział w rozwoju uzależnień, ale to tylko pierwszy krok w całej prowadzącej do uzależnienia kaskadzie zjawisk – tłumaczy dr Joutsa. – Wiemy, że dochodzi do zmian w korze czołowej, co prowadzi do obniżenia naszej samokontroli. A także do całej serii innych zmian, wpływających na odczuwanie stresu, reakcje, symptomy depresyjne i inne. W mózgu tworzy się mętnik abnormalnych funkcji, które z czasem przeobrażają się w zaburzenie funkcjonowania całego organu. Kluczowym wyzwaniem dla leczenia uzależnień jest ustalenie tego, które z tych mechanizmów powinniśmy wziąć na cel.

Najprościej byłoby zapewne przeanalizować cały proces od początku. Ale tu naukowcy natrafiają na przeszkodę nie do przeskoczenia. Badania nad uzależnieniami z konieczności prowadzi się na osobach już uzależnionych – często od wielu lat. Destrukcyjne procesy w ich mózgach zazwyczaj są już wówczas bardzo

sów przebiegu udaru mózgu, jakimi dzieła się użytkownicy serwisu Reddit.

Objawy są różne, ale skutki niemal zawsze bardzo poważne. Udar, zazwyczaj spowodowany przez zablokowanie dopływu krwi do mózgu lub krwotok, pozostawia w nim zniszczenia (lezje), które mogą prowadzić do nieodwracalnej utraty czy upośledzenia części jego funkcji. W Polsce co roku udar mózgu dotyka około 80 tys. ludzi. 30 tys. z nich umiera.

Czasami jednak takie uszkodzenia miewają zaskakujące skutki uboczne – choć

→ zaawansowane, co utrudnia ustalenie sekwencji wydarzeń prowadzących do wytworzenia się zaburzenia.

– Do tego dochodzą jeszcze inne czynniki wpływające na tych ludzi, takie jak izolacja społeczna czy rozmaite choroby współistniejące. Więc kiedy widzisz coś na skanach ich mózgów, nie masz pojęcia, czy to ma kluczowe znaczenie dla rozwoju uzależnienia – mówi neurolog. – Nie wiesz, czy wzięcie na cel danego systemu da istotne korzyści terapeutyczne. To duże wyzwanie. Ale poudarowe zmiany mogą być odpowiedzią.

Obwód uzależnienia

Badanie, którym kierował dr Joutsa, polegało na zaawansowanej analizie statystycznej skanów mózgów palaczy, którzy przeszli udar. Spośród 129 badanych osób, 34 rzuciły palenie niemal natychmiast po udarze. Analiza innych czynników, które mogły wpłynąć na zmianę nawyków – np. spowodowane udarem zmiany inteligencji czy nastroju – nie wykazała, że to one odpowiadają za zanik uzależnienia.

Wykonane wcześniej skany mózgu pacjentów, którym później przyjrzał się zespół prof. Joutsy, wskazywały na możliwe powiązanie zaniku uzależnienia z uszkodzeniami wyspy – obszaru o kształcie piramidy, czasem uznawanego za głębiej położony, „piąty płat” mózgu. Ale związek był dość słaby – u wielu pacjentów wyspa pozostała nietknięta. Naukowcy sięgnęli więc po diagramy połączeń mózgu, które pokazują, jak aktywność w jednym regionie jest skorelowana z aktywnością w innych częściach.

– Wszystkie funkcje mózgu opierają się na obwodach i sieciach. Jeśli jakaś sieć zostanie uszkodzona, to funkcjonalność, którą ta sieć umożliwiała, znika, niezależnie od konkretnego miejsca uszkodzenia – mówi dr Joutsa.

Badaczom udało się w końcu znaleźć sieć połączonych struktur mózgu, która ma związek z powstawaniem uzależnień. Jak to się jednak dzieje, że pod wpływem uszkodzeń tej sieci może zaniknąć uzależnienie – jakie biologiczne procesy za to odpowiadają? Tego ciągle nie wiemy.

– Być może „awaria sieci” zmniejsza przyjemność czerpaną z substancji psychoaktywnych. Może zmniejszać lub zwiększać naszą zdolność do opierania się pokusom. Może łagodzić objawy depresji. To wiele indywidualnych mecha-

Badania z ostatnich dekad
pogrzebały pogląd,
że uzależnienia są czymś
dobrowolnym, wynikającym
**z psychologicznych
czy wręcz moralnych
wad ich ofiar.**

nizmów, które delikatnie dostrajają bardzo złożony system mózgu – odpowiada dr Joutsa.

Publikacja z „Nature Medicine” skupia się na uzależnieniu od nikotyny, ale istnieją przesłanki, by sądzić, że ten sam obwód może odpowiadać za inne nałogi. Po porównaniu własnych danych z wynikami wcześniejszych badań zespół dr. Joutsy doszedł do wniosku, że podobny profil sieciowych uszkodzeń mózgu zmniejsza m.in. ryzyko popadania w alkoholizm.

Oczywiście, nie każdy jest podatny na nałogi w równym stopniu – i nie u każdego zidentyfikowany obwód działa tak samo. Dlaczego? Tego też jeszcze nie wiadomo. Opublikowane w lipcu w „Molecular Psychiatry” badania uczonych z Uniwersytetu Północnej Karoliny wskazują jednak na genetyczne podstawy skłonności do uzależnień.

Zespół kierowany przez genetyczkę dr Hyejung Won zidentyfikował geny, które częściej aktywują się w pewnych neuronach u nałogowych palaczy i osób częściej zażywających alkohol. Część z tych genów ma także powiązania z innymi procesami i reakcjami – m.in. percepcją bólu, stresem, uczeniem się, przyjmowaniem pożywienia i innych substancji psychoaktywnych. Większość tych genów znajduje się jednak w takich obszarach DNA, które nie kodują żadnych białek. Nie wiemy więc, jakie procesy biologiczne odpowiadają za związane z nimi efekty.

Płytki stymulacja

Odkrycie przez zespół dr. Joutsy obwodu odpowiadającego za powstawanie – i zanikanie – uzależnień może ułatwić poszukiwanie celów, które lekarze powinni atakować przy pomocy istniejących i dopiero opracowywanych terapii. Jedną z nich jest tzw. przeczaszkowa stymulacja magnetyczna (TMS), polegająca

na pobudzaniu lub wygaszaniu aktywności komórek nerwowych przy użyciu pól magnetycznych. Metoda ta została już zaaprobowana przez amerykańskie FDA do leczenia uzależnienia od nikotyny.

– Ta metoda miała w zamyśle stymulować neurony w wyspie, ale z różnych analiz wynika, że nie może ona sięgać tak głęboko – mówi dr Joutsa. – Może za to wpływać na położone dużo bliżej powierzchni obszary mózgu, które pokrywają się ze zidentyfikowanym przez nas obwodem. Nasze wyniki mogą pomóc dopracować takie dostępne już, ale niezbyt skuteczne terapie. Być może za kilka lat będziemy mieć dobre narzędzia do leczenia uzależnień.

Jakie metody terapii stosowane są dzisiaj?

– Mamy podejścia farmakologiczne, biorące na cel poszczególne neuroprzekazniki, mamy tzw. głęboką stymulację mózgu, która w pewnym stopniu naśladuje efekty udarowych uszkodzeń, ale nie w sposób trwały. W tej metodzie wszczepia się do mózgu elektrody, które przejściowo zakłócają działanie neuronów w danej lokalizacji. Opracowanie nowych podejść czy nowych narzędzi zajmuje zwykle co najmniej 5-10 lat, ponieważ badania muszą uwzględniać próby kliniczne, podczas których identyfikuje się wszelkie możliwe skutki uboczne – tłumaczy dr Joutsa.

Odkrycie jego zespołu może mieć zresztą szersze zastosowanie. Stworzenie sieciowych modeli – takich jak ten opracowany przez Joutsę – dla innych chorób może pomóc w stworzeniu terapii dla kolejnych pacjentów neurologicznych. Kluczowe znowu może okazać się badanie mózgow po udarach.

– Nie ma ograniczeń w tym, do czego jeszcze moglibyśmy zastosować to samo podejście – zapewnia fiński neurolog. – Możemy myśleć o leczeniu objawów parkinsona, dystonii, depresji, jedynym ograniczeniem jest to, że musimy znaleźć odpowiednich pacjentów do analizy. Niestety takie przypadki są rzadkie, więc potrzebujemy globalnej inicjatywy zbierania danych, by systematycznie identyfikować cele terapii różnych zaburzeń.

Jest więc nadzieja, że cierpienie ofiar udarów nie pójdzie na marne. I nauczy nas czegoś o tym, w jaki sposób ulżyć milionom ofiar neurologicznych schorzeń. Nie tylko uzależnień.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

JACEK

Podsiadło: Jenoty



TEJ NOCY UKRAINA NIE SPAŁA. OD DAWNA już nie śpi normalnie, ale to był pierwszy raz, kiedy nie mogła zasnąć ze szczęścia. Wiadomości podawano sobie tak, jak samice niektórych gatunków przekazują pokarm potomstwu: z ust do ust. Smartfony nie mogły dośpiewać do końca swoich sygnałów, ucinanych po pierwszych taktach jak w teleturniejach, w których trzeba odgadnąć, jaka to melodia. Nikt nie miał melodii do spania. Ludzie chcieli rozmawiać. Grzały się internetowe łąca. Powstały pierwsze memy na temat pechowców, którzy lekkomyślnie poszli już spać i ominie ich całe to świętowanie. Tak bym sobie wyobrażał dzień końca wojny, gdyby wojny dawało się jeszcze skończyć w jeden dzień. Koło północy padły pierwsze nazwiska, pojawiły się pierwsze filmiki. Wałentyna nie mogła spokojnie usiedzieć przy ajfonie. Nośiła ją, chodziła w kółko po kuchni, ale nie chodziła normalnie, tylko skakała, śmiała się i popiskiwała. Psy zachowują się podobnie, kiedy ich człowiek wraca po dłuższej nieobecności. Po prostu nie mieszczą się w sobie, z radości chciałyby pęknąć.

Nikt się nie spodziewał tak szybkiego uwolnienia obrońców Azowstału.

Kiedy Wałentyna ostatni raz widziała się z Hrystynką i Wiktorą, miała na sobie kolorowe skarpetki. Były tam narysowane czy wyszyte jenoty. Jeśli Wałentyna poruszała palcami stóp, jenoty ożywały. Przez całe spotkanie, kiedy Wałentyna o nic nie pytała, a Hrystynka nic a nic nie płakała, Wiktorą wpatrywała się w jenoty. Oglądała je ze wszystkich stron. Rozmawiała z jenotami w ich języku. Głaskała je. Była oczarowana, a to jest stan bliski zaczarowania. Wałentyna była gotowa oddać jej skarpetki, ale nie były to przecież skarpetki na nóżki dwulatki. A jenoty na nieużywanych, leżących na półce skarpetach to martwe jenoty.

Nie było łatwo, ale po wielu dniach poszukiwań udało się zamówić przez internet trzy pary skarpet z jenotami. Duże dla Hrystynki, bardzo duże dla Jury, małe dla Wiktorki. Wałentyna już je spakowała do ładnej torebki i czekała na okazję do wręczenia. Hrystynka od dawna jest gotowa na powrót Jury. Wszystko ma przygotowane, wszystko. Najładniejsza sukieneczka Wiktorki wisi w szafie. Zapas skarpet na sto lat. Bukiet kwiatów. Kiedy jeden przywieździe, zaraz zamawia następny.

To nie przestaje być dziwne, że los Jury i mnie zajmuje. Nie wiem, jak wygląda, ale też go wypatruję wśród wylaniających się z krzaków, ślaniających się i podtrzymujących wzajemnie, całujących ziemię widm. Gdyby nie wojna, byłby dla mnie nikim. Nie mielibyśmy szansy się spotkać. Nie chodzę na mecze i on na spotkania literackie też nie. Śpieszmy się lubić ludzi, już ledwie kuśtykają.

Tylko dla nas uwolnienie bohaterów Azowa nastąpiło „szybko”. Dla nich i dla ich rodzin to była wieczność. Już sama obrona huty trwała niemożliwie długo. Potem trafili do niewoli. Nie wiadomo, gdzie ich trzymali. Potem zbombardowano obóz filtracyjny w Ołeniwce i dopiero przy tej okazji wyszło na jaw, że niektórzy tam właśnie zginęli. Kiedy myśmy tu czytali, że „ruszył proces odzyskiwania ciał ukraińskich wojskowych, którzy zginęli wskutek ostrzelania obozu w Ołeniwce”, że są torturowani, że większość uwolnionych teraz „ma ostrą anoreksję”, Hrystynka też czytała to wszystko i tysiąc razy więcej. Był czas, że docierały do niej wiadomości od męża, ale potem ustały. Jury nie ma wśród uwolnionych i już nad ranem wspaniały nastrój Wałentyny zmienił się w kolejny odcinek żałoby.

Nad ranem do borsucznych nor przyszły jenoty. Trwało to długo, bo zwierzęta nie przychodzą z wizytą na chybcika. Najpierw jenoty kręciły się po okolicy, a jeden borsuk wystawiał nos z nory, ale nie wylazł z niej. Chyba coś mu nie pasowało. Potem powolutku, metodą na krzywy ryj, jenoty wtaraśniały się do jednej z dziur, a borsuki wyszły tylnym wyjściem, ale nie uciekały w panice, były tylko lekko zdziwione. Obejrzałem ten długi film z kamery-pułapki, żeby sobie przypomnieć, jak wyglądają jenoty, a jak inne zwierzęta. Bo zawiązała się dyskusja, czy jenoty to na pewno jenoty. Czy to czasem nie szopy, które jako prace bardziej by się nadawały na skarpety. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **BIELSKO-BIAŁA**, czwartek 6 października, spotkanie z Piotrem Kenigiem, „Dwa miasta – jedna historia. O dziejach Bielska-Białej” / stacjonarne /
- **ZŁOTÓW**, czwartek 6 października, spotkanie z ks. Andrzejem Szostkiem, „Czy możliwa jest zgoda w polskim życiu publicznym i... w polskim Kościele?” / stacjonarne /

- **TRÓJMIASTO**, piątek 7 października, spotkanie z Piotrem Jaconiem, „Wszystko o moim życiu” / hybrydowe /
- **KATOWICE**, środa 12 października, spotkanie z prof. Alicją Ratuszną, „Światłoterapia – nowe możliwości leczenia chorób nowotworowych” / hybrydowe /

REZERWUJ
ZAS!

KLUBYTYGODNIKA.PL

STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZAWięcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



ARCHIWUM UMWW x2

W oficjalnym otwarciu jadłodzieln w Budzynie, powiat chodzieski, uczestniczyli (od prawej): Krzysztof Grabowski – wicemarszałek Województwa Wielkopolskiego, Edyta Radwańska – kierownik Dziennego Domu Pomocy Społecznej w Budzynie, Piotr Jankowski – zastępca burmistrza Miasta i Gminy Budzyna oraz Tomasz Kaczuba – prezes Zarządu Powiatowego PSL w powiecie chodzieskim.

WIELKOPOLSKA OSZCZĘDZA. TU SIĘ NIE MARNUJE JEDZENIA!

Szalejąca inflacja i wszechobecna drożyzna zmuszają wielu Wielkopolan do zweryfikowania wydatków w ramach swojego domowego budżetu. Wszystkich trapi pytanie, gdzie można zaoszczędzić? Jedną z odpowiedzi jest unikanie marnowania jedzenia. W ten sposób można kupić mniej lub przekazać innym to, czego się ma w nadmiarze.

Z danych statystycznych wynika, że marnowanie żywności jest problemem powszechnie znanym, ale wciąż pozostającym w niszy zagadnień, z którymi nie podejmuje się skutecznej walki. Europejczycy trwonią 88 milionów ton jedzenia rocznie, czyli 173 kg na osobę. Polska wśród krajów Unii Europejskiej zajmuje 5. miejsce, natomiast w przeliczeniu na liczbę mieszkańców oszacowano, że ilość marnowanej żywności wynosi nawet 7-9 milionów ton rocznie, czyli ok. 238 kg na osobę. W krajach zachodnich skala ta jest większa wśród konsumentów, w Polsce z kolei głównym źródłem marnowania jest branża spożywcza.

Samorząd Województwa Wielkopolskiego dostrzegł problem marnowania i strat żywności dużo wcześniej, bo walka z marnotrawstwem żywności została zapisana w „Strategii rozwoju województwa wielkopolskiego do 2030 roku” uchwalonej w styczniu 2020. Konsekwentnie rok później, w sierpniu 2021, Zarząd Województwa uchwalił „Program ograniczania marnotrawstwa i strat żywności w Wielkopolsce na lata 2021-2025” i od razu przystąpił do jego wdrażania.

- Już w drugiej połowie ubiegłego roku zostały przeprowadzone trzy konkursy dotacyjne, w tym dwa dla organizacji pozarządowych.

Wszystkie zadania realizowane w ramach tych konkursów miały na celu ograniczanie marnowania żywności. Dzięki wsparciu finansowemu Samorządu Województwa w wysokości ponad 83 tysięcy złotych w roku 2021 w Wielkopolsce powstało 6 jadłodzeln: w Sulmierzycach, Swarzędzu, Trzciance, Budzynie, Luboniu i Szamotułach – wylicza Krzysztof Grabowski, wicemarszałek Województwa Wielkopolskiego.

W roku bieżącym takich jadłodzeln powstanie jeszcze 14, w tym kolejne dwie w Swarzędzu i Szamotułach, co świadczy o tym, że takie punkty są potrzebne mieszkańcom Wielkopolski. Kolejne lokalizacje nowych jadłodzeln to: Wągrowiec, Kępno, Dopiewo, Oborniki, Rawicz, Stupca, Rogoźno, Zduny i Leszno. Jadłodzielnie to punkty, w których ludzie dzielą się żywnością zdatną do spożycia, czyli ci, którzy zakupili lub ugotowali za dużo, zostawiają żywność dla wszystkich innych, którzy mają na nią ochotę. W takiej jadłodzielni powinna być wstawiona witryna chłodnicza dla produktów wymagających ciągu chłodniczego i regał na warzywa, owoce czy opakowane produkty sypkie, jak kasza, makaron albo mąka. Zasady korzystania z jadłodzeln są proste, zdroworozsądkowe i wyraźnie opisane na plakatach. Informują one, jakie produkty można przynieść, a jakich nie wolno tam wkładać. Jadłodzielnie są dla wszystkich mieszkańców, nie tylko tych wymagających wsparcia żywnościowego. Pozwalają na dalszą redystrybucję żywności, aby się nie zmarnowała.

- Samorząd Województwa przeznaczył w tym roku ponad 290 tysięcy złotych na dofinansowanie utworzenia takich punktów ratowania żywności poprzez dzielenie się nią z innymi – wyjaśnia



wicemarszałek Krzysztof Grabowski. – Oprócz samorządów lokalnych, również jedna organizacja pozarządowa z Poznania podjęła się zadania utworzenia takiej jadłodzielni w stolicy regionu. Dotacja w tym przypadku wyniosła 25 tysięcy złotych.

Aby odpowiednio mądrze planować i robić zakupy, a potem wykorzystać wszystkie zgromadzone produkty, konieczna jest edukacja. I to od najmłodszych lat. Dwa lata temu Organizacja Narodów Zjednoczonych wyznaczyła 29 września jako Międzynarodowy Dzień Świadomości o Stratach i Marnowaniu Żywności, potocznie zwany Światowym Dniem Walki z Marnowaniem Jedzenia. Stał się on okazją do promocji gotowania bez marnowania jedzenia w Wielkopolsce. W ubiegłym roku w tym dniu w kilku lokalnych i regionalnych stacjach telewizyjnych wyemitowany został program kulinarny „Gotowanie bez marnowania” z Grzegorzem Łapanowskim i Sylwią Majcher jako prowadzącymi. Jego produkcję i emisję zlecił Samorząd Województwa Wielkopolskiego w ramach realizowanego Programu. Ponadto na trwających w tym okresie Smakach Regionów odbyły się pokazy kulinarne dla uczniów wielkopolskich szkół z klasami gastronomicznymi, prowadzone przez innego znanego kucharza, Łukasza Konika, o tym, jak wykorzystywać nadmiarowe produkty w kuchni.

■ Na tegorocznych Smakach Regionów w Poznaniu również gościliśmy uczniów, którym podobnie jak w roku ubiegłym Samorząd Województwa zapewnił transport z różnych części Wielkopolski – mówi wicemarszałek Krzysztof Grabowski. – W tym roku pokazy kulinarne, jak gotować i nic nie marnować, prowadził Kurt Scheller, a w pokazach uczestniczyło blisko 600 uczniów ze szkół o profilu gastronomicznym z Poznania, Ostrzeszowa, Rawicza, Piły, Kalisza, Wrześni, Krotoszyńska i Liskowa.

Należy podkreślić, że edukację do tego, jak nie marnować produktów spożywczych i tworzyć posiłki z tego, co się ma w lodówce, prowadzi na co dzień banki żywności.

Z Samorządem Województwa Wielkopolskiego od kilkunastu lat współpracuje Wielkopolski Bank Żywności, realizując zadania strategii województwa na rzecz niemarnowania żywności, ograniczenia strat i edukacji zero waste.

■ Dzięki otrzymanym środkom finansowym z budżetu Województwa Wielkopolskiego udało się zwiększyć skalę pozyskiwania i dystrybucji żywności zagrożonej zmartowaniem, zakupić mobilną kuchnię warsztatową z wyposażeniem oraz dofinansować transport żywności do organizacji i instytucji współpracujących z WBŻ z terenu województwa. Jest to nieoceniona pomoc w naszej codziennej działalności. Dla nas misją jest zapobieganie marnowaniu żywności, pomoc żywnościowa i edukacja – mówi Katarzyna Bielawska, dyrektor Wielkopolskiego Banku Żywności w Poznaniu. – Dane szacunkowe potwierdzają, że najwięcej żywności marnuje się w gospodarstwach domowych. Dzięki edukacji oraz wielosektorowemu partnerstwu możemy zmienić nasze nawyki, przyzwyczajenia i żyć zgodnie z zasadą zero waste.

W Polsce funkcjonują 32 banki żywności, tworzące Federację Polskich Banków Żywności, czyli wspólnotę niezależnych organizacji pozarządowych o statusie stowarzyszenia lub fundacji. Trzy z nich aktywnie działają w Wielkopolsce i one również w ramach otwartego konkursu ofert otrzymały wsparcie finansowe o łącznej wartości 150 tysięcy złotych na zakup sprzętu: mobilnych kuchni warsztatowych do prowadzenia pokazów, instruktaży i warsztatów dla osób potrzebujących wsparcia żywnościowego, jak i wszystkich mieszkańców regionu uczestniczących w różnych wydarzeniach przez nie organizowanych. Taki konkurs dotacyjny na mobilne kuchnie warsztatowe został ogłoszony i rozstrzygnięty także w roku 2022.

■ Bank Żywności w Koninie od 26 lat walczy z marnowaniem jedzenia. Możliwe jest to dzięki wsparciu Samorządu Województwa Wielkopolskiego, głównie na pokrycie rosnących kosztów transportu



W pierwszym kwartale 2022 roku powstała kolejna jadłodzielnia w Szamotułach. Inicjatywa od razu spodobała się mieszkańcom, którzy chętnie i hojnie dzielą się żywnością.

żywności uratowanej przed zmartowaniem. Dodatkowo dzięki zakupionej za środki pozyskane z Samorządu Województwa kuchni mobilnej możemy na imprezach plenerowych edukować na szeroką skalę społeczeństwo, jak nie marnować żywności. Prowadzone w ten sposób warsztaty są atrakcyjną formą edukacji, z którą docieramy do różnych grup społecznych w lokalnych społecznościach. Uczestnicy warsztatów z zainteresowaniem uczą się, co smacznego można przygotować z produktów, których często nie umiemy wykorzystać – mówi Joanna Piekarczyk, dyrektor konińskiego Banku Żywności.

Na doposażenie organizacji pozarządowych w narzędzia ułatwiające prowadzenie działań edukacyjnych w zakresie gospodarowania dostępnym jedzeniem i uczenia zaradności życiowej w zakresie żywienia siebie i rodziny została zabezpieczona w budżecie Województwa Wielkopolskiego pula środków w wysokości 250 tysięcy złotych. Wnioskowana kwota dotacji w ramach jednej oferty wynosiła od 3 do 15 tysięcy złotych, ale nie więcej niż 80 procent całkowitego kosztu zadania.

Ważnym elementem ograniczania marnotrawstwa i strat żywności jest przekazywanie produktów wycofanych ze sprzedaży ze sklepów i od producentów do organizacji pozarządowych oraz dalej, wprost lub poprzez współpracujące organizacje lokalne, do potrzebujących.

■ I tutaj pojawia się problem, który wbrew pozorom nie dotyczy braku żywności, ale braku środków na koszty transportu związane z jej odbiorem i rozwożeniem po Wielkopolsce – wyjaśnia wicemarszałek Województwa Krzysztof Grabowski.

Otwarty konkurs ofert na transport żywności uratowanej przed zmartowaniem ogłaszany jest przez Samorząd Województwa od trzech lat. W tym roku w kosztach kwalifikowalnych uwzględnione zostały dodatkowo wydatki związane z magazynowaniem jedzenia, jak choćby koszty energii. Sześciu organizacjom pozarządowym działającym na terenie Wielkopolski została przyznana dotacja na łączną kwotę 200 tysięcy złotych.

DAM WAM SPOKÓJ

MARIA PESZEK:

Byłam pyszna krzycząc,
że wystarczy przestać wierzyć w Boga,
żeby odzyskać siebie.
Tak, to była moja droga, ateizm dał mi siłę.
Ale to było zbyt duże uproszczenie. I arogancja.
Artyści nie mają patentu na to,
jak ratować Polskę.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Zaczniemy od litanii „Ave Maria” otwierającej Twoją ostatnią płytę: „Jestem dziewczyną lat 47. Myślałam, że wiem więcej, a jednak nie wiem. W żadną z szuflad się nie mieszczę, ale też się już nie pieszczę. Zwijam flagi, transparenty, palę mapy, burzę mosty. Już nie krzyczę. Myślałam, że będzie trudniej...”. Jak jest?

MARIA PESZEK: Dzisiaj? Bardzo dużo się zmienia. Nie jestem tylko pewna, czy to kwestia połowy życia, gdy zbliżasz się do pięćdziesiątki, czy te przemiany są po prostu rytmiczne, seryjne – jak fale. Coś nadciąga. Na początku tego nie słyszysz, bo to są ciche podszpty, gdzieś z samego środka ciebie. Czasem nie chcesz ich usłyszeć albo się boisz. Ale jak się zdecydujesz na odwagę i naprawdę się wsluchasz, to może się okazać, że stoisz naprzeciw sztormu, a potem fala na chwilę cię przykrywa.

Maria Peszek jest w takim miejscu cyklicznie, ale chyba każdemu zdarza się od czasu do czasu zapuszczać w boczne i ciemne odnogi życia, a nawet ugrzęznąć w nich na trochę.

Warto tam posiedzieć?

Ktoś mnie kiedyś nazwał konserką katastrof i było w tym sporo racji (*śmiech*). Patrzę na katastrofę jak na niezbędny element oczyszczający, stwarzający.

Ja chyba zresztą katastrofy indukuję, bo pracując bardzo dużo regularnie doprowadzam do kompletnego wyczerpania ciała i głowy, sama siebie nadużywam. Ale rozpoznaję już te momenty, przestałam z nimi i ze sobą walczyć. Wiem, że prędzej czy później nastąpi kolaps – choroba, załamanie albo po prostu przerwa, w której będę musiała zająć się sobą, odbudować. Katastrofa to reset, formatowanie dysku. Jak pada komputer, najpierw wpadamy w panikę, że wszystko przepadło. A potem się okazuje, że to, co najważniejsze, zawsze da się odtworzyć, a odtwarzanie porządkuje.

Co sobie ostatnio uporządkowałaś?

Wyprowadziłam się z Edkiem, moim chłopakiem, z miasta. Przyroda, która jest mi absolutnie niezbędna do tego, żeby się regenerować, jest teraz blisko. W związku z tą zmianą mam także postanowienie, by bardziej żyć,





DAWID GRZELAK / MATERIAŁY PRASOWE

a mniej pracować. Jeśli uprawia się zawód służebny, skoncentrowany na dawaniu siebie innym, to chyba szybciej przychodzi konieczność zajęcia się sobą, zaopiekowania swoimi potrzebami. Oczywiście to nie jest wcale takie proste powiedzieć sobie „teraz czas na mnie”, szczególnie w przypadku kobiety wychowanej w kulturze, która oczekuje od niej bycia „służebnicą”. Dlatego też to postanowienie podejmuję cyklicznie, a wychodzi różnie.

Lubisz cytować Krystiana Lupe, który powiedział, że artysta jest jak zwierzę domowe: żyje mniej więcej piętnaście lat.

A potem musi urodzić się na nowo. Uwielbiam to sformułowanie, bo jak patrzę wstecz, to moje życie zawodowe tak właśnie jest skonstruowane: najpierw przez wiele lat aktorstwo, potem od 2005 roku śpiewanie i tworzenie muzyki... Wynika ewidentnie z wyliczeń, że czas teraz na kolejną zmianę. Tyle że ja nie chcę być do końca życia artystką. Choć mój ojciec planuje umrzeć na scenie i kropka. Myślę, że różnica między nami bierze się stąd, że w pewnym sensie jestem po prostu od niego starsza (*śmiech*). On jest młodą duszą, ja starszą i chciałabym dać sobie więcej życiowej przestrzeni. Tylko nie mogę tego zrobić tak, jak się wyciąga wtyczkę z kontaktu – do tego trzeba się porządnie przygotować. Nie gram już na przykład stu koncertów w roku, ale zmniejszam tę liczbę stopniowo. Oczywiście, teraz jest trudna sytuacja ekonomiczna, polityczna, więc Maria Peszek nie mogłaby tak czy owak grać tak często i dużo ostatniej płyty jak poprzednich, ale w gruncie rzeczy odpowiada mi to. Czas na nowe otwarcie.

Otwarcie na co?

Pociąga mnie pisanie, a na pewno ten rodzaj długofalowego skupienia związany z pisaniem, ograniczenie ekspresji, która jest niezbędna podczas koncertów, performowania. Ludzie przychodzą do mnie na koncerty po atomową energię, a ja na razie nie jestem w stanie znaleźć innego sposobu artykułowania siebie na scenie niż właśnie taki. Ekstremalnie energetyczny. Nawet jeśli założę, że moje występy będą mniej angażujące, to za-

wsze jest to rodzaj szamaństwa. A pisanie wymaga czegoś innego. Kompletnego wycofania.

To się w ogóle da zrobić?

W domu, który zbudowaliśmy z Edkiem, jest taka przestrzeń – miejsce z osobnym wejściem, wyabstrahowane z reszty domu, w którym panuje kompletna cisza, taka moja gawra. Gdybym mogła, nie wychodziłabym stamtąd i została radykalną pustelnicą, która coraz mniej i rzadziej je, żyje bez prądu... „Walden, czyli Życie w lesie” Henry’ego Davida Thoreau był dla mnie wstrząsającą lekturą – nigdy później nie miałam już tak intensywnych przeżyć czytelnicy. Taka radykalność ogromnie mnie pociąga. Myślisz, że to eskapistyczne?

Nie wiem, czy eskapistyczne, ale czy nie utopijne? Najchętniej słuchana polska raperka zostanie pustelnicą?

Rap też jest radykalnym środkiem wyrazu, ale żeby być skuteczną raperką, trzeba swoją wrażliwość włożyć w tajną przegródkę, a używać głównie „bezczelu”. To jest bardzo energochłonne. Mnie jest chyba bliżej *punk poetry* albo *spoken word*. W tym ostatnim marzyłabym, żeby zbliżyć się do jakości Kae Tempest.

Ale śpiewasz o sobie właśnie „radikal bezzcel”.

Zmęczylam się. Robienie takich totalnych projektów jak album muzyczny jest mało opłacalne na wielu poziomach – przede wszystkim energetycznym, o którym rozmawiamy. Ludzie nie potrzebują dziś concept albumów, nie kupują płyt, ja też nie kupuję płyt, bo nie ma jak ich słuchać. Stwarzanie światów składających się z kilkunastu utworów jest zbyt kosztowne i nigdy się nie zwraca, również finansowo – a to świadczy prawdopodobnie o tym, że odbiorcy mają inne potrzeby niż kiedyś. Pragną szybkich strzałów. Natychmiastowych emocji.

I co z tym zrobić?

Z uporem maniaka wierzę w sens większej całości. I głębi. Dlatego książka. Chciałam zrobić coś, w czym ludzie mogliby się ogrzać, żeby to było krzepiące, czułe, żarzące się w mroku. Coś, co będzie azymutem, przyniesie ulgę. Chciałabym też ludziom powiedzieć, że nieważne, jak trudne i niestandardowe są relacje, które tworzymy, one mogą być źródłem naszej ➔

→ siły. Chciałabym ośmielać – że nie ma niczego złego w gadaniu z bardzo bliskimi osobami o bardzo intymnych sprawach. Takie są nasze rozmowy z Janem. O tym jest moja książka.

Czy na te decyzje i nowe plany miała wpływ pandemia?

Tak, zadałam sobie wtedy pytanie, czy to, co robię, w ogóle ma sens. Czy takiej ilości śmierci wokół, takiej skali nadużyć, manipulowania emocjami, któremu podlegaliśmy, czy sztuka, która jest bardzo delikatnym bytem, może się temu wszystkiemu przeciwstawić? To był dla mnie interesujący czas obserwowania, jak katastrofa resetuje wszystko – moje poglądy, relacje. Jak relatywizuje sens uprawiania sztuki. Wydawało mi się, że bycie artystą jest w takich momentach aroganckie.

Pamiętam długą rozmowę telefoniczną z tatą, która tego dotyczyła. To był moment totalnej izolacji, nie mogliśmy się spotkać, rodzice byli chorzy. Oni w Krakowie, ja w Warszawie, duży strach – co będzie. Rozmawiamy z Janem i mówię: „Wiesz, mam taki fantastyczny pomysł, zanurzam się w pracę. Zamknę się, nic mnie nie będzie rozpraszać, będę gotować zupy mocy, robić płytę i pisać książkę – wszystko naraz”.

I co na to Jan?

„Dziecko, to nie jest czas na tworzenie, tylko na ładowanie baterii, bo dopiero jak to się skończy, będzie nam potrzebna siła”. Oczywiście nie posłuchałam jego mądrości i proroczej porady. Zanurzyłam się w pracę, kompletnie się wyczerpałam i rozchorowałam.

Na pełnym odludziu robiliśmy wtedy płytę „Ave Maria” i przeprowadziliśmy tam z producentem, Kamilem Paterem, mnóstwo rozmów właśnie na temat tego, po co my to w ogóle robimy. Odpowiedź, jaką natychmiast dla siebie znalazłam, była taka, że sztuka przynosi ukojenie, porządkuje strachy albo przynajmniej je minimalizuje. Sztuka jest szczytą, elementem organizującym. Stwierdziliśmy, że naszą misją – jakkolwiek patetycznie to zabrzmie – jest dawanie ludziom światła, rozjaśnianie mroku.

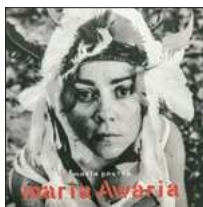
Powiedziałaś, że tę płytę i tamten czas organizowało Ci pojęcie „rezyliencji” oznaczające zdolność do

TRZY WCIELENIA MARII PESZEK



■ Agafia Tichonowna w „Ożenku”
Mikołaja Gogola (2002)

W spektaklu Teatru Telewizji o względy Agafii rywalizują Jajecznicza (Krzysztof Globisz), oficer marynarki Żewakin (Jerzy Trela) i oficer piechoty Anuczkina (Jan Peszek). Nieoczekiwanie wygrywa Podkolesin (Zbigniew Zamachowski), najbardziej niezdecydowany spośród zalotników. Za rolę kupieckiej córki na wydaniu Maria Peszek otrzymała wyróżnienie na soapkim festiwalu Dwa Teatry. Spektakl wyreżyserował Jerzy Stuhr.



■ Gejsza bez kimono
w „Marii Awarii” (2008)

W niecały tydzień od premiery nagrany z Andrzejem Smolikiem i Michałem „Foksem” Królem album zyskał status złotej płyty. Nagrodzony za „śmiałość i oryginalną koncepcję języka” Paszportem „Polityki” początkowo miał nosić tytuł „Bezwstydnik do słuchania”. Od tej pory formalne zestawienie litanii, jakim często posługuje się Peszek, oraz erotyki – które wypełniają jej piosenki – stanie się znakiem rozpoznawczym artystki.



■ Córka Jana
w „Naku*wiem zen” (2022)

Rodzinny album i zapis nagrywanych przez kilka lat rozmów z ojcem, Janem Peszkim, o dzieciństwie, rodzinie, życiowych kryzysach, pracy i sztuce, dla których punktem wyjścia jest wyznanie bezradności.

regeneracji, odzyskiwania straconych sił.

Tak, rezyliencja na tej płycie wzięła się stąd właśnie. Byliśmy wszyscy w procesie odkształcania spowodowanego pandemią, teraz mi się wydaje zresztą, że ono cały czas trwa. Doginanie, napinanie ludzkich wytrzymałości przez wojenne strachy, strachy gospodarcze, strach nienawiści, który jest paliwem polityki i którego cynicznie używają rządzący.

Wtedy wydało nam się, że to jest superproste: my, artyści, mamy przynosić ulgę. A z czego była skonstruowana Maria Peszek? Z buntu, krzyku, taraszenia ludzi, wytrącania ich z wygodnych, mieszczańskich czy hipsterskich egzystencji, ze wskazywania, że „hej, w życiu także o coś innego chodzi”, „musimy walczyć”. Ale Maria Peszek już to wszystko robiła. W książce chcę ją pokazać inną. Daję jej szansę być słabą. Nawet jeśli ludzie powiedzą: o, miała być twardzielką, a skamle, że jej źle.

Twardzielka, która idzie do ojca po mapę i kompas, pyta faceta: „Co robić, jak żyć?”

Prawda? Wow, Maria Peszek kogoś potrzebuje! Wrzeszczała, krzyczała, a tu nagle stoi rozkraczona i bezradna. Przychodzi do ojca i mówi: niczego już nie wiem i nie mam siły, ratunku.

Co dostałaś od ojca?

Najważniejsza jest umiejętność podnoszenia się. Z nami Peszkami jest tak, że znój życia i cierpienie wnikają absolutnie w każdą naszą tkankę, chłoniemy je każdą komórką ciała. Potem następuje kryzys, zapaść, rozpacz – zazwyczaj to jest ekstremalne. A potem jest taki moment – też umiem już go w sobie rozpoznać – jakby człowiek zaczął wydostawać się spod lodu, roztrzaskujemy głową taflę. Jest się poranionym, ale się z tego kryzysu, z tej zapaści wychodzi. I jest się znowu wolnym. Kocham tę cechę, tę moc. Co jeszcze? Poczucie humoru, takie po bandzie, abstrakcyjne. Etos pracy. Praca jest świetnym narzędziem radzenia sobie z rzeczywistością.

Jakie jest Twoje pierwsze wspomnienie z Janem? Z plaży.

Patrzysz na rodziców i boisz się, że utoną.

Miałam dziewięć miesięcy, to bardzo wczesne wspomnienie. Pamiętam strach i potrzebę ochrony rodziców, która na zawsze ze mną została. Mam zresztą wrażenie, że ona jest generacyjna, charakterystyczna dla mojego pokolenia. Nasi rodzice nie mogli w czasach młodości – w latach 70. i 80. – o tak wielu rzeczach decydować, ich życie było zanurzone w mroku. W rozmowach z rówieśnikami powtarza się to poczucie naszej współodpowiedzialności za ich przetrwanie.

„Kiedy byłam mała, Jan wyprawiał mnie do szkoły”, piszesz. „Ubierał mnie, cesał. Nie umiał pleść warkoczy, więc tamtego dnia zrobił mi kucyki. Lewy był tam, gdzie powinien, a prawy na czole. Przeczesał parę razy, ale ciągle wychodziło tak samo. Obydwoje mieliśmy łzy w oczach. Pomięte wstążki, podrażniona skóra, czas się kończył. »Symetria jest pięknem idiotów« – nie wytrzymał w końcu tata”.

To było straszne (*śmiech*). Jak się jest młodym, chce się przynależeć do stada, przynależenie jest wszystkim, a stado wypycha, jak jesteś inna, odstajesz. Doskonale znam gorzki smak nieprzynależenia.

Ale gdy się uda zaprzyjaźnić z cechami, które nas odróżniają czy drażnią w nas samych, to okazuje się, że one mogą być też naszą siłą.

Spójrz, ja mam podbródek, który bardzo mnie irytuje. Gdyby go nie było, czułabym się sto tysięcy razy lepiej. Ale kiedyś usłyszałam, że to jest „mięsień mezosopranowy” i on po prostu musi taki być (*śmiech*).

Cały czas uczę się pokazywania nie-doskonałości ciała, to wyzwalające. Na przykład, jak kręciliśmy „Królową”, byłam bardzo zmęczona – to widać na ekranie, ale dzięki temu charakterystyka była minimalna, a ja, jako Wiola, bardziej wiarygodna (*śmiech*). Zaufałam, że w spuchniętej twarzy może być coś wspaniałego.

Dlaczego wróciłaś na ekran?

Gra w „Królowej” była podszyta misyjnością poruszanego w tym serialu tematu, spłacam swój dług wobec społeczności LGBT, bo bardzo silnie została przez nią ukształtowana, dużo jej zawdzięczam. To homoseksualiści – któ-

DAVID GRZELAK / MATERIAŁY PRASOWE

MARIA PESZEK

(ur. 1973) jest aktorką, piosenkarką i autorką tekstów. Nagrała pięć solowych płyt – wszystkie zyskały status co najmniej platynowych. Nagrany w czasie pandemii album „Ave Maria” zadebiutował na 1. miejscu listy OLiS. Ostatnio zagrała u boku Andrzeja Seweryna w serialu „Królowa” emitowanym na platformie Netflix.

rych tak wielu było zawsze wśród przyjaciół naszego domu, że właściwie mnie wychowywali – pokazali mi, że można ze swojej inności uczynić oręż i siłę. Byli inspirujący, bo udowadniali, że płeć nie jest ostateczną definicją człowieka, a tylko jednym z elementów, który cię określa. I że to ty możesz i masz prawo decydować, kim jesteś.

Skoro mówisz o decydowaniu, wróćmy jeszcze do litanii, od której zaczęłyśmy rozmowę. Wiele rzeczy, które Cię konstituowały jako artystkę, wiele ról i kostiumów odrzucasz, pozwalasz, by przepadły. Co po tym resecie i czyszczeniu zostaje?

(*Milczenie*) Rdzeń. Mam w głowie taki obraz: stoję na odludziu, przewalają się wichury, deszcze, a ja trwam. Jeśli głębiej ukorzeniasz się w momencie, w którym akurat jesteś, życie staje się bardziej znośne, a nawet wspaniałe. W zasadzie

W październiku nakładem wydawnictwa Marginesy ukazuje się jej książka „Naku*wiam zen” – zapis rozmów z ojcem, Janem Peszkiem.

w każdych okolicznościach można znaleźć piękno – to coś, czego jestem pewna. Nie ma takich okoliczności, w których nie można być szczęśliwym. To rdzeń Marii Peszek.

Pokazujesz teraz na brzuch.

Tam jest to światło, kulka żaru, macecznik, do którego zawsze można zajrzeć. Tylko trzeba o niego bardzo dbać. Dla mnie to jest miłość Edka, bliska relacja, nasza wspólna wędrówka przez życie, ale także pozwalanie sobie na huraganowe emocje w tej relacji.

Moim rdzeniem jest miłość, superważny element życia. Relacje z rodzicami i przyjaźń, bo jej nie ma zbyt wiele. Co jeszcze? Tworzenie, stwarzanie światów. Przydatność społeczna. Polska...

Na ostatniej płycie wyznajesz:

„Nic nie będzie już o Polsce, Polski we mnie nie ma, Polska była i umarła, Polska się skończyła”.



→ Paradoksalne, ale można mówić mocno o Polsce, co nie zmienia faktu, że to ważny dla mnie „ukorzeniacz”. Wiem, że teraz jest moda na bycie najpierw Europejczykiem czy Europejką, a dopiero potem Polką czy Polakiem. To super brzmi, ale ja jestem najpierw Polką.

Co to dla Ciebie dzisiaj znaczy?

Czym jest dla Marii Peszek bycie Polką? Ciężką sprawą, bo dopiero teraz jawnie i uczciwie zdaję sobie sprawę, jak byłam naiwna, myśląc, że swoimi piosenkami mogę zmienić tę część Polaków, która jest przepelniona żalem. Nie zdawałam sobie sprawy z ogromnych podziałów w naszym społeczeństwie. Z tego, że jest tak duża grupa ludzi, która czuje się oszukana, zaniedbana, a siłą napędową jej nienawiści jest strach, poczucie porzucenia, wykorzystania. Byłam arogancka. Wydawało mi się, że wystarczy mówić do tej grupy z czułością, czasem agresją, żeby porwać ich czymś, żeby zrozumieli, i to wszystko załatwi. Tak się nie da.

Dlatego Twój „bezczel” się wyczerpał?

Byłam pyszna krzycząc, że wystarczy przestać wierzyć w Boga, żeby odzyskać siebie. Tak, to była moja droga, ateizm dał mi siłę. To przecież jeden z lejtmotywów mojej twórczości. Ale wydawało mi się, że to droga dobra dla wszystkich, że odzyskamy dzięki temu poczucie sprawczości, odpowiedzialności za siebie. Za Polskę. To było zbyt duże uproszczenie. I arogancja. Dzisiaj powiem raczej, że nie wiem, co trzeba zrobić. I fajnie jest powiedzieć, że nie wiem. Artyści nie mają patentu na to, jak ratować Polskę.

To co teraz?

Mnożyć znaki zapytania i wytrącać z pewności siebie powinni gówniarze. Ja już nie nadążam za generacyjnymi problemami i nie chcę ich śledzić. Chcę, żeby było mnie mniej. Będę się wspaniale starzeć i powoli marszczyć (*śmiech*). Być jak Vivienne Westwood – tak bym chciała. Obserwować siebie z uwagą, trwać w próbie lubienia przemian. Chcę być wolna, nieobliczalna do samego końca. Ale jeśli mam taka być, to nie mogę ciągle walczyć, tylko zaakceptować to, co nadchodzi. A przynajmniej być tego ciekawą i nie bać się. Czekam.

©© Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

WOJCIECH WANDZEL / MATERIAŁY PRASOWE



Aleksander Nowak

Spotkanie w warownym miasteczku

JAN BŁASZCZAK

Mity stoją u podstaw kolejnych dzieł Aleksandra Nowaka. Ale w „Baśni o sercu” do libretta Radka Raka kompozytor podąża nie tylko za odwiecznymi opowieściami, dotyka także mitu osobistego.

PODCZAS TEGOROCZNEJ ODSŁONY festiwalu Auksodrone w Tychach dojdzie do premiery „Baśni o sercu” (8 października) – opery Alka Nowaka na podstawie nagrodzonej Nike powieści Radka Raka. Jeden z najzdolniejszych polskich kompozytorów kontynuuje dzieło przekładania prozy polskich pisarzy na język muzyki.

– Kiedy zacząłem się interesować operą, źródłem mojej frustracji była jej tematyka, dla mnie niedostępna – tłumaczy Nowak. – Nie potrafiłem się przejąć losami bohaterów. Dlatego sam dążę do tego, by odbiorca miał kontakt z treścią.

Współczesna literatura daje tę szansę. W 2015 r. w Teatrze Wielkim w Poznaniu odbyła się premiera „Space Opery” Nowaka. Libretto napisał bułgarski pisarz Georgi Gospodinow. To dla niego, przyjaciela, na widowni pojawiła się Olga Tokarczuk. Libretto opowiada o muchach, które przypadkiem dały się zamknąć w rakiecie lecącej w kosmos. Tego wieczoru noblistka zmieniła swój stosunek do opery. „Do tej pory wydawało mi się, że mogę przyjść jako widz i napawać się nią z trzeciego rzędu. Tutaj poczułam, że mogę w to włożyć coś swojego” – mówiła mi na łamach „Tygodnika Powszechnego”. W efekcie trzy lata póź-



MIKOŁAJ STARZYŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Radek Rak

niej powstała „Ahat il!” – opera Nowaka, do której libretto napisała Tokarczuk.

– Opera to jest coś, czego mogę być odbiorcą, ale nie w trzecim, tylko może w trzynastym rzędzie – twierdzi z kolei Radek Rak. A gdy dopytuję, jaka muzyka towarzyszy mu podczas pisania, dowiaduję się, że pisze ręcznie, nierzadko na kolanie, i wtedy pracuje w ciszy. Inaczej jest, kiedy przepisuje swoje notatki na komputerze. Wówczas towarzyszy mu muzyka, która jego zdaniem odpowiada charakterowi powstającego dzieła. Dlatego pisząc „Aglę” słuchał Dead Can Dance, Therion i atmosferycznego black metalu. Rzeczywiście, dość daleko od opery. Nawet tej współczesnej.

– Dlatego moją pierwszą reakcją było: „Nie, absolutnie nie!” – wspomina propozycję współpracy Rak. – A potem dałem się jakoś urobić.

Bez powrotu

Pisarz odmówił już kiedyś pracy nad operą. Nie zdradza, kto zgłosił się do niego z taką propozycją, ale przyznaje, że wówczas nie wysłuchał nawet warunków, na jakich miałyby przebiegać współpraca. Uznał, że taki rodzaj pisania jest mu zbyt odległy. Że ktoś musiałby go prowadzić za rękę, więc lepiej w ogóle nie kombinować: – To jest zupełnie inny ciężar słowa. Inne prowadzenie narracji. Inna rytmika zdań. Inne wszystko właściwie.

Tym, co przemawiało na korzyść Nowaka, było jego wnikliwe czytanie literatury. A zwłaszcza uwaga, jaką poświęca baśniom i mitom. Twórcy rozmawiali o nich już podczas pierwszego telefonicznego kontaktu. Kompozytorowi pomogło również doświadczenie podobnej współpracy. Już na samym początku Nowak przedstawił pisarzowi trzy kameralne dramaty, które napisał ze Szczepanem Twardochem. Rak z zainteresowaniem sięgnął do libretta „Dracha” Twardocha – powieści szczególnie dla niego ważnej, osobistej, bo poruszającej tematy, które jego zdaniem można łatwo przenieść z ziemi śląskiej Twardocha na galicyjską Raka. Tym, co momentalnie zwróciło jego uwagę, były różnice pomiędzy tekstem utworu a książką, którą tak dobrze znał.

– Odetchnąłem z ulgą – wspomina. – Bo ja już byłem innym, człowiekiem niż wtedy, kiedy pisałem „Baśń o węzowym sercu”. Każda książka, każde duże dzieło cię zmienia. Wychodzisz z tekstu zupełnie kimś innym, niż do niego wchodziłeś. Po to się pisze. Nie tylko dlatego, aby ktoś miał rozrywkę, a ty zarobek. Chodzi o to, aby znaleźć coś w sobie i żeby cię to odmieniło. Nie byłem więc w stanie wrócić do początku „Baśni” i napisać ją jeszcze raz, tylko w formie opery. Natomiast byłem w stanie napisać coś podobnego, chociaż inaczej rozkładając akcenty i na

trochę inny temat. Świadomość, że nie muszę robić adaptacji, była dla mnie satysfakcjonująca.

Białka

Jednym z powodów, dla których Nowakowi zależało na wystawieniu opery bazującej na powieści Raka, był historyczny i społeczny kontekst „Baśni...” rozgrywanej się w czasach XIX-wiecznej rabacji galicyjskiej. Na kompozytorze szczególne wrażenie zrobiły opisy chłopskiej codzienności i ludowych obrzędów: – Mój ojciec pochodzi z tego rejonu, więc jako dziecko często tam bywałem. Dotknąłem osobistego mitu, na który składają się doświadczenia, ale też rodzinne opowieści. Historie, którymi nasiąka się w sposób nieuświadomiony, do których na starość można wrócić, żeby coś z nich wreszcie zrozumieć.

Sięgnięcie do historii przywódcy galicyjskiej rabacji, Jakuba Szeli, sprawiło, że powieść Raka czytano w kontekście fali głośnych prac przyglądających się ludowej historii Polski. „Chamstwo” Kacpra Poblöckiego, „Fantomowe ciało króla” Jana Sowy, „Ludowa historia Polski” Adama Leszczyńskiego – wszystkie te tytuły pojawiały się podczas rozmów autorów opery.

– Ważną figurą w tym dziele jest zrównanie czy też przemiana jednego bohatera w drugiego – tłumaczy Nowak. – Pokazanie pana w chłopie i chłopą w panu. Tego, że ich motywacje można różnie interpretować i je historycznie uprawomocniać, ale tak naprawdę oś zła przecina każde serce.

Rak był zaskoczony czytaniem jego powieści według takiego klucza. Dla niego pańszczyzna zawsze była kwestią oczywistą. Historycznym złem, które nie wymaga ogólnopolskiej debaty: – Sednem „Baśni...” nie była pańszczyzna. Ona była materią, z której ja tę baśń ukułem. Jeżeli miałbym sięgać do biologicznych, a więc bardzo mi bliskich, odniesień, powiedziałbym, że pańszczyzna to były białka, które tworzą żywe organizmy, a mistyka stanowi DNA tej opowieści.

DNA

Nowak przyznaje, że podczas pierwszego kontaktu z „Baśnią o węzowym sercu” skoncentrował się na jej historycznym odczytaniu. Przypomniła mu się Galicja jego ojca i opowieści grozy snute późno w noc przez ciotkę. Dopiero rozmowy →

→ z Rakiem odsłoniły kolejną warstwę powieści. Poziom mitu.

– Osią tej powieści jest serce – tłumaczy Rak. – W takim rozumieniu, jak u Miśtra Eckharta, jako miejsca, gdzie człowiek spotyka się sam ze sobą. Z czymś, co w nim najgłębsze. Z absolutem. Eckhart używa wielu określeń na serce: „głębia”, „warowne miasteczko”... One wszystkie pojawiają się w mojej powieści w takim właśnie odniesieniu.

Ten klucz najwyraźniej przemówił do kompozytora, który poświęcił temu odczytaniu wiele miejsca w dzienniku prowadzonym na swojej stronie internetowej. Na jego łamach Nowak nie tylko daje czytelnikowi wgląd w swój proces twórczy, ale także analizuje dzieła kultury. Stawki są wysokie: zło, śmierć, wiara, albo piękno. Jego otwartość na to, by dyskutować nie tylko o słowie i dźwięku, ujęła Raka: – Z reguły nie rozmawiam o takich rzeczach, bo obawiam się, że zostanę wzięty za dziwaka, ale szybko okazało się, że mamy tu z Alkiem wiele wspólnych tematów. Chociażby to, że bardzo podobnie myślimy o mitach.

Na początku marca, pisząc o sercu w kontekście prozy Raka, Nowak zauważał w zapiskach: „zdobyć je na powrót jest już znacznie trudniej. Trzeba się nabieździć, nabrudzić, nanurzać w odchodach i zwłokach; nabierać zasług i przejść na drugą, ciemną stronę. A nawet wtedy nie ma gwarancji, ani że się serce zdobędzie, ani że się z nim uda powrócić na stronę właściwą”.

Przytaczam mu ten fragment i pytam: czy to nie jest dokładnie ta sama historia, co Anny In z „Ahat il” Tokarczuk? Nowak idzie dalej, zastanawiając się, czy ostatecznie wszystko nie jest jedną i tą

samą opowieścią. Bo czyż nie jest to również opowieść o Orfeuszu, o Chrystusie? Na tym polega moc mitu.

Razy trzy

– Pamiętam, że cierpiałem pisząc to libretto – wspomina Rak. – Jednak nie z powodu samego libretta. Miałem masakra zapalenie okostnej. Odnoszę wrażenie, że większość czasu przypadałego na pisanie tego tekstu spędzałem u dentysty.

Nie licząc tych przykrych okoliczności, sam tekst powstawał raczej gładko. Pisarz obawiał się przede wszystkim tego, że tekst okaże się zbyt długi. Dlatego czytał go na głos. Recytował powoli i mierzył, ile czasu zajmuje mu ta czynność. Uzyskaną wartość mnożył razy trzy, bo ktoś podrzucił mu wskazówkę, że śpiewanie zajmuje właśnie o tyle więcej czasu. Autor starał się zmieścić w limicie pięćdziesięciu minut. Ostatecznie okazało się, że jego obawy były nieuzasadnione. Przeciwnie, libretto należało trochę rozbudować.

Pisarz przyznaje, że chyba żaden z jego tekstów nie przechodził tylu przeobrażeń. Dodaje przy tym, że to naturalne, bo przecież z librettem mierzył się po raz pierwszy. Z lektury dzienników Nowaka wiadomo też, że ewoluował również pomysł na obsadę muzyczną opery. Ostatecznie podczas premierowego wykonania w Tychach „Baśń...” wykonają orkiestra Aukso, kameralna grupa śpiewacza Camerata Silesia, perkusiści Hubert Zemler oraz śpiewak Adam Strug. Ten długi proces wyłaniania wykonawców mógł wynikać z braku wcześniejszych doświadczeń Nowaka we włączaniu wpływów muzyki tradycyjnej do swoich dzieł.

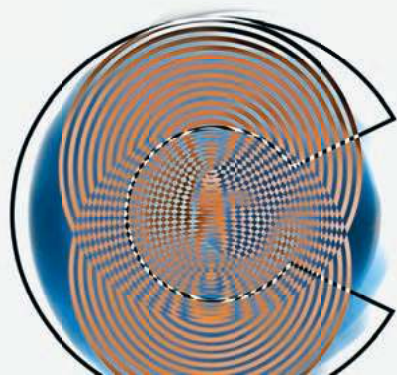
– Podobały mi się niektóre takie próby, chociaż biłem się z myślami, czy to nie jest nieuprawnione żerowanie na innej estetyce – tłumaczy kompozytor. – Zwykle jednak dochodziłem do wniosku, że nie. Że to jest po prostu próba znalezienia faktycznego zakorzenienia w czymś poza samym dźwiękiem.

Uwspólnienie

W jednym ze swoich wpisów Nowak przywołuje rozmowę z Rakiem, która okazała się przełomowa dla powstania opery. Dotyczyła serca i kamienia. Pytany, czy jest to ostateczny dowód na to, że kompozytorowi niezbędna jest szczegółowa analiza i jak najdogłębniejsze poznanie dzieła, stanowczo zaprzecza: – Myślę, że wręcz nie powinienem chcieć tego wiedzieć. Jakos już tak jest, że wytwory wyobraźni są mądrzejsze niż jej pojedynczy posiadacz. Wyobraźnia ma swoją moc dzięki temu, że jest trochę uwspólniona i zapośredniczona. I wydaje mi się, że zbyt indywidualna próba przeniknięcia symboliki, nazwania wszystkiego po imieniu, ostatecznie mija się z celem. Nie da się uniknąć stawiania sobie pytań. I dobrze, bo trudno było cokolwiek zrobić tak całkiem po omacku. Natomiast trzeba znaleźć tylko niezbędne minimum pozwalające się poruszać po danym obszarze znaczeniowym i potem już pozostawić sprawy swojemu tokowi. Każdy utwór jest opowieścią, która się snuje i w pewnym momencie zaczyna się toczyć sama. Temu procesowi trzeba tylko pozwolić zaistnieć i być jego uważnym świadkiem.

Po czym uchylił rąbka tajemnicy, wyjawiając, co takiego wyjaśnił mu pisarz. Ale może będzie lepiej, jak państwo to sobie sami wyobrażą. © JAN BŁASZCZAK

TP W KOLEJNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”



MAGAZYN CONRAD

Przedstawiamy wybranych gości i gościnie Festiwalu. Wśród nich:

- Artur Domosławski
- Mariana Enríquez
- Oscar Martínez
- Andrzej Stasiuk
- Ayfer Tunç





MATERIAŁ PRASOWY

„Śpiąc od światła” (HBO), reż. Krzysztof Skonieczny wg powieści Jakuba Żulczyka, 2018 r.

Wpław po oceanie

JAKUB MAJMUREK

Widz korzystający z platform Netflixu czy Disneya ma coraz częściej poczucie, jakie miał abonent kabłówki: płaci za tysiące godzin audiowizualnych treści, które nie są mu do niczego potrzebne i których nigdy nie obejrzy.

NOWY AUDIOWIZUALNY ŚWIAT ZACZĄŁ się w 2016 r., kiedy platforma Netflix udostępniła swoje usługi praktycznie na całym świecie poza kontynentalnymi Chinami, Syrią i Koreą Północną. Rewolucja streamingowa przybrała wtedy globalny wymiar i zaczęła fundamentalnie zmieniać to, jak produkowane, dystrybuowane i konsumowane są filmy oraz serie. Platformy streamingowe stworzyły nową publiczność – niezależnie od tego, na której półkuli mieszkasz, masz do dyspozycji te same treści, za stosunkowo niewielką cenę. O wiele niższą w porównaniu z abonamentem, jaki trzeba by zapłacić za kabłórkę. W dodatku bez reklam.

Rynek wydawał się nieograniczony. Do wyścigu po przychody włączyły się także *legacy media* – wielkie konglomeraty medialne z historią sięgającą lat 20. ubiegłego wieku. W 2019 r. Disney uruchomił swój serwis streamingowy Disney+, rok później NBCUniversal swój, pod nazwą Peacock. W 2020 r. HBO

(WarnerMedia) przekształciło internetowy serwis w platformę HBO Max, a w 2021 r. Paramount Global – serwis CBS All Access w platformę Paramount+.

Walcząc o przyciągnięcie nowych subskrybentów platformy były w stanie wydawać na produkcję nowych oryginalnych treści miliardy dolarów rocznie – w 2019 r., ostatnim przed pandemią, tylko Netflix zainwestował 2,8 mld dolarów we własne produkcje. Amazon Prime za same prawa do wykorzystania świata stworzonego przez J.R.R. Tolkiena zapłacił w 2017 r. aż 250 mln dolarów.

Wall Street bez wahania wykładało pieniądze, inwestorzy wierzyli zapewnieniom branży, że rynek platform będzie tylko rosł, a nowi subskrybenci ostatecznie sfinansują tak niebotyczne wydatki.

Gruba suma

Dziś wszystko wskazuje, że okres, gdy rynek platform tylko wzrastał i wzrastał, właśnie się skończył. Branżę czeka więc

korekta strategii. Nie znaczy to, że streaming jest na finiszu – nie ma przecież powrotu do starych form odbioru treści. Ale na rynku będzie coraz ciśnień i coraz trudniej.

Netflix w tym roku po raz pierwszy zaczął tracić abonentów – w pierwszym kwartale około 200 tys., w drugim blisko milion. Przełożyło się to na spadki notowań akcji spółki na amerykańskiej giełdzie: od początku roku straciła prawie 59 proc. swojej giełdowej kapitalizacji.

Największe spadki abonentów platforma notuje na rynku amerykańskim. Choć rośnie liczba jej subskrypcji w innych krajach, to zbyt wolno, by zrekomensować odpływ użytkowników w Stanach Zjednoczonych. Coraz częściej pojawiają się głosy, iż Netflix przecenił realny potencjał wzrostu globalnego rynku dla streamingu i nie docenił swojej amerykańskiej konkurencji. Na najważniejszego przeciwnika Netflixu wyrasta Disney. Licząc wszystkie serwisy streamingowe należące do korporacji – Disney+ oraz niedostępne w Polsce Hulu i oferujące dostęp do transmisji sportowych ESPN+ – Disney miał w sierpniu na całym świecie 221,1 mln subskrybentów. Netflix – 220,67 mln.

Disney, ale także serwisy innych *legacy media* mają jedną znaczącą przewagę nad relatywnie nowymi mediami takimi jak Netflix – przepastne biblioteki z popularnymi tytułami i franczyzami, produkowanymi na przestrzeni wielu lat przez skupione w danym medialnym konglomeracie stacje telewizyjne czy wytwórnie filmowe. Disney, zanim uruchomił platformę Disney+, przez lata prowadził agresywną politykę zakupową. W 2006 r. kupił studio animacji Pixar, dwa lata później studio filmowe Marvela, następnie Lucasfilm i 21st Century Fox. W efekcie Disney+ miał na starcie w swoich bibliotekach popularne animacje Pixara, „Simpsonów” z Fox, wreszcie filmy z uniwersum Marvela i „Gwiezdnych wojen” – dwóch dziś najpopularniejszych i najbardziej dochodowych franczyz filmowych. Wiele oryginalnych produkcji serialowych tej platformy rozwija obie te franczyzy: „Loki” czy „WandaVision” jest marvelowska, „Obi-Wan Kenobi” i niedawno debiutujący „Andor” należą do świata „Gwiezdnych wojen”. Z takimi treściami Disney+ był w stanie osiągnąć liczbę 100 mln subskrypcji w 16 miesięcy – Netflixowi zajęło to dekadę.



→ Jednocześnie coraz więcej odbiorców zaczyna zauważać, ile musi płacić za subskrypcję kilku serwisów, których większości treści nie pozna. Platform faktycznie jest coraz więcej i gdy chce się śledzić kilka jednocześnie, suma ich cen zaczyna coraz bardziej zbliżać się do tej, jaką płaciłobyśmy za porzuconą kablówkę.

W dodatku zbliża się gospodarcze spowolnienie, a możliwa jest nawet recesja. Ludzie będą więc racjonalizować wydatki – zwłaszcza te na kulturę. Coraz częściej w gospodarstwach domowych, które mają po kilka zaabonowanych platform, będzie pojawiać się pytanie: czy naprawdę potrzebujemy tej konkretnej subskrypcji?

Konsolidacja i monetyzacja

Platformy doskonale zdają sobie z tego sprawę i szykują się na działanie w nowych okolicznościach. Mają dwie nowe strategie.

Po pierwsze, wielkie podmioty medialne będą starały się konsolidować swoje aktywa, tak by mieć wszystkich potencjalnych widzów „w jednym miejscu”. Disney na rynku amerykańskim oferuje więc relatywnie najkorzystniejszą cenowo ofertę abonamentu widzom, którzy kupią pakiet dający jednocześnie dostęp do Disney+, ESPN+ i Hulu – tak by odbiorcy różnych platform należących do korporacji nie rozpraszali się i śledzili wszystkie.

David Zaslav, dyrektor generalny Warner Bros. Discovery, też zapowiada połączenie dwóch czołowych platform streamingowych korporacji – HBO Max i Discovery+ – w jeden serwis, choć ich profil programowy w żaden sposób się nie pokrywa. Zaslav jest tym liderem branży, który wyciągnął najdalej idące wnioski z faktu, że okres nieograniczonej, radośnej ekspansji się skończył i teraz trzeba zacząć liczyć pieniądze. Pod jego prezesurą z oferty HBO Max zaczęły znikać kolejne tytuły – podobno koszty, które trzeba ponieść płacąc za licencje, były

zbyt wysokie w stosunku do liczby widzów, jakie przeciągały. HBO Max zrezygnowało też z produkcji oryginalnych treści w lokalnych językach w krajach nordyckich oraz w Europie Środkowo-Wschodniej, w tym Polsce. Wielka szkoda, bo HBO Polska wyprodukowało choćby „Ślepnąc od świateł”, moim zdaniem najlepszy polski serial poprzedniej dekady.

Obok konsolidacji i oszczędności platformy będą też starały się maksymalnie zmonetyzować swoje relacje z użytkownikami. Np. sprzedając czas na swoich serwisach reklamodawcom. Od grudnia ma ruszyć nowy specjalny pakiet Disney+, gdzie w zamian za niższą cenę subskrypcji widzowie otrzymają serwis z reklamami. Podobne zmiany zapowiada Netflix, choć wcześniej wielokrotnie obiecywał, że reklam na platformie nigdy nie będzie. Firma zastanawia się także, w jaki sposób można ograniczyć powszechną praktykę wykorzystywania jednego hasła przez kilka różnych gospodarstw domowych, a przynajmniej: jak zmusić użytkowników, by za to płacili.

Coraz częściej słyszy się też, że platforma, by utrzymać zainteresowanie widzów, zrezygnuje z wrzucania całości sezonów swoich seriali. Tak, by widz zamiast obejrzeć wszystkie odcinki produkcji w jeden weekend, wracał co tydzień po kolejny, spędzając więcej czasu na platformie. Co może być ważne dla potencjalnych reklamodawców.

Wszystkie te zmiany – reklamy, ograniczenie liczby urządzeń, na których można oglądać treści – przełożą się negatywnie na doświadczenie widzów. Wielką zaletą platform miał być przecież brak reklam oraz to, że dostępne na nich treści możemy spokojnie oglądać w domu, na imprezie u przyjaciół, w pokoju hotelowym w delegacji czy na komórcie, nie martwiąc się o techniczne ograniczenia. Gdy widzowie zostaną postawieni przed dylematem: zapłacić więcej albo oglądać reklamy przed – albo, co gorsza, w trakcie – ulubionego serialu, mogą po prostu zrezygnować z subskrypcji. Zwłaszcza w czasach kryzysu.

Polska wschodząca

Jak te trendy przekładają się na Polskę? Według danych Ampere Analysis z końca 2021 r. w Polsce było wykupionych nieco ponad sześć milionów subskrypcji serwisów streamingowych.

A dane firmy badawczej Omdia mówią, że co najmniej jeden serwis abonowało w zeszłym roku 4,3 mln gospodarstw domowych. Wychodzi więc, że przeciętne gospodarstwo subskrybuje 1,5 serwisu. Nasylenie rynku przez platformy wynosi 29 proc. – w krajach nordyckich to ponad 50 proc., w Danii 71 proc. Ciągłe jest więc potencjał do wzrostu. Branża już oszacowała, że do końca tego roku liczba gospodarstw domowych, które abonują przynajmniej jeden serwis, wzrośnie do 6 mln, a Polacy wydadzą na *streaming* 100 mln złotych więcej niż rok temu.

W 2021 r. ciągle nie było Disney+, który wszedł na polski rynek w partnerstwie z cyfrowym Polsatem trzy miesiące temu. Także dopiero w tym roku HBO Go przekształciło się w Polsce w HBO Max. W pejzażu przed Disneyem dominującą pozycję zajmował Netflix. Firma nie podaje regularnie liczby swoich subskrybentów w Polsce, ale według danych Omdii pod koniec 2021 r. było ich około 2 mln. Badania Mediapanel pokazują, że Netflix pozostaje najpopularniejszym serwisem streamingowym w Polsce. W sierpniu odwiedziło go 12,73 mln internautów. Drugie było HBO Max (4,49 mln użytkowników), trzeci Disney+ (3,8 mln).

Fakt, że po trzech miesiącach Disney+ zajął trzecie miejsce, wyprzedzając np. Canal+ online i Player TVN, pokazuje potencjał tej platformy – nawet biorąc pod uwagę efekt nowości. To ona będzie najpoważniejszą konkurencją dla Netfliksa, którego czeka w Polsce ciężka walka o widza – tym bardziej, że w pierwszym kwartale 2023 r. zapowiadane jest wejście na polski rynek platformy SkyShowtime, który ma połączyć ofertę m.in. Paramount+ i NBCUniversal.

Nowe platformy, takie jak HBO Max i Disney+, na razie konkurują z Netflixem atrakcyjną ceną, ale wojna cenowa prędzej czy później się skończy i także w Polsce *streaming* będzie się stawał coraz droższy.

Kurator-nawigator

Jednocześnie, także w Polsce, widz korzystający z platform ma coraz częściej to samo poczucie, jakie miał abonent kablówki: płaci za tysiące godzin audiowizualnych treści, które nie są mu do niczego potrzebne i których nigdy nie obejrzy.

Widać to szczególnie wyraźnie w przypadku Netfliksa. Wydaje się, że firma weszła w kryzys, jeśli chodzi o produk-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl



Dość jakości

DAVID ZASLAV, dyrektor generalny Warner Bros. Discovery (na zdjęciu), jest jednym z najważniejszych ludzi w Hollywood i najlepiej zarabiającym wśród prezesów 500 największych amerykańskich spółek: 246 mln dolarów rocznie (2021). Kiedy w 2006 r. został prezesem Discovery, produkującej cenione filmy przyrodnicze i edukacyjne, zwolnił połowę kadry kierowniczej, a w ramówce zaczęły dominować tanie w produkcji reality shows i programy w rodzaju „Zjedzony żywcem”. Upadek wizerunkowy rekompensowały wyższe

dochody, pozwalające na ekspansję (np. w 2018 r. kupił Scripps Networks, stając się właścicielem m.in. polskiego TVN). W kwietniu doprowadził do połączenia Discovery z Warner Bros., jednym z największych studiów filmowych w Hollywood, rozciągając swoją władzę m.in. na CNN i HBO, wraz z jego usługą streamingową HBO Max. Niedługo wcześniej z HBO odszedł Richard Plepler, pracujący w niej od 1992 r., a od 2007 r. jej prezes, uznawany za współtwórcę złotej ery telewizji, patron jakościowych seriali takich jak „Rodzina Soprano”.

W NOWEJ ROLI ZASLAV szybko podjął spektakularne decyzje,

m.in. przerywając prace nad ukończonym niemal, kosztującym 90 mln dolarów filmem „Batgirl” (strata pozwoli zmniejszyć podatek) i wycofując dla oszczędności setki oryginalnych produkcji z HBO Max (m.in. „Ulicę Sezamkową”). Jednocześnie chce o blisko połowę zwiększyć liczbę produkowanych filmów. Pracownicy HBO twierdzą, że gdyby rządził wcześniej, nigdy nie powstałaby „Gra o tron” – największy sukces w historii HBO, który wymagał sporych nakładów.

© PATRYK STANIK

Źródła:

„The Wall Street Journal”, „The New York Times”, „The Atlantic”, „Puck News”

cję własnych, jakościowych, kulturowo znaczących treści. Choć kończy się właśnie trzeci kwartał roku, to Netflix miał w 2022 r. tylko jedną wartościową artystycznie serialową premierę, „Sandmana” – który też wypadł trochę poniżej oczekiwań. Owszem, były nowe sezony „Zadzwon do Saula” i „Stranger Things”, ale to kontynuacje dawno rozpoczętych projektów, nic nowego. Obok tego na platformie mamy głównie zalew bardzo przeciętnych produkcji z całego świata, od Brazylii przez Hiszpanię po Koreę Po-

łudniową – serie z gatunku tych, na jakie trafiamy, przerzucając w godzinach popołudniowych kanały telewizyjne. Niewiele lepiej jest z produkcją filmową. Nawet jeśli pojawiają się na Netflixie interesujące tytuły, to poza kilkoma szczególnie promowanymi hitami – jak nowy film o Marilyn Monroe „Blonde” – giną one w zalewie w najlepszym wypadku przeciętnych treści.

Biblioteka Disney+ jest jakościowo lepsza i bardziej przemyślana, ale mimo kilku ciekawych wyjątków bardzo silnie

sprofilowana pod dzieci i blockbustowe franczyzy.

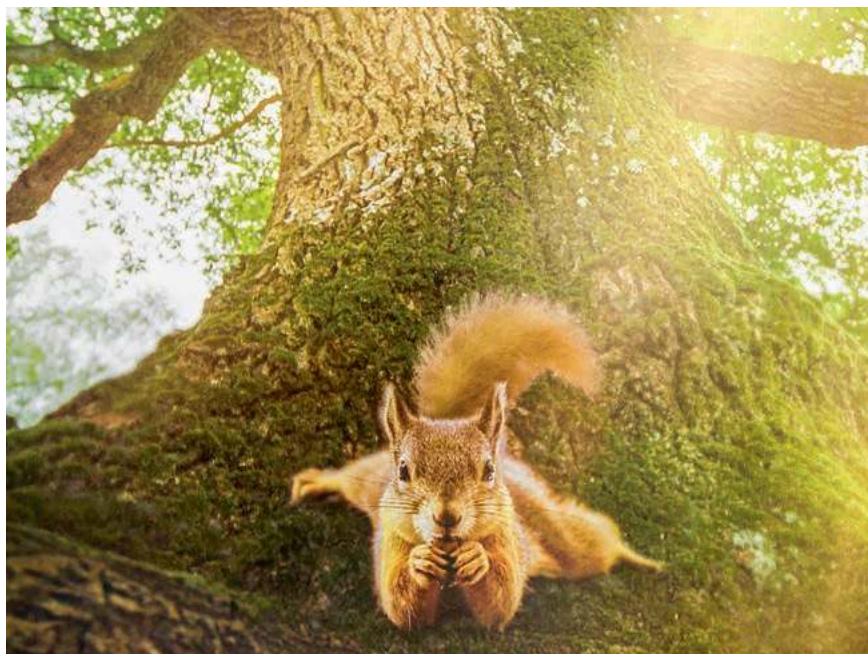
Lepiej to wygląda w przypadku HBO Max. Żaden serwis dostępny w Polsce nie ma tak dobrej biblioteki serialowej, gdzie byłyby najważniejsze produkcje w historii amerykańskiej telewizji z ostatnich 20 lat. HBO nieustannie produkuje własne znakomite serie – właśnie skończył się drugi sezon serialu „Branża” o młodych ludziach próbujących radzić sobie pracując w londyńskim City, wcześniej mogliśmy obejrzeć poetycką, kinofilską komedię Olivera Assayasa „Irma Vep” z Alicią Vikander w roli głównej.

HBO robi też znakomite dokumenty. Gorzej jest jednak z filmami fabularnymi. Tu wszystkie duże platformy mają problem, trudno znaleźć na nich kino prawdziwie nowatorskie artystycznie, poszukujące, innowacyjne. Zarówno to współczesne, jak i klasyczne. Wyjątkiem jest dostępny też w Polsce brytyjski serwis Mubi, prezentujący najciekawsze filmy z bocznych, bardziej „awangardowych” sekcji najważniejszych festiwali filmowych i nieoczywistą klasykę z całego świata, w tym odnowione filmy nieme.

Największą zaletą Mubi jest przemysłowa oferta, widać, że stoi za tym konkretny kuratorski pomysł na kino. Nie każdemu się on spodoba, ale ktoś, kto go kupi, nie będzie zawiedziony. Takie „kuratorskie” podejście z polskich serwisów przyjmuje np. serwis VoD Nowych Horyzontów – gdzie można wykupić dostęp do filmów z festiwalu Romana Gutka – czy Fixclassic, portal kierowany przez filmoznawcę Miłosza Stelmacha, poświęcony filmowej klasyce. W tym tej nieoczywistej: tanim filmom klasy B, klasykom włoskiego thrilleru giallo czy horrorom z brytyjskiej wytwórni Hammer.

Szczerze mówiąc, patrząc na ofertę Netfliksa i innych wielkich graczy, jako widzowi brakuje mi najbardziej właśnie kuratorskiego pomysłu, przygotowanych dla widza ścieżek pozwalających poruszać się po nadmiarze treści. Jednej dla fanów horroru, innej dla poszukujących kina artystycznego, jeszcze innej dla miłośników obrazoburczych komedii. Może zamiast w pomysły na to, jak walczyć z dzieleniem konta przez użytkowników, platformy powinny walczyć z odpyływem widza, inwestując w czytelną nawigację?

© JAKUB MAJMUREK



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu Laurenta Charbonniera i Michela Seydoux „Serce dębu”, 2022 r.



MATERIAŁY PRASOWE

Simona Kossak w Puszczy Białowieskiej – fotografia Lecha Wilczka z filmu „Simona”, 2022 r.

Zbyt wiele do stracenia

ANITA PIOTROWSKA

Dobrze, że kino, niekoniecznie oświatowe, coraz częściej upomina się o dzikich mieszkańców świata. Dobrze też, że stara się upamiętniać osoby, które widząc, wiedząc i czując więcej, poświęciły im swoje życie.

NIE DOŻYŁA „LEX SZYSZKO” ANI KRYZYSU humanitarnego na granicy z Białorusią, choć łatwo wyobrazić sobie jej reakcje. Zmarła piętnaście lat temu Simona Kossak całą sobą angażowała się w losy swojego miejsca na ziemi, czyli Puszczy Białowieskiej, gdzie spędziła ponad trzy dekady. Oddana przyrodniczka i zoopsycholożka zyskuje właśnie bogate życie pośmiertne: wokół jej osoby i twórczości powstaje spektakl stołecznego Teatru Dramatycznego w reżyserii Lucy Sosnowskiej, film fabularny o niej kręci Adrian Panek, a do kin trafił właśnie poruszający dokument Natalii Korynckiej-Gruz „Simona”.

Dostajemy portret przyrodniczki o wielkim dorobku (w dziedzinie badań nad białowieską fauną, ratowania zagrożonych gatunków, popularyzowania wiedzy) i zarazem kogoś, kto jako człowiek wielokrotnie nam się wymyka. Bo film nie tylko oddaje głos przebogatym archiwaliom fotograficznym, głównie autorstwa Lecha Wilczka, prywatnie i zawodowo wieloletniego partnera Simony Kossak, czy licznym audycjom radiowym i telewizyjnym z udziałem jej samej. Reżyserka konstruuje tę postać również z opowieści jej bliskich i znajomych, czego efektem jest gawęda tyleż pasjonująca, co chwilami bardzo gorzka. Rolę medium odgrywa w niej Ida Matysek, ciętka wnuczka Simony. Odsłania przed nami punkty zwrotne jej życiorysu, a przy okazji wstydlive tajemnice rodzinne. Z każdym kolejnym odkryciem zachowana w drogiej pamięci „ciociobabcia” coraz mniej mieści się w swojej oficjalnej biografii.

Gdy na początku tego roku w remontowanej krakowskiej willi, „Kossakówce”, odkryto szkielet kobiety z przełomu XVI i XVII wieku, dla tych, którzy znali historię „czarnej owcy” ze słynnej artystycznej rodziny, było w tym coś symbolicznego. Scenariusz Korynckiej-Gruz rozpisuje bowiem tę biografię na kolejne śmierci Simony, niektóre szczególnie bolesne, ponieważ zadane z rąk najbliższych: ukochanego, matki, siostry. Rozumiemy wówczas, skąd się wzięła ucieczka młodej naukowczyni z dusznego krakówka, zaś życie się w białowieskiej leśniczówce „Dziedzinka” i zatopienie w pracy naukowej. Zrozumiała staje się także jej

bezgraniczna miłość do zwierząt, często zamieszkałych z nią pod jednym dachem, na czele z legendarnym krukiem Koraskiem, lochą Żabką czy udomowioną ryśką Agatką.

Reżyserka nie romantyzuje tej koegzystencji, nie fantazjuje o rajskim ogrodzie. Wręcz przeciwnie, piękna utopia, jaką udało się stworzyć Simonie i Wilczkowi, miała swoją cenę, i to niejedną. Szczególnie Simona, nazywana w okolicy cyrkówką lub czarownicą, musiała słono płacić za swoją niezależność i niezwykłość. Była zbyt wyzwolona jak na swoje miejsce i czas, zbyt zaangażowana w walkę z myślistwem, kłusownictwem i umieraniem puszczy, zbyt czuła, jak na ludzką miarę, w traktowaniu swoich zwierzęcych podopiecznych.

Można dyskutować z formą tego dokumentu, który miewa telewizyjny sznyt i momentami za bardzo przypomina program interwencyjny. Fakt, iż Simona to postać świetnie udokumentowana, bywa dla filmu dobrodziejstwem i nie łączy wyzwaniem. Montaż archiwalnych zapisów i współczesnych relacji ma na szczęście swój przemyślany koncept, punktujący momenty najbardziej kryzysowe. Mógłby wyjść z tego portret tragiczny, zwieńczony na dodatek przedwczesnym odejściem bohaterki, ale pozostawione przez nią dziedzictwo zdecydowanie temu przeczy. Jego częścią jest nasza filmowa przewodniczka Ida, którą we wczesnym dzieciństwie mocno naznaczył kontakt z niepospolitą krewną.

W Białowieży istnieje ulica imienia Simony Kossak. Prócz jej własnych publikacji pojawiły się też książki o niej samej, w tym nawet dla dzieci – to dużo i zarazem mało, zważywszy na kaliber tej postaci. Przede wszystkim przetrwała jej legenda, która do dziś inspiruje i uwrażliwia. Dokument Korynckiej-Gruz odtwarza ją i jednocześnie trochę rozmontowuje, dostrzegając w zasłużonej badaczce rozmaite pęknięcia i kontrowersje. Mimo tej wielowymiarowości można odnieść wrażenie, że bohaterka nie powiedziała nam ostatniego słowa.

Simona Kossak miała również w swej biografii istotny epizod z filmowaniem natury, dlatego pewnie przypadłby jej do serca francuski dokument „Serce dębu” Michela Seydoux i Laurenta Charbonniera, współtwórcy głośnego „Makrokosmosu”. Tytułowe drzewo, wyrosłe dwieście lat temu nad stawem, stanowi tutaj

centrum całego wszechświata, ukazanego w skali makro i mikro. Powiedzieć o nim „ekosystem” – to właściwie nic nie powiedzieć.

Za pomocą ruchów czy ustawień kamery, dynamicznego montażu i wyszukanej muzyki wkraczamy w iście filmowe uniwersum, gdzie bioróżnorodność przekłada się na różnorodność ekranowych gatunków. Dramatyczna burza wygląda jak kino katastroficzne. Wieści choreografie kojarzą się z musicaliem, a gdy słonika żołędziowca – z filmem erotycznym. Skradający się wąż Eskulapa wywołuje suspens rodem z kina grozy, polowanie jastrzębia zaś nakręcono z taką werwą, jakby to był co najmniej „Top Gun: Maverick”. Cała zresztą krzątanina tych wszystkich stworzeń dużych i małych wygląda tak fascynująco, że film przyrodniczy zamienia się raz po raz w gęsty dramat społeczno-obyczajowy. Pozbawiony edukacyjnego komentarza, wszelako niepozbawiony humoru.

Lecz powodów do śmiechu zbyt wielu nie ma. Kiedy kamera panoramuje z drona „miejsce akcji” i w tle słychać „Lascia ch’io pianga”, wiadomo już, o czym szumi stary dąb. Aria Händla brzmi tutaj niczym epitafium. A gdy w napisach końcowych pojawia się obsada, czyli opatrzone zdjęciami nazwy występujących w filmie gatunków zwierząt, niejeden widz poczuje się zawstydzony swą ignorancją, a jednocześnie wzruszony bogactwem i kruchością, odwiecznością i schyłkowością tego świata.

Oba filmy zostawiają nas jednak z poczuciem, że filmowcy czy ekolodzy – „zaspypujący przepaść między człowiekiem a przyrodą”, by zacytować Simonę Kossak – nie załatwią niczego za nas. Wiadomo, że bez globalnej zmiany myślenia i działania, bez atrakcyjnie pomyślanej edukacji systemowej nie zdołają uratować przed zagładą ani ryś, ani dębów, ani w końcu nas samych. Na razie swoją pasją starają się uświadamiać, skąd przychodzimy i jak wiele mamy (ciągle jeszcze) do stracenia. ©

SIMONA – reż. Natalia Koryncka-Gruz.
Prod. Polska 2022. Dystryb. Against Gravity. W kinach.

SERCE DĘBU (*Le Chêne*) – reż. Laurent Charbonnier, Michel Seydoux.
Prod. Francja 2022. Dystryb. Best Film. W kinach od 7 października.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Paryż, 13. dzielnica



Dramat, reż. Jacques Audiard, Francja 2021, Nowe Horyzonty VoD
Zamiast pocztówkowego „miasta miłości” dostajemy mozaikowy portret mieszkańców paryskiego Les Olympiades, gdzie na przekór brutalistycznej architekturze kwitnie skomplikowane życie erotyczne. Inspirując się komiksem „Śmiech i śmierć” Adriana Tomine’a, twórca „Proroka” spogląda świeżym i nieuprzedzonym okiem na młode pokolenie Francuzów.

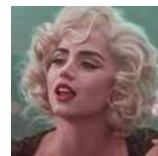
2. Lot



Dokumentalny, reż. Anna Zakrzewska, Łukasz Ronduda, Polska 2022, TVP VoD
W 2019 r. podczas weneckiego Biennale

pokazał przenicowany odrzutowiec. Przygotowania do tego wydarzenia są pretekstem, by odtworzyć losy Romana Stańczaka – rzeźbiarza z nurtu sztuki krytycznej, który w połowie lat 90. zniknął z radaru. Film podąża tropem jego przerwanej działalności artystycznej i trudnych doświadczeń osobistych.

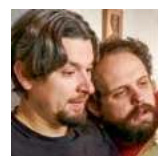
3. Blondynka



Biograficzny, reż. Andrew Dominik, USA 2022, Netflix
Czy adaptacja głośnej powieści Joyce Carol Oates coś zmienia

w postrzeganiu Marilyn Monroe jako ikony i człowieka? Na ile z nią empatyzuje, a na ile eksploatuje jej wizerunek i traumy? Jedno jest pewne: Ana de Armas nie tylko ładząco przypomina swoją bohaterkę, ale zdaje się nawiedzona przez ducha gwiazdy, świetnie oddając całą jej nadwrażliwość i udręczenie.

4. Lata świetlne



Dokumentalny, reż. Monika Proba, Polska 2021, Canal+ online, Play Now
Ten krótkometrażowy debiut pozostawia nas

z wieloma pytaniami. Oto dwóch absolwentów prawostawnego seminarium staje u progu nowego życia. Ale mimo trzydziestki na karku niespiesznie im do radykalnych zmian. Na przykład do ożenku, który jest warunkiem przyjęcia święceń kapłańskich. Bohaterowie wolą żyć we własnym, głęboko uduchowionym świecie.

Lektor: *Duchy w szpitalu*

KIEDY UKAZUJĄCA SIĘ NIEPRZERWANIE przez niemal czterdzieści lat rubryka znika na trzy miesiące, czytelnikom należą się wyjaśnienia. Autor udał się na dłuższe wakacje? Owszem, ale niezaplanowane. Udar, jeden szpital, potem drugi, nauka stania, potem chodzenia, ponowne nabywanie umiejętności lądowania... Nie było kłopotów z pamięcią ani z rozumieniem tekstu, jednak pobyt na OIOM-ie nie sprzyja lekturze.

Leżałem więc z rurką w nosie (przez nią mnie karmiono) i zamiast martwić się, co będzie dalej, układałem w myśli listę spotkanych w życiu osób, które wpłynęły na mój stosunek do kultury, na hierarchie i wybory czytelnicze. Taka świecka litania, w której przywoływałem znajomych zmarłych, poczynając od własnego brata. A oni przychodzili i już nie byłem sam.

Wracali też miejsca, poczynając od mrocznej Księgarni Krakowskiej przy Świętego Krzyża, założonej przez mojego dziadka. Wchodziłem po drewnianych schodach Domu Literatów przy Krupniczej, starając się uniknąć ząbków nerwowego pieska, którego z przepraszającym uśmiechem przyciągała do siebie Anna Brzozowska, córka Stanisława, i już za chwilę byłem w mieszkaniu Marii i Jerzego Kwiatkowskich. Tam znalazłem prawzór domowego księgozbioru, tam też po raz pierwszy zobaczyłem wydawnictwa paryskiej „Kultury”... Czas na szpitalnym łóżku mijał szybko i znów nadchodził kolejny rytualny czwartek o czwartej, a Stanisław Lem witał mnie w drzwiach domu na Klinach. „Panie Tomku – nachylał

się ku mnie Jerzy Turowicz – czy ma Pan może [tu padał tytuł książki], bo ja mam na pewno, ale nie mogę znaleźć, a przydałby mi się cytat...”

W Turowiczowym archiwum spędziłem setki godzin, znajdując rzeczy niespodziewane (tyle że rękopis Słowackiego okazał się jednak rękopisem Norwida). U Marii Janion byłem tylko raz. Sterty książek i teczek wylewały się na niewielki korytarz i Pani Profesor nie pozwalała niczego na nich kłaść: „Tu trwają ruchy tektoniczne i tych rękawiczek nigdy Pan już nie znajdzie!”.

Obraz najbardziej dramatyczny: niewidomy, leżący nieruchomo Czesław Miłosz, który wciąż pamięta, że po stłumieniu przez Sowietów powstania na Węgrzech poznał w 1957 r. w Paryżu Sándora Márai... Hanna Malewska i Jadwiga Żylińska – przyjaciółki, wspaniałe damy i mistrzyni prozy historycznej. Pierwsze spotkanie z Zygmuntem Kubiakiem

w nieistniejącej kawiarni Ambasador w Alejach Ujazdowskich i zdumienie, że tłumacz klasyków, którego pokochałem na zawsze za Kawafisa, bywa miotany przez furie. Dzień w Newton u chorego Stanisława Barańczaka, wypełniony rozmowami o literaturze, oglądaniem Felliniego i najlepszych scen z ekranizacji Szekspira oraz słuchaniem irlandzkiego tenora Johna McCormacka. Ostatnie telefony od niszczonego przez tę samą chorobę Jerzego Pilcha.

Mógłbym tak długo wyliczać – przywołał jeszcze tylko dwóch przyjaciół, którzy odeszli niedawno, wiele wniesli do „Tygodnika”, a dla mnie byli ważnymi przewodnikami. Wojciech Karpiński zmarł niespodziewanie, Marcin Król po długiej chorobie, obaj zostawili pośmiertne książki-testamenty, do których warto wracać: Karpiński – tom komentowanych wypisów z „Kultury”, Król – zbiór refleksji „filozofa w obliczu postprawdy”, jak to określiła Marci Shore, zatytułowany znacząco „Pakuję walizkę”.

Komu następnemu przyjdzie ją pakować, nie wiemy. Tak czy inaczej, zmarli z nami zostaną, bylebyśmy o nich pamiętali. No i doceniajmy żywych! Uniwersytet Jagielloński urządził właśnie obchody siedemdziesięciolecia Mariana Stali, a Znak wydał wybór jego „25 szkiców o niezbędności czytania poezji”, przygotowany przez Andrzeja Franaszka. Piękna to jest książka – bierzcie i czytajcie! Znajdźcie czas! Jak mówiła podczas jubileuszu profesora Stali Eliza Kącka: „Mieć czas – to wypracować sobie inną gęstość obcowania – z człowiekiem i z tekstem. To stawiać opór okolicznościom. To ustanowić przestrzeń rozmowy, scenę dialogu wyłączoną spod praw zwykłej fizyki – i chemii – społecznej”. A że i nagrodę Nike przyznano właśnie za wiersze – Jerzemu Jarniewiczowi, poecie, tłumaczowi, znawcy literatury anglojęzycznej oraz kontrkultury, gratulujemy – może to dobry znak? ©®

Tomasz Fiałkowski – Lektor
– w redakcji „Tygodnika Powszechnego”,
wrzesień 2022 r.



PAWEŁ

Bravo:

Inteligencja naturalna



SZESNAŚCIE TYSIĘCY POSTÓW NA INSTAGRAMIE obejrzała brytyjska nastolatka Molly Walker przez ostatnie pół roku życia przed samobójstwem. Niedawne orzeczenie londyńskiego kronera wskazuje jako przyczynę zgonu, oprócz depresji, „negatywny wpływ treści online”. Nowość tej sytuacji nie polega na tym, że oto wrażliwa osoba została wessana w lej coraz niższej samooceny przez sztuczną inteligencję medium społecznościowego, która rozpoznaje, w jaki sposób uzależnić nas od potoku spreparowanych bodźców. Sprawa trafiła do gazet, bo po raz pierwszy coś tak oczywistego zostało zapisane w formalnym akcie prawnym. Przedstawiciele firmy Meta podczas rozprawy składali kwieciste wyrazy ubolewania oraz troski, lecz ich nie zacytujemy. Rubryce poświęcone zasadniczo jedzeniu nie godzi się wywoływać wymiotów.

Magnus Carlsen, geniusz szachów i niepokonany od lat mistrz, przegrał dopiero co z młodzikiem, 19-letnim Hansem Niemannem, zawodnikiem, owszem, już zadomowionym w świecie profesjonalnych rozgrywek, ale notowanym dalece niżej. W kolejnym turnieju zerwał z nim partię, oskarżając go o oszustwa (więcej o tym w dziale „Zmysły”). Niemann przyznał się, że w przeszłości korzystał z tzw. silników, czyli programów sztucznej inteligencji, która jest zdolna ograć każdego ludzkiego szachistę. Ale że nigdy nie robił tego w turniejach na żywo, gdzie patrz na niego setki par oczu. A tak w ogóle, to jest gotów następny turniej rozegrać nago, jeśli to miałyby uczyć podejrzeń. Czemu taki pomysł? Powiada się – wcale nie półgębkiem – że podpowiedzi od współnika podpiętego pod komputer mogły być przekazywane np. przez impulsy analnego wibratora sterowanego drogą radiową. Prób weryfikacji tej hipotezy nie będziemy tu dalej opisywać. Nie negując istnienia narzędzi służących rozmaitym doznaniom, w naszej rubryce nie będziemy wychodzić poza rozkosze stołu.

Mniejsza o mechanikę silników szachowych tudzież innych motorków. Być może uczciwy geniusz Niemann zapłonął z opóźnieniem. I nieważne, czy istnieją realne perspektywy zasądzenia od firmy Meta odszkodowania dla miliardów jej ofiar. Podobnie jak nie ma większego znaczenia, czy istotnie Bruce Willis „sprzedał twarz” rosyjskiej firmie Deepcake, korzystającej ze sztucznej inteligencji, by tworzyć obrazy tzw. *deep fake* – czyli wizualne oszustwa nieodróżnialne dla zwykłego oka. Zapewne tylko wyraził zgodę (a raczej – wyrażono w jego imieniu) na wykorzystanie twarzy naciąganej komputerowo na ciało innego aktora w reklamie rosyjskiego telekomu. Bar-

dziej od nieprawdziwego newsa przygnębiające jest tu samo dementi, jego język: aktor może sprzedać twarz firmie, która zrobi z niego nieśmiertelną wydmuszkę.

Istotne jest tu co innego: sztuczna inteligencja okazuje się pocziwie naturalna, gdy jej skutki łądają w jakże ludzkim środku moralnej skali między czystym dobrem a złem. Na każdy zbawieny skok medycyny możliwy dzięki agregacji *big data* i na każdy uścisk pętli nadzoru w państwie chińskim, możliwy dzięki tej samej agregacji, przypada jakiś banał: oszukany mecz szachowy, milion zarobiony na kompleksach wrażliwych osób, szwindelek reklamowy z odmłodzoną twarzą aktora. Widać to w przykładzie z szachami – sztuczna inteligencja co prawda zdemokratyzowała dostęp do królewskiej gry, ale wygrywa przy okazji z uczciwością.

Karmi się przy tym regułami i powtarzalnością – potrafi je wykrywać także tam, gdzie lubimy celebrować rzekomą nieprzewidywalność. Wyciska z nas potrzebne jej do puchnięcia dane, kusząc wygodą i uproszczeniami, które czynią życie znośniejszym – do czasu. Wie dzięki temu z góry, co będzie nam się podobać, a nawet jakimi „wyjątkami” zamaniestujemy okazjonalnie kaprys wolnej woli. Czy proces uczenia się w kuchni jest dalej bezpieczny? Odbyna się wszak za każdym razem od zera, przez próby i błędy dokonywane w horyzoncie ścisłej rodziny lub środowiska towarzyskiego, bez pośrednictwa maszyn. Żaden mózg elektronowy, nawet w Chinach, nie dowie się, że pomidorową jecie z ryżem, nie z kluskami. Czyżby? Spójrzcie na wasz wszechstronny arcyrrobot kuchenny. Działa bez internetu? Na razie.

Zanim jeszcze internet zdołał uświadomić ludziom, jak bardzo podobnie myślą i czują, zdarzały się jednak analogowe pospolite ruszenia. Ich wspaniałym przykładem jest ciasto, o którym wam zaraz opowiem. „New York Times” w latach 80. publikował co roku w październiku przepis na łatwy i niezawodny placek śliwkowy, aż



*redaktorzy powiedzieli: dość. Wybucht bunt, gazetę zalały masowe skargi czytelników, dla których moment druku był rytualnym początkiem jesieni. Odtąd redakcja przysięgła dawać przepis co roku, sugerując najwyżej drobne warianty, które i ja stosuję. Kanoniczny przepis brzmi: ucieramy **115 g miękkiego masła** (musi spędzić z godzinę poza lodówką) z **150 g cukru** na gładką masę. Dodajemy **120 g mąki**, **łyżeczkę proszku do pieczenia**, **szczyptę soli** i wreszcie **2 jajka**, łączymy dokładnie. Wykładamy masę do tortownicy o średnicy 20-*

*22 cm wyłożonej papierem. Na wierzch układamy ciasto **połówki węgerek** rozciętą stroną do góry i posypujemy je lekko **cukrem trzcinowym** (i ewentualnie **przyprawami**, jakie lubimy). Pieczemy w 180 stopniach przez 50 minut do godziny, aż będzie dobrze rumiane z wierzchu i prawie suche w środku (śliwki nam się częściowo zapadną). Równie smaczny wariantem, który ostatnio stosuję, jest zamiana śliwek na pokrojone w cienkie plasterki **jabłka** – najlepiej antonówki lub renety skropione **calvadosem**. W lecie zaś kładłem **morele**. Można też mieszać różne owoce.*



RUCH KRÓLA

Arcymistrz zrezygnował z obrony tytułu. Ale to nie Magnus Carlsen ma problem. Jeśli naprawdę można oszukiwać w partii z mistrzem świata i nie zostać przyłapanym, to profesjonalne rozgrywki przestają mieć sens.

ŁUKASZ KWIATEK, WSPÓŁPRACA: BARTEK KUCHARZYK

POŁOWA GRUDNIA 2021 R., W DUBAJU TRWA JEDENASTA PARTIA meczu o mistrzostwo świata. 31-letni Magnus Carlsen od kilku godzin siedzi samotnie przy szachownicy. Jego rywal i rówieśnik Jan Niepomniaszczij podchodzi do stolika tylko na moment, by wykonać swój ruch i odnotować go w formularzu. Za każdym razem, gdy Carlsen myśli nad odpowiedzią, Rosjanin zamyka się w przygotowanym dla niego pokoju.

Niepomniaszczij, znany z tego, że nawet silnych rywali potrafi zmieść z szachownicy, zachowując niemal nienaruszoną pulę czasu, mentalnie rozsypał się już wcześniej. Zresztą zgodnie z prorocstwem Carlsena, który stwierdził przed meczem, że Jan ma tylko jedną słabość – nie umie szybko podnosić się po porażkach.

Pięć pierwszych partii zremisowali, seriami wykonując ruchy rekomendowane przez sztuczną inteligencję. Ale w szóstej zadecydował czynnik ludzki: Carlsen poszukał asymetrii na szachownicy – oddał swojego hetmana za dwie wieże przeciwnika – i przejął inicjatywę. Gdy doszło do końcówki, którą komputer nadal oceniał na remis, Norweg systematycznie zmuszał rywala do rozwiązywania trudnych problemów. I w końcu, po ponad siedmiu godzinach gry, Rosjanin się pomylił. W następnych dniach – to jego słowa – „popępiał błędy niegodne arcymistrza”. W jedenastej rundzie czekał na ostateczny cios.

Samotność upokorzonego Niepomniaszczija kłuła w oczy, ale także Carlsen, którego od najłatwiejszej obrony tytułu w karierze dzieliły tylko chwile, wydawał się raczej znużony niż zadowolony z siebie. Mało kto jednak spodziewał się wtedy, że z tej dwójki szachowych geniuszy w kolejnym meczu o mistrzostwo wystąpi wyłącznie ten pokonany.

Numer jeden

Magnus szachami zainteresował się późno – pierwszy turniej rozegrał, gdy miał ponad osiem lat. Rozwijał się błyskawicznie. Dwa lata później był już mistrzem Norwegii do lat jedenastu. To wtedy zrozumiał, że w przyszłości może być dobry,

choć mistrzostwo świata jeszcze mu się nie śniło. Nikomu zresztą nie śniło się, że po tytuł może sięgnąć ktoś urodzony w kraju bez większych tradycji szachowych.

– Wiedziałem, że mam coś, czego moi rówieśnicy nie mieli. Dla nich szachy to było hobby. Ja miałem obsesję, codziennie siedziałem godzinami nad książkami szachowymi. Mogłem wtedy korzystać z internetu przez dwie godziny tygodniowo. Zanim skończyłem 14 lat, nie otworłem przeglądarki z innego powodu niż po to, żeby zagrać w szachy – mówił w podcaście Lexa Fridmana.

Simen Agdestein, pierwszy trener Carlsena, napisał książkę o jego drodze po pierwszy mistrzowski tytuł. Zaczyna się jak typowa opowieść o nietypowym dziecku, być może w spektrum autyzmu. Gdy Magnus ma cztery lata, godzinami układa klocki Lego przeznaczone dla nastolatków. Jest nimi tak zafascynowany, że nie może spać – nocami rozmyśla, jak poprawić konstrukcje. Rok później zna powierzchnię i liczbę ludności 400 norweskich gmin, a także wszystkich stolic na świecie. W pierwszej klasie wyróżnia się m.in. tym, że potrafi rozwiązywać w pamięci matematyczne łamigłówki.

Rozwija się też sportowo, uprawia m.in. skoki narciarskie (najdłuższy lot: 21 metrów), ale rzuca je w wieku dziesięciu lat. Trzy lata później zostaje drugim najmłodszym w historii arcymistrzem – to najwyższy tytuł przyznawany w szachach. Jego umiejętności i miejsce w rankingu szachowym stają się coraz wyższe. Poziom 2700 punktów, który umownie oddziela ścisłą czołówkę od zwykłych śmiertelników, przekracza w 2007 r. Od połowy 2011 r. jest nieprzerwanie numerem jeden na świecie.

Debiuty

Carlsen od dawna sugerował, że format jednego długiego meczu o mistrzostwo świata niezbyt mu odpowiada. Choć ma piękną tradycję, sięgającą XIX wieku.

Gdy Wilhelm Steinitz zdobywał w USA pierwszy w historii oficjalny tytuł, po dwudziestu partiach rozegranych z Johannem Zukertortem, był wiernym poddanym cesarza Austro-Węgier Franciszka Józefa I, a na amerykańskiej fladze znajdowały się tylko 44 gwiazdki.

Magnus Carlsen podczas Sinquefeld Cup, St. Louis, wrzesień 2022 r.

→ Dziś, gdy setki tysięcy kibiców śledzą transmisje z zawodów na smartfonach, a setki milionów codziennie grają w sieci, Carlsen wolałby walczyć o tytuł na innych zasadach. Najlepiej w wieloosobowym turnieju, mieszając długie partie z szybkimi, bo w takich jest mniej remisów i więcej emocji. Ale nie chodzi mu wyłącznie o oczekiwania widzów.

– Mecze o mistrzostwo świata wyniszczają – podkreśla Radosław Wojtaszek, który przebił się do światowej czołówki w tym samym czasie, gdy Carlsen wszedł na szczyt. Nasz rozmówca był w centrum wydarzeń jako jeden z najbliższych współpracowników Viswanathana Ananda. Hindusowi koronę mistrza świata odebrał właśnie Carlsen. Gdy zegrali po raz pierwszy o mistrzostwo w 2013 r., Anand miał już 44 lata i trzy wygrane na koncie.

– Każdy z meczów o tytuł zostawił na nim ślad. Ze względu na stres i presję, a także z powodu kilkumiesięcznych przygotowań, które go poprzedzały – mówi Wojtaszek. – Pracowaliśmy całymi dniami przy komputerach nad strategiami debiutowymi. Musieliśmy czymś Carlsena zaskoczyć, bo już wtedy górował nad Anandem siłą gry.

Współcześni szachiści grają z pamięci pierwszych kilkanaście ruchów w partii. Nie zawsze wybierają najlepsze obiektywnie posunięcia, bo w czasach, w których najbliższym współpracownikiem szachisty jest jego komputer, można zakładać, że na najsilniejsze ruchy wszyscy zawodowcy znają odpowiedź. W przygotowaniu debiutowym chodzi o przechytrzenie rywala: o znalezienie takiego wariantu, którego mógłby nie mieć w swoim repertuarze. Albo o uzyskanie pozycji, której charakter nie odpowiada jego stylowi gry. W 2013 r. ta część planu Ananda się powiodła.

– Vishy uzyskiwał w debiutach bardzo obiecujące pozycje – wspomina Wojtaszek. – Ale potem roztrwaniał przewagę. Brakowało mu formy i wiary w to, że może wygrać.

Po utracie tytułu Anand, paradoksalnie, sportowo odżył i zwyciężył w kolejnym Turnieju Pretendentów, co dało mu prawo do rewanżu z Carlsenem.

– Znowu bardzo mocno pracowaliśmy nad przygotowaniem debiutowym – wspomina Wojtaszek. I opisuje następującą scenę: – Nawet w trakcie meczu, gdy nadszedł dzień przerwy, zamknęliśmy się w pokoju, by przygotować zagrywki na kolejną rundę. Magnus postawił na relaks. Widzieliśmy przez okno, jak grał w koszykówkę ze swoimi współpracownikami.

Za drugim razem wygrana przyszła Magnusowi z trudem.

– Zrozumiał wtedy, że musi zmienić swój styl pracy. Na tym poziomie nie można pominąć teoretycznych przygotowań – podsumowuje Wojtaszek.

Największy błąd

Jeśli dzisiaj mało kto kwestionuje nazywanie szachów sportem, jest to w sporej mierze zasługa Carlsena. I ma to związek właśnie z jego niechęcią do harówki nad teorią debiutową. Oraz z obsesją wygrywania.

Magnusa rzadko zadowala remis – w każdej partii próbuje grać o zwycięstwo, nawet czarnym kolorem, którym trudniej przejąć inicjatywę. A ponieważ z początku odstawiał przygotowaniem, postawił na wytrzymałość i koncentrację. Do tego potrzebna mu była doskonała kondycja fizyczna.

– Carlsen zdawał się przemawiać do przeciwnika: będziemy walczyć przez sześć godzin. Jesteś tak mocny, że wytrzymasz pięć. Ale w szóstej się zmęczysz, a ja dalej będę trzymał najwyższy poziom. I nagle cała czołówka musiała się do niego dostosować. Rzadko w jakimkolwiek sporcie jeden zawodnik wymusza na najlepszych na świecie aż taką zmianę sposobu pracy i postrzegania gry – zauważa Wojtaszek.

Nie było jednak tak, że Carlsen zrewolucjonizował szachy, bo zamienił komputer na hantle, a obóz przygotowawczy spędzał na siłowni.

„Zawsze lubiłem uprawiać sport: piłkę nożną, tenis, jazdę na rowerze, i byłem w dobrej formie fizycznej, ale robiłem to głównie dla przyjemności, nie dla konkretnych korzyści. Choć poczuć, że w czymś innym sobie nieźle radzę, pomagało mi psychologicznie. Wystarczyło, że pożonglowałem piłką przed partią, bym poczuł się lepiej” – zwierzał się Fridmanowi.

Futbolem żyje na co dzień. Czasem pojawia się na meczach Realu Madryt, a przed pandemią zasłynął jako lider tabeli w „Fantasy Premier League”. W tej grze sieciowej kompletuje się skład z zawodników angielskiej ekstraklasy i zdobywa punkty, gdy oni wygrywają mecze czy strzelają bramki. Kiedy prowadził, gra miała siedem milionów użytkowników. „Spośród wielu błędów, które popełniłem w swojej profesjonalnej karierze, ten może być najbardziej zawstydzający” – stwierdził po tym, jak przegapił transferowy *deadline*, co kosztowało trochę punktów.

Jedna naraz

Pytany o to, czy kiedykolwiek nie myśli o szachach, Carlsen zaprzecza. Zawsze są gdzieś w tle. Przez głowę przelatują mu obrazy rozmaitych pozycji. Traktuje je jak łamigłówki – zastanawia się nad najlepszym posunięciem. Takim, które choćby w minimalnym stopniu poprawi ułożenie bierok lub to, w jaki sposób wzajemnie się bronią i kontrolują kluczowe pola na szachownicy, ograniczając przeciwnikowi pole manewru. Celem w każdej partii jest dla niego uzyskanie harmonii – idealnej współpracy między figurami. Dzięki niej zdobywa przewagę.

„Po co mi [komputerowa] baza miliona partii, jeśli potrafię zapamiętać przebieg tylko dziesięciu tysięcy z nich” – stwierdził kiedyś Ukrainiec Wasilij Iwańczuk i prawdopodobnie tylko trochę żartował. Szachiści mają niezwykłą zdolność zapamiętywania partii. Można by przeprowadzić następujący eksperyment: wybrać jakąś pozycję z kariery Carlsena i zapytać go, z kim wtedy grał, jaki był wynik i jaki ruch został wykonany. Niemal na pewno odpowie bezbłędnie. Jedna z indyjskich telewizji zaprosiła go do jeszcze trudniejszego testu – pytała o różne partie rozegrane przez Ananda. Magnus odpowiedział poprawnie na wszystkie dziesięć zagadek.

Jak wielu arcymistrzów, potrafi grać na ślepo – bez spoglądania na szachownicę – z wieloma przeciwnikami naraz (rekord świata – 48 rywali – należy do Timura Gariejewa). „Kluczowe jest to, żeby widzieć w głowie tylko jedną szachownicę naraz” – tłumaczył Carlsen po jednym z takich występów. Jak w tym czasie przechowuje w pamięci wszystkie pozostaje? Nie wyjaśnił.

Nie lubi długo rozmyślać nad ruchami – mówi, że gdy myśli ponad kwadrans, „to znaczy, że najczęściej nie ma pojęcia, co zrobić”. Może bardziej zdawać się na intuicję niż żmudne

Twierdzi, że szachy są
zawsze w jego głowie.

**Przez myśl przelatują mu
obrazy rozmaitych pozycji.**

W poszukiwaniu najlepszej
chodź o uzyskanie harmonii
– idealnej współpracy
między figurami.



Według Carlsena (z lewej) po Niemannie (z prawej) nie było widać ani napięcia, ani nawet pełnej koncentracji. A i tak ograł mistrza świata czarnym kolorem. Oszukiwał?

liczenie wariantów dzięki temu, że doskonale potrafi oceniać uzyskiwane pozycje. Jak twierdzi – jego oceny są zazwyczaj dokładniejsze niż oceny rywali, bliższe ocenom komputerowym.

Ochota

Po triumfie nad Niepomniaszczijem Carlsen ogłosił, że nie ma już motywacji, by po raz szósty walczyć o tytuł i poświęcać kolejne miesiące na przygotowania. Choć mogłoby się to zmienić, gdyby trafił mu się specjalny rywal. Wskazał go z imienia i nazwiska – miał to być 19-letni Irańczyk Alireza Firuzdża, przez chwilę numer dwa w światowym rankingu. I bodaj najzdolniejszy gracz pokolenia szachistów, którzy najpierw zasłynęli wynikami w internecie, rozgrywając w dzieciństwie dziesiątki partii online z topowymi zawodnikami, zanim zaczęli jeździć na elitarnie turnieje.

Być może wyjątek Carlsen zrobiłby także dla Hikaru Nakamury. Amerykanin też jest już po trzydziestce, więc taki mecz nie miałby charakteru pokoleniowego, ale to król szachów w internecie. Codziennie dziesiątki tysięcy osób oglądają, jak rozwiązuje zadania szachowe, czyta prasę, przegląda memy, analizuje swoje i cudze partie oraz gra z mniej lub bardziej przypadkowymi przeciwnikami. Na trening nie zostaje już mu wiele czasu, lecz Nakamura też lubi grać intuicyjnie, a przy tym ma niezwykle zmysł taktyczny. Skomplikowane łamigłówki szachowe rozwiązuje w parę sekund.

Ale w lipcowym Turnieju Pretendentów zbyt agresywnie grający Firuzdża zawiódł. Nakamura spisał się lepiej, jednak „za bardzo mu zależało” i skończył czwarty. Ponownie – i to zdecydowanie – wygrał Niepomniaszczij, a Magnus potwierdził, że na rewanż z Rosjaninem nie ma ochoty.

Podejrzany

Kiedy w 2018 r. Carlsen po raz czwarty zostawał mistrzem, wśród zawodników z ponad 2700 punktami rankingowymi był jeden nastolatek. W tej chwili jest ich pięciu, w tym 16-letni Dommaraju Gukesh – złoty medalista olimpijski – i 18-letni Nodirbek Abdusattorow, mistrz świata w szachach szybkich. Łada chwila może do tej piątki dołączyć kolejna trójka nastolatków. Takiego powiewu młodości w szachach nie było od dawna.

Jednym z najstarszych w tej grupie jest Hans Moke Niemann. Głośno zrobiło się o nim na początku września, gdy

doostał zaproszenie do turnieju w St. Louis i w trzeciej rundzie zmierzył się przy desce z Carlsenem. Po kilku godzinach partię wygrał, w dodatku czarnym kolorem. Wynik był sensacją w środowisku, ale bomba wybuchła następnego dnia, gdy Carlsen wycofał się z turnieju – czego nigdy wcześniej nie zrobił. Wiadomo było, że źle znosi porażki – w jednym z wywiadów stwierdził, że po każdej rozważa zakończenie kariery – ale chodziło o coś innego. Magnus zasugerował, że nie może niczego powiedzieć, bo miałyby kłopoty. W następnej rundzie zaś organizatorzy wzmocnili elektroniczną kontrolę – dokładnie przeskanowali wszystkich zawodników, poszukując urządzeń, na których mogliby podpatrywać najlepsze posunięcia lub słuchać podpowiedzi współpracowników.

Oliwy do ognia dołał Hikaru Nakamura. W swoich filmikach wyśmiewał Niemann, który w prowadzonej na żywo analizie dopiero co zakończonej kolejnej partii nie potrafił przekonująco uzasadnić wybranych posunięć. Zawodnik miał prawo się denerwować – dopiero wtedy dowiedział się, że Carlsen wycofał się z turnieju, a reporter, składając arcy-mistrza, prowadził rozmowę jak przesłuchanie. „To nie jest analiza zawodnika na poziomie 2700” – kpił Nakamura. Jakim więc cudem Niemann mógł dzień wcześniej pokonać mistrza świata?

Komputerowa analiza tej partii pokazuje, że Carlsen zagrał poniżej swojego poziomu – jego „współczynnik dokładności” wynosił ok. 40 proc., Niemann natomiast znacznie częściej wybierał dobre posunięcia – z 70-procentową dokładnością. Wysoką, ale jeszcze nie „nieprawdopodobnie wysoką”. Specjaliści od wykrywania oszustw nie doszukali się dotąd w tej konkretnej partii niczego podejrzanego – np. nagłego skoku jakości posunięć Niemann, sugerującego, że był on w stanie korzystać z podpowiedzi komputera.

Nie znaczy to jednak, że Hans Niemann jest czysty. Największy szachowy portal, Chess.com, powiązany biznesowo z Carlsenem (ma wykupić założoną przez niego firmę za ponad 80 mln dolarów), wydał oświadczenie o wyrzuceniu Hansa z najbliższego turnieju – bo ten w przeszłości miał wielokrotnie oszukiwać w sieci. Niemann przyznał się do dwóch przypadków – w wieku 12 i 16 lat. Za drugim razem, jak twierdzi, oszukiwał w partii granej poza oficjalnym turniejem, by podbić sobie internetowy ranking. Miało mu to pomóc w planowanej karierze streamera.

Tylko impresje

→ Choć w całej sprawie zdążyli się już wypowiedzieć prawie wszyscy ludzie z kontem na Twitterze (np. Elon Musk upodobał sobie teorię, iż Niemann wspomagał się urządzeniem przemocnym w odbycie i sygnalizującym najlepsze ruchy wibracjami), Carlsen długo ograniczał się do insynuacji. Tydzień po zawodach w St. Louis miał zmierzyć się z Niemannem w sieci, zresztą w turnieju organizowanym przez własną firmę. Nie był to zacięty pojedynek – po jednym posunięciu Norweg poddał partię i wyłączył kamerę. Później w wywiadzie gratulował Hansowi „niezwykłego postępu” i dodał ironicznie, że jego mentor, Maxim Dlugy, wykonał świetną robotę. Dlugy, z którym Niemann faktycznie współpracował, był karany za oszukiwanie w szachach.

Część środowiska, w tym legendarny Garri Kasparow, krytykowała Carlsena za to, że nie przedstawił żadnych dowodów na oszustwa Niemann, a swoim zachowaniem rujnuje mu karierę. Mówimy w końcu o sporcie, w którym wiele turniejów, tradycyjnych i online, odbywa się na zaproszenie – więc jeśli mistrz świata nie chce z tobą grać, to równie dobrze możesz sobie poszukać nowego zajęcia.

Wiele osób było w szoku, bo Carlsen po raz pierwszy w karierze zachował się moralnie dwuznacznie. Nigdy wcześniej nie ukrywał też tak długo, co naprawdę myśli. Był zawsze nieskrępowanie bezpośredni – czy to w licznych wywiadach telewizyjnych, czy podczas mniej formalnych transmisji z zawodów, do których czasem dołączał jako komentator.

Pod koniec września wydał wreszcie oświadczenie – ale przedstawił tylko swoje impresje, a nie dowody. Stwierdził, że ma pewność, iż Niemann oszukiwał wielokrotnie częściej, niż się do tego przyznawał, i że podejrzewa, iż podobnie było w St. Louis. Dlaczego? Bo w kluczowych momentach partii nie było po Niemannie widać „napięcia ani choćby pełnej koncentracji”, a i tak wyraźnie ograł Carlsena czarnym kolorem, „w sposób, w jaki mogłoby się to udać tylko kilku graczom na świecie”.

Na koniec dodał, że chciałby powiedzieć o wiele więcej, ale na to musiałby dostać pozwolenie od Niemann. Wybrzmiała w tym sugestia, że między stronami toczą się negocjacje. Oczywiście, nie są one prowadzone na równych prawach, bo Magnus ma za sobą autorytet jednego z najlepszych graczy w historii i ogromne wpływy. A jeśli jedyną winą Niemann w St. Louis było to, że uraził miłość własną Carlsena, to nigdy nie będzie w stanie tego udowodnić.

Ta sprawa może jeszcze długo nie znaleźć finału, jednak istnieją silne przesłanki za tym, że Niemann już wcześniej oszukiwał w tradycyjnych turniejach. Niezależni analitycy pokazali, że ma na koncie kilka idealnych partii: takich, w których prawie zawsze wybierał ruchy preferowane przez komputer. Dla człowieka taki poziom gry wydaje się nieosiągalny.

Magnus ma więc rację przynajmniej w tym, że elektронiczny doping to nadal niedoceniany problem w szachach i egzystencjalne zagrożenie dla dyscypliny. Jeśli naprawdę można oszukiwać w partii z mistrzem świata i nie zostac

Rzadko zadowala go remis – w każdej partii próbuje grać o zwycięstwo.

Z początku odstawał przygotowaniem, więc postawił na wytrzymałość i koncentrację. Potrzebował doskonałej kondycji.

przyłapanym, to profesjonalne rozgrywki przestają mieć sens.

Król narracji

Angielski skrót „GM” w kontekście szachów oznacza arcymistrza (*grand-master*), ale miłośnikom gier fabularnych kojarzy się z mistrzem gry (*game-master*) – narratorem, który tworzy fabułę, ustala zasady i stawia przed graczami wyzwania. Drugi problem szachów polega na tym, że Carlsen chce łączyć obie te role.

Stało się to najbardziej widoczne w pandemii, gdy założona przez niego firma zainwestowała dziesiątki milionów dolarów w stworzenie serwisów i projektów oferujących zawodowcom i amatorom wszystko, czego mogliby zapragnąć. To m.in. portal do grania i oglądania transmisji (Chess24.com), turnieje online (Champions Chess Tour), platforma z kursami debiutowymi przygotowywanymi przez najlepszych arcymistrzów (Chessable), zestaw narzędzi analitycznych (Aimchess), drukowane magazyny i konta youtube'owe, a także aplikacja Play Magnus, w której zmierzyć się można z awatarem Carlsena w różnym wieku.

Nie jest jasne, jaka przyszłość czeka te wszystkie produkty, gdy dojdzie już do przejęcia ich przez Chess.com, ani jaką rolę w nowej organizacji odgrywać będzie Magnus. Ale można się spodziewać, że szefowie konsorcjum nie zrobią niczego, czemu by się sprzeciwiał. Zbanowanie Hansa Niemann na tej platformie można interpretować jako gest dobrej woli w kierunku Carlsena.

Mariaż Chess.com i firmy Carlsena to także wyzwanie rzucone Międzynarodowej Federacji Szachowej (FIDE), pod egidą której rozgrywane są tradycyjne turnieje. To dobry moment na taki krok, bo FIDE zdominowana jest przez Rosjan i rosyjski kapitał (na jej czele stoi były wicepremier i współpracownik Putina), z czym coraz więcej zawodników ma problem.

Carlsen nie rezygnuje z gry w turniejach FIDE – zapowiedział, że chciałby złamać kosmiczną barierę 2900 punktów rankingowych (brakuje mu ponad 40, lecz obowiązujący system jest dla niego bezlitosny – nawet na remisie z graczem ze ścisłej czołówki traci ok. 1,5 punktu). Ale na pewno w jeszcze większym stopniu skupi się na szachach online, turniejach szybkich i błyskawicznych oraz ukończonych „szachach Fischera” – wariacie gry, w której figury tuż przed partią ustawiane są po części losowo. Istnieje 960 wyjściowych pozycji, więc żadne przygotowanie debiutowe nie ma sensu.

Jak na to wyzwanie zareaguje FIDE? Czy zrobi coś, żeby zachęcić Magnusa, by powalczył jeszcze kiedyś o mistrzowski tytuł? W przeszłości dochodziło już do rozłamów w szachach, przez pewien czas obowiązywały dwa konkurencyjne mistrzowskie tytuły. Chess.com niemal na pewno będzie chciało zorganizować przynajmniej nieoficjalne rozgrywki o randze mistrzostw świata. Obecność Carlsena zagwarantuje, że weźmie w nich udział cała czołówka.

O przyszłości szachów w największym stopniu zdecydować kibice – bo to oni wybierają, co chcą oglądać. Ale na razie są tam, gdzie Magnus.

© © ŁUKASZ KWIATEK,

współpraca BARTEK KUCHARZYK

OLGA

Drenda: Szara maść



POPULARNE KONTO NA INSTAGRAMIE, „Sentymenty”, jakiś czas temu opublikowało kadr z prastarego *reality show*, „Jestem, jaki jestem”, czyli scenek z życia Michała Wiśniewskiego i jego ówczesnej żony Mandaryny. Powrót do tego

programu po latach jest sam w sobie przygodą, ale niemal wszyscy komentujący zwrócili uwagę nie na bohaterów, lecz na scenografię. A konkretnie – pościel. Małżonkowie bowiem siedzą pod pościelą z kory w barwach żółto-niebieskich. Nie takich, jak na fładze Ukrainy albo Górnego Śląska, ale w odcieniach milenijnych, chabru i ciepłej żółci. „Wzór pościeli popularniejszy od osób w niej leżących”, skomentowała jedna z bywalczyń profilu.

Taki zestaw kolorów był wówczas wszechobecny, kojarzył się z prywatnymi telewizjami, pojawiał się na tapicerkach, w reklamach telefonów komórkowych i na kubkach, z których popijali herbatę bohaterowie „Klanu”. Momenty w historii sprzyjają pewnym kolorom, czy to ze względu na symbolikę, jaką niosą, czy (częściej) ze względów praktycznych („jeśli pomalujemy wszystko na brązowo, nie będzie widać brudu”). Firma Pantone wie, co robi, ogłaszając co roku najmodniejszy kolor, w którym od tej pory ma być Wszystko: stawka jest wysoka, skoro chodzi o wystylizowanie przysłych ludzkich wspomnień.

Ciepły żółty i chaberek to eurooptymistyczne, a przy tym odrobinę biurowe kolory nowego tysiąclecia. Gdy z kolei mówimy „PRL”, nieuchronnie musi paść słowo „szarość”, ale pojawia się też żelazista tonacja odbitek ORWO, „paleta toaletowa” – praktyczna, a zarazem przygnębiająca kombinacja żółtego i brązowego, oraz zieleni lamperii, znana z poczekalni, przychodni i blokowych korytarzy. Tak charakterystyczna, że artystka Monika Sosnowska stworzyła kiedyś instalację

Szary
na szarym.
Chwilę później
głaskałam kota
pasującego
kolorystycznie
do tej elewacji.



OLGA DRENDA

opartą na złudzeniu niekończącego się korytarza, pomalowanego do połowy w charakterystyczny seledynek.

Tonacji naszej dekady nie musiałam długo szukać. Żyjemy w czasach pragmatyzmu, optymalizacji i maksymalizacji efektywności. Dlatego kolorem lat 20. jest superneutralny RAL 7016, czyli antracyt, i jego kolega grafit, RAL 7024. Kody pochodzą z międzynarodowego standardu oznaczania barw, opracowanego przez Niemiecki Instytut Jakości i Oznaczeń w latach 20. XX wieku.

Są to kolory sprytne, tak wszechobecne, że łatwo przeoczyć częstotliwość ich występowania. Spójrzcie na skrzynki pocztowe, na słupki drogowe, bramy automatyczne, na elewacje nowych budynków. One tam już są. Serwisy wnętrzarskie nazywają je eleganckimi, *haute couture* wśród kolorów mebli i ścian. Zachwalają ich uniwersalny charakter, stonowanie i praktyczność, polecając tym, którym czerń wydaje się zbyt ponura. Faktycznie, myślę sobie, mam przecież białego i czarnego kota i zgrabnym lifehackiem byłoby noszenie szarych swetrów, żeby sierść nie kontrastowała tak mocno. Z kota brytyjskiego na tle grafitowej sofy zostaną same oczka. RAL 7016 i RAL 7024 to kolory epoki lifehacków. Kojarzą się z urządzeniami elektronicznymi, minimalistyczną odzieżą sportową, sprzętem na siłowni oraz łatwymi w budowie pawilonami modułowymi, które mieszczą nowoczesne dworce i małe markety. *Smart!* Czasami wyobrażam sobie, że niektórzy ludzie lubią te kolory, bo kojarzą się z bezpiecznymi, przewidywalnymi i kontrolowanymi przestrzeniami, z czymś, czym można sterować przy pomocy aplikacji.

Przyczyna popularności tych odcieni była prozaiczna. To kolory powszechne w elementach metalowych malowanych proszkowo. Z początku rozpowszechniły się w stolarnie okiennej i drzwiowej, po czym stopniowo przenosiły się na inne powierzchnie: fronty mebli, tapicerkę, ściany. Marianne Shillingford, dyrektorka kreatywna marki Dulux, mówi, że korzystnie wypadają w świetle LED-ów (znow: czysty pragmatyzm). Wreszcie trafiły na elewacje. Tu ciemnym szarościom czasami towarzyszy fikuśny akcent – detal w neonowym kolorze. Dzięki temu przestrzeń dookoła również sprawia wrażenie zoptymalizowanej, ale nie do końca. To coś jak „luźny piątek” w firmie, w której obowiązują, oczywiście antracytowe, garnitury.

Ponieważ szary to kolor neutralny, zaczęłam wyteżać wzrok, by zauważać go wszędzie, zwracać uwagę na kombinacje odcieni i subtelne różnice. Przyznaję, że nie przepadam za nim (no, poza kotami tej maści), bo kojarzy mi się bardziej z odbierającym smak życia pragmatyzmem niż z elegancją podpowiadaną przez prasę fachową, a ja wolę odrobinę bałaganiarskiej fantazji.

Ciekawe, jak szybko paleta szarości przeobraziła się z synonimu PRL-owskiej brejowatej nudy w przejaw smaku i umiaru. Z tym większym zainteresowaniem wyglądam jednak prognozowanej na najbliższe sezony palety barw inspirowanej pogodnym światem Barbie. I tego, co z nią zrobimy. ©

STANISŁAW

Mancewicz: *Romantyk*



Dziś, po przerwie wypełnionej próbami, o których zaraz, spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, którego jeszcze nikt nie zadał, a zatem nikt także nie szukał odpowiedzi. Zanim to szokujące pytanie padnie, trzeba rzec kilka zdań o owych próbach.

Oto przez wiele ostatnich dni, przemierzając wzdłuż i wszerz Europę na zachód od Odry i Nysy, czyli, między nami mówiąc, przekroczywszy twardą i ostateczną granicę dzielącą dziś Wschód od Zachodu w każdym znaczeniu, poddawaliśmy nasze jestestwo brutalnemu testowaniu. Chcieliśmy sprawdzić, czy podobnie jak Gospodarz 30 lat temu podczas pobytu w Wiedniu, odczuwamy lękową obcość kulturową na widok czegoś, kogoś i czegośkolwiek. By to sprawdzić, wykorzystaliśmy naszą znakomitą zdolność mimikry, ale też – póki nie jest to jeszcze karalne – wczuliśmy się w umysłowość obecnego przywódcy państwa polskiego.

Sprawdziliśmy zatem, czy ludzie o innym niżli różowy kolorze skóry budzą w naszej zbolącej głowie jakieś pomieszenie i strach, czy – weźmy z innej beczki – widok ludzi w prawidłowo skrojonych garniturach napawa nas niewypowiedzianym zdumieniem i podejrzliwością, czy na odgłos niemieckiej mowy myślimy obsesyjnie i na przemian o II wojnie światowej i Donaldzie Tusku, i czy odgłos mowy polskiej za granicą nas wzrusza, a nasze serce rozrywa tęsknota. Czy – jedźmy dalej – gdy widzimy punkt sprzedaży kebabu, uważamy, że jest to skradziony, oryginalny polski pomysł na jedzenie uliczne, czy gdy przechodzimy obok muzeum sztuki nowoczesnej, wyciągamy rewolwer, albo czy na widok dwu mężczyzn, bądź dwu kobiet, dzwonimy z płaczem do M. Jędraszewskiego. To tylko kilka zadań, pytań, zagadnień, które – co łatwo sobie wyobrazić – są dziś obowiązkowym raczej

testem, zestawem zagadnień do przemyślenia dla każdej członkini, każdego członka i zwolennika PiS, zwłaszcza w podróży zagranicznej. Jest to bowiem egzamin, którego wynik ma dać odpowiedź: jesteś oto podejrzanym sympatykiem zwyrodnień świata Zachodu czy tradycyjnie grzesznym przeciwcem zdrowego Wschodu.

Niestety, ów test, któryśmy sobie sami tak łatwo i ze śmiechem zadali, nie wypadł dobrze. Była to tzw. lekcja pokory. Oglądając świat smutnymi oczyma Gospodarza, dostaliśmy standardową odpowiedź rodaka, który z niejasnych i niepotrzebnych, a może zmyślonych powodów poczuł się zmuszony do spakowania walizki, wyjęcia z szuflady paszportu, pójścia na dworzec i pojechania do Wiednia. Bardzo wielu ludzi robi sobie niepotrzebnie ogromną przykrość, wybierając nieprawidłową – pardon – destynację. A więc wróciliśmy z naszej podróży niewiele mądrzejsi i można by tu użyć starodawnego bon motu o proroku Jonaszu, który, połknięty przez ogromną rybę, wiele podróżował, ale świata zobaczył niewiele. Rzecz ma się bowiem tak, że gdy człowiek cały czas myśli o Polsce i Polakach, gdy człowiek rozmyśla o Jarosławie Kaczyńskim, o jego umysłowości i pomysłach, o jego koleżankach i kolegach, powinien koniecznie siedzieć w domu na dupie, a nie łaźić po Wiedniach, Paryżach czy Londynach i tamże gubić się w domysłach na temat nowoczesności, obyczajowości bądź niesłowiańskiej kulturze. Była to lekcja pokory właśnie i dowód, że choć wiele z tego, co Gospodarz czuje, umiemy w sobie wywołać, to nie wiemy, po co to robimy.

Nawiasem, wciąż dreczy nas pytanie, co takiego ongiś wstrząsnęło Jarosławem Kaczyńskim podczas owego pobytu na Zachodzie. Odrzucamy podejrzenie, że ów kręcił się po podejrzanach dzielnicach bądź w okolicach podejrzanym lokali rozrywkowych. Co zostaje? Uważamy, że wstrząsem była sztuka nowoczesna właśnie, pełna zwyrodnień i niezdrowych przejawów nowinkarstwa. Trochęśmy się rozgałali, więc na koniec zapowiadane pytanie, które uważamy za znakomite, ale i, rzecz jasna, szokujące: Czy Jarosław Kaczyński jest dziś ostatnim romantykiem, czy raczej romantykiem pierwszym, w nowej, całkiem poświeceniowej erze? Wzburzonym odpowiadamy efektownie i tajemniczo: Jaki czas, taki romantyzm i jak kraj, taki romantyk. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Filozoficzne życie Palikota

sezon 2

gość Piotra Augustyniaka

①

Janusz Palikot

Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie

9.10.2022, 17:00
Scena MOS, ul. Rajska 12

myślnik

jazz filozofia stand-up



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego z Funduszu Promocji Kultury



www.teatrkrakowie.pl

REKLAMA

KORCZAK DZISIAJ

26. MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL TEATRÓW
DLA DZIECI
I MŁODZIEŻY

11-23 PAŹDZIERNIKA 2022



REKLAMA

21.10.2022
15.01.2023

WALKA O ULICE WARSZAWA W BUDOWIE FESTIWAL

WYBRZEŻE KOŚCIUSZKOWSKIE 22, WARSZAWA

Muzeum
sztuki
nowoczesnej
w Warszawie

